

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA



FOT. MICHAŁ ŁEPECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

- Maleńczuk: Dziękuję dziewczynom, które wzięły sobie narodowca za męża
- Prawda o zamachu na Fico psuje nasze dobre samopoczucie
- Jak nas zmieni czterodniowy tydzień pracy
- Psycholog ogląda serial „Reniferek”



**WYSOKIE
OBCASY**
Podglądacz.
Historia z
Rembertowa



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



Sędzia Szmydt i inni

ZDRAJCY, AGENCI, WARIACI

RYS. ALICJA KOCUREK

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198



Niewolnicy Radziwiłłów
Magnaci sprowadzali
„murzynków”, żeby tańczyli
im menueta



**Pod Monte Cassino
zginęło 923 żołnierzy**
Andersowi zarzucono,
że szafuje polską krwią

Intymność AI
Ma więcej uwagi
i cierpliwości
od mojej żony ► 18

Agnieszka
Kublik

Otwórz oczy i zagłosuj

Zamach na premiera Słowacji, liczne pożary o nieustalonych jeszcze przyczynach. I te, o których mówił premier Tusk, że „w ostatnich kilkunastu tygodniach służby udaremniły próby akcji sabotażu i próby podpaleń”.

Piszę te słowa w czwartkowy poranek i nie ma pewności, że gorzej nie będzie. A może pewności już być nie może.

Wybory do Parlamentu Europejskiego za trzy tygodnie. Wszystko, co się teraz dzieje, może mieć wpływ na wyniki. Na to, jaka będzie Europa i czy będziemy się w niej, też Polsce, czuć bezpiecznie.

Jak to wpłynie na frekwencję wyborczą? Zmobilizuje którą Polskę? Proeuropejską, czy tę, która w sytuacji wojny za wschodnią granicą, wypowiada wojnę Unii Europejskiej?

Te dwie Polski widać teraz, kiedy kampania wyborcza wyostrza kontury, bardzo wyraźnie.

Premier Tusk napisał ostatnio na portalu X: „Rosja to wrogość wobec Zachodu, zwłaszcza wobec Unii, pogarda wobec rządów prawa i wszelkich mniejszości, upartyjnienie gospo-

darki i mediów, zalegali-zowana państwowa korupcja, religia na usługach władzy, panowanie służb specjalnych. Otwórz oczy i poszukaj podobieństw”.

Nie trzeba ich nawet szukać. Widać gołym okiem. Trzeba mieć tylko szeroko otwarte.

PiS liczy na oczy szeroko zamknięte. Zwłaszcza na to, co o Polsce – tej z ostatnich ośmiu lat i tej po 15 października – opowiada dziś Jarosław Kaczyński i jego „żołnierze”. Tak właśnie swoich kandydatów widzi prezes PiS: „Trzeba rzucić do walki żołnierzy z wojsk jednorazowego przeznaczenia. Są to wojska, które mają być użyte tylko raz, bo ponoszą tak duże straty, że potem już nie nadają się do walki”.

Jacek Kurski, który kandyduje z Parlamentu Europejskiego i „jeszcze nadaje się do walki”, tak perorował niedawno na antenie TV Republika (która chce być jak TVPiS, więc znalazł się we właściwym miejscu): „Wróciłem z Banku Centralnego do kraju, którego nie poznaję. Prawo w Polsce przestało obowiązywać, wrócili więźniowie polityczni, pluralizm medialny został zgwałcony i zlikwidowany. W Polsce panuje atmosfera zemsty, dlatego, że ktoś uważa, że przez osiem lat był niesłusznie pozbawiony władzy”.

Otwórz oczy i poszukaj niepodobieństw do Polski! Bo... wyglądasz właśnie w takim kraju.

Przedwyborcze fałszowanie rzeczywistości się nasila. Jacek Kurski – ten, który w TVP od 2016 do 2022 r. wykreował szczytnię na wszelką opozycję Kaczyńskiego – teraz zaklina się, że „musi walczyć o normalną, demokratyczną, wolną Polskę, dlatego wraca do polityki”.

Otwórz oczy i poszukaj podobieństw państwa PiS do „normalnej, demokratycznej, wolnej Polski”.

Otwórz oczy i zagłosuj. Na tę Polskę, która istnieje naprawdę. Bo Europę zaleje populistyczna, nacjonalistyczna, skrajna prawica. No i Polsce zagrozi. ●

Andrzej rysuje

77. Festiwal Filmowy w Cannes
Psia gwiazda

Messi, niebieskooki border collie, ma pełne prawo brylować na czerwonym dywanie. Brawurowo i wzruszająco zagrał Snoopa, psa towarzyszącego niewidomemu chłopcu w znakomitym filmie Justine Triet „Anatomia upadku”.

Kod dostępu
do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco
przez cały weekend ***

12B40ES

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 18-19.05.2024 r.

Lulla
La Polaca

Drag queen został po siedemdziesiątce. Pamięta powstanie warszawskie, teraz jeździ na parady równości do Berlina. Rozmowy Agnieszki Jucewicz z Andrzejem Szwanem – najstarszą polską drag queen słuchaj
► Wyborcza.pl/podcast

FOT. ADAM STEPIEN / AGENCJA WYBORCZA.PL

Turniej miast
Gdzie uśmiecha się Mona Lisa?

Ann Pizzorusso, geolożka i historyczka sztuki ogłosiła, że rozwiązała jedną z zagadek słynnego obrazu Leonarda da Vinci: twierdzi, że udało jej zlokalizować miejsce, w którym została namalowana „Mona Lisa”. Cóż, nie jest pierwszą.

Za plecami Giocondy majączy zamglony krajobraz z jeziorem lub rzeką widoczną pomiędzy skałami. Na wysokości jej lewego barku można dostrzec most z filarami zbiegającymi się w łuk, a obok prawego ramienia wijącą się drogę. Te dwa elementy stały się punktem odniesienia dla badaczki Carli Glori, która w 2011 r. ulokowała Mona Lisę w okolicach miasteczka Bobbio. Z kolei historyk Silvano Vinceti w ubiegłym roku ogłosił, że obraz przedstawia zburzony już most w Arezzo w Toskanii.

Pizzorusso twierdzi, że obydwoje się mylą, a krajobraz widoczny na obrazie przedstawia położone nad jeziorem Como miasteczko Lecco. – Wsparty na łukach most był typową konstrukcją w całych Włoszech. W oparciu o sam most nie da się określić dokładnego położenia. Wszyscy mówią tylko o moście, a nikt o geologii.



Wiedza geologiczna ma potwierdzać jej teorię. Pizzorusso podkreśla, że widoczne na obrazie skały mają kolor piaskowca, który dominuje w krajobrazie Lecco. I że ani Bobbio, ani Arezzo nie leżą nad jeziorem. Nie tłumaczy, skąd wie, że widoczna za plecami Giocondy woda to jezioro, a nie rzeka – nad którymi leżą obie miejscowości. Ma za to jeszcze inny argument: notatniki Leonarda da Vinci, z których wynika, że spędził on sporo czasu w okolicach Lecco.

I Bobbio, i Arezzo reklamują się jako tło „Mona Lisy”, by przyciągnąć turystów. Lecco pewnie dołączy do nich już niedługo. ●

Emilia Dłużewska

W poniedziałek „Duży Format”

Kaszubi dumni z tęczowego wójta

Na początku sam zbierał śmieci, zamiatał liście, podlewał kwiaty, a w domach tylko ruszały się firanki, ludzie patrzyli tak, by ich nie zauważył.

– Tak, wybraliśmy na wójta zdeklarowanego geja. Tak, jest też zdeklarowanym ateistą. Tak, w gminie Puck, gdzie w ostatnich wyborach parlamentarnych drugie miejsce miał PiS – mówi przedsiębiorczyni ze Swarzewa.

O wójcie gminy Puck Marcinie Nikrancie pisze Marcin Wójcik



Fico i Cintula. Pięć kul, które nic nie zmieniają

Słowacja jest wszędzie

Prawda o zamachu na Fico psuje nasze dobre samopoczucie

Szczererek



Kto spodziewa się znaleźć w historii zamachu na premiera Roberta Ficę jasny i klarowny obraz – zawiedzie się srogo. Jeśli ktoś chciałby szukać prostych schematów i konkluzji w tym, co się wydarzyło 15 maja wczesnym popołudniem w miasteczku Handlová w środkowej Słowacji, kiedy dwie z pięciu wystrzelonych kul raniły premiera – może mieć niezły zgryz.

Wkrótce po ataku w sieci znalazł się filmik nakręcony na posterunku policji. Juraj Cintula, mocno przygnębiony, siedzi skuty na korytarzu, a zza kadru ktoś pyta o motyw. Dlaczego strzelał?

– Nie jestem zwolennikiem władzy – mówi przyciszonym głosem Cintula. – Są likwidowane massmedia. Dlaczego atakowana jest RTVS [słowackie media publiczne]? Dlaczego Mazák wyrzucony został z urzędu?

Ale o co chodzi?, zapyta ktoś, kogo zajmują sprawy publiczne, ale przebiwszy się przez nagłówki o Bidenie, Szojgu, Xi i Tusku już nie dociera do podmenu „Słowacja” w zakładce „Zagranica”. Otóż o to samo, co gdzie indziej – w Polsce, na Węgrzech, w USA – gdy zakochany w sobie autokrata buduje republikę kolesi.

Ján Mazák to członek Komisji Weneckiej, instytucji Rady Europy zajmującej się prawem konstytucyjnym i praworządnością w krajach Unii – a przede wszystkim były przewodniczący Rady Sądownictwa Republiki Słowackiej. SMER, ficowska partia władzy, dopiero co zwolnił go z tego stanowiska.

Mazák polecał w ramach czystek SMER-u w systemie sprawiedliwości. Czy raczej rewolucji, bo zmiany te demolują wprowadzone za poprzedniego rządu narzędzia pozwalające rozliczać afery gospodarcze i kryminalne. A tych było mnóstwo, w czasach, gdy – tak się składa – premierem był, jak i dziś, Fico. Skala tych afer i pozycja osób w nie zamieszanych sprawiły, że Ficę zaczęto nazywać „ojcem chrzestnym” i „don Roberto”. Aż tropiący je młody dziennikarz śledczy Jan Kuciak zginął w nocy, we własnym łóżku, a z nim jego dziewczyna Martina Kušnírova. Ogólnie wyrozumiali Słowacy powiedzieli „no to już przesada” i po gigantycznych protestach Fico stracił władzę.

Kolejne protesty wybuchły, gdy po czterech latach wrócił – i od razu zaczął zemstę. Liderzy opozycji, w tym jej przywódca – Michal Simecka, lider Postępowej Słowacji – bili na alarm, że SMER, likwidując specjalną prokuraturę, która prowadziła wiele spraw przeciwko politykom ze środowiska Ficy, pragnie zapewnić swoim członkom bezkarność, niszcząc przy okazji słowacki system sprawiedliwości. Śledztwo w sprawie samego Ficy, też mocno zamieszanego w korupcyjne afery, umorzył prokurator generalny.

Opozycjoniści nie byli osamotnieni: te same niebezpieczne tendencje wi-



• **Zatrzymanie Juraja Cintuli tuż po tym, jak pięć razy strzelił do premiera Fico**

FOT. REUTERS/RADOVAN STOKLASA

działa na Słowacji Unia Europejska. SMER jednak niewiele sobie z tego robi.

Jedną z pierwszych decyzji członków nowego rządu było znaczące podniesienie sobie samym płac. I przepychanie nowelizacji kodeksu karnego pozwalającej znieść ciężące na tym i owym polityku oskarżenia.

Co do mediów – tu również Cintula nie mija się z prawdą. Fico dokonuje na nie skoku w duchu i stylu takim, w jakim dokonywali go Orban i Kaczyński. W czerwcu słowacki parlament będzie głosował ustawę medialną, która podporządkuje publiczne media władzy.

Biorąc pod uwagę, że SMER, ugrupowanie – no właśnie, jakie, prawicowo-lewicowe, alt-lewicowe, populistyczne?; wymykające się starym definicjom – już teraz, choć lidera dopiero co zniesiono ze stołu operacyjnego, obwinia o zamach opozycję i jej „kampanię nienawiści”, można się spodziewać, że głosowanie przebiegnie w atmosferze moralnego szantażu. Każdy, kto skrytykuje SMER, zostanie oskarżony, że „ma krew na rękach”.

A opozycja – owszem – krytykuje SMER mocno i w tonie bardzo alarmistycznym. Rzecz w tym, że ma za co. Bo media publiczne i praworządność to tylko część słowackich problemów.

Otóż Fico bardziej nawet niż bycie trybunem ludowym uwielbia rozgrywanie karty ukraińskiej: oskarża Ukraińców o sprowokowanie Putina, sugeruje, że USA zanadto się rozpychały, wyraża zrozumienie dla rosyjskich obaw i interesów, klaruje, że mała Słowacja „nie powinna się mieszać” w cyniczne rozgrywki mocarstw, tylko „dbać o swój interes”.

Oczywiście – Słowacja nie ruszy się w ramach obrony Rosji ani na krok z NATO czy UE: kraju nie byłoby na to zwyczajnie stać, bo to dzięki członkostwu w UE jest uznawany za stabilne i pewne miejsce do inwestowania, a to rzecz dla malej, pozbawionej własnych silnych marek gospodarki, kluczowa. Poza tym Fico podobnie jak Orban, nie zamierza zakręcać kurka z unijnymi pieniędzmi, na których tuczy się nie tylko kraj, ale i powiązani z nim biznesmeni.

Ale choć zachodni partnerzy wszystko to wiedzą, egoistyczna polityka tego typu ich drażni, bowiem niezależnie od intencji Fico (Orbana, Kaczyńskiego, chorwackiego Milanovicia – niepotrzebne skreślić) wspiera pozycję Putina, a osłabia narrację Zachodu, pod-

kopuje solidarność Unii (portugalskim, włoskim, hiszpańskim eurosceptykom, alt-rightowcom i alt-leftowcom łatwiej mówić: widzicie, nawet Słowacy nie chcą ginąć za Kijów, a co dopiero my, 3000 kilometrów dalej!). Oraz – last but not least – jest cyniczna, antydemokratyczna i nieuczciwa. Bo, na przykład, w trakcie wyborów prezydenckich, które odbyły się na początku tego roku i w których zwyciężył kandydat Ficy, Peter Pellegrini, rządzący rozkręcili historyczny przekaz, że jeśli wygra opozycyjny kandydat, to za chwilę Słowacy będą ginąć w Ukrainie w walce z Rosjanami.

Inna sprawa, że słowackie społeczeństwo jest od dawna spolaryzowane, a Fico przyszedł na prawie gotowe. Po internecie krążą nienawistne komentarze, których schemat doskonale znamy: memy i treści podobne do tych o „lewakach” i „libkach”, o Tusku zwanym „chylim rujem” czy „ryżą WRO-Ną” i „PO-paprańcach”. I do tych, które wyśmiewają „karakana”, „kurdupła”, „PiSuary” czy „Kaczorka Balbinę”.

A zamach na Ficę, mimo chwilowego wzmożenia przeciwko mowie nienawiści, nie zatrzyma tych tendencji. Już chwilę po strzałach na antyficowskie profile zaczęły wpadać memy ze zdziwionym Ficą i podpisem: „tworzysz mafijne państwo i się dziwisz?”. Przy czym ktoś mógłby powiedzieć, że Fico sam się prosił, nazywając przeciwników – w ramach, jak to określa, „ostrej krytyki” – „słowackimi szczurami”.

Więc co będzie, gdy „Robo” wróci do zdrowia? Będzie to, co miało być – ciąg dalszy jątrzącej, egoistycznej, demolującej demokratyczny standard i dobry obyczaj polityki. Tyle że w nimbie ofiary, której nie wolno na nic zwrócić uwagi. – Teraz będą źli progresywiści, którzy szerzą nienawiść, a z drugiej strony święty Robert – wścieka się mój słowacki znajomy.

I to już się dzieje. Zamachowca próbowano z początku „przypiąć” właśnie głównemu opozycyjnemu ugrupowaniu – Progresywnej Słowacji. Ale partia szybko się odcięła, Simecka nazwał go „chorym z nienawiści człowiekiem”

Cintuli blisko do prorosyjskich neofaszystów czy do Ficowskich populistów? Ryzykowna teza

i przerzucił granat na połowę przeciwnika, zwracając uwagę, że poglądy Cintuli, wbrew jego pro-opozycyjnym i demokratycznym hasłom, zbliżają go raczej do zwolenników Ficy.

Tyle że to teza równie ryzykowna, co SMER-owców. Bo owszem, niegdyś Cintuli zdarzały się promoskiewskie czy antyromskie wypowiedzi, typowe dla populistów typu ficowskiego, ale to już stare tematy. Cintula bowiem, owszem, popierał Slovenských Branców, prorosyjską i skrajnie prawicową paramilitarną organizację, a w jego książce o Romach pojawiają się rasistowskie wątki, jednak próby przyklejenia go przez lewicę i liberałów do „proputinowskich faszystów” są słabe. Słowensci Branci przestali istnieć parę lat temu, a sam Cintula zdążył już nie tylko publicznie skrytykować innych skrajnych prawicowców, również prorosyjskich i antyromskich – w tym słynne ugrupowanie neofaszysty Mariana Kotleby – ale i opowiedzieć się po stronie Ukrainy. A ostatnio wypowiadał się z całą mocą przeciwko Ficy, używając argumentów opozycji.

A więc cóż, trzeba pogodzić się z rzeczywistością, choć psuje dobre samopoczucie i politykom, i facebookowo-twitterowemu pospolitemu ruszeniu: do premiera alt-populisty, egotyka i destruktora strzelał człowiek niezrównoważony i mający problem ze stałością poglądów, ale jednak taki, który powoływał się na narrację antyficowskiej opozycji i który zapewne myślał, że „ratuje” Słowację oraz Europę. Musimy zmierzyć się z tym, że, jak widać, nawet krytyka uznawana za słuszną i zasłużoną może sprowokować próbę politycznego zabójstwa.

Lecz nim zostaną odsądzony od czci i wiary za symetryzm: czy jakakolwiek walka polityczna może być stuprocentowo bezpieczna i można mówić i robić, co się chce, bez ryzyka, że wywoła to historyczną reakcję kogoś niezrównoważonego? Czy chcąc uniknąć takich tragedii, należałoby zaprzestać wszelkiej krytyki i widząc, jak populistą upartym państwem, śmieje się w oczy praworządności, odbiera przeciwnikom ludzką twarz, należałoby położyć się grzecznie na ziemi, pokazać brzuch i udawać, że nic się nie dzieje? A czy druga strona przypadkiem nie sieje wiatru jeszcze mocniej, nie tylko faktycznie dokonując rzeczy, o które jest oskarżana, ale i hejtując w najlepsze?

Tymczasem komentariat w mediach społecznościowych żadnych ciekawych wniosków nie wyciąga. Obie barykady po ostrzale prymitywnymi argumentami i kalumniami wyciągają cięższy kaliber w postaci teorii spiskowych. I tak, na przykład: Juraj Cintula, poza tym, że miał literackie ambicje, pracował przez jakiś czas jako ochroniarz w centrum handlowym. Komentujący: agencja ochroniarska! Oho, to coś jak wagnerowcy! Za dużo zbieżności, Cintula musiał być z nimi powiązany.

Fico uszedł śmierci i dochodzi do siebie. Pogubiony Cintula siedzi w areszcie i czeka na rozprawę. Słowacja pogrąża się w paranoi. A my przerażamy skondensowany w czasie i przestrzeni kurs XXI-wiecznej post-polityki z jej wszystkimi patologiami. ● **Ziemowit Szczerek**

1

Zwracam się do wszystkich, którzy będą to czytali: nie rezygnujcie. Szlachetne gatunki dojrzewają długo – mówi Maciej Maleńczuk, który znów jest rockmanem

JAREK SZUBRYCHT: Po co ci ten Homo Twist?

MACIEJ MALEŃCZUK: Zapytał mnie też o Kuba Wojewódzki, ale nie zdążyłem wpaść na fajną ripostę. Jego pytanie brzmiało dokładnie: „Po co ci to, skoro na tym nie zarabiasz?”. Rozumiem, że Kuba Wojewódzki nie wyobraża sobie podejmowania działania z innego powodu niż pieniądze.

Ja pluję na karierę, nie obchodzi mnie zysk. Jak ktoś się kieruje zyskiem, to wpadnie w dług. Po co więc mi ten Homo Twist? Robię to dla chwały, dla sławy, żeby nas wykuli w marmurze albo w spiżu odlali, potomnym ku przestrodze.

Czyli gracie za dobre słowo?

– Oczywiście, że nie. Pieniądze są o tyle ważne, że robimy Homo Twist, bo nas na to stać. Nie liczymy jednak na żaden zarobek, nie o to tutaj chodzi. Wielokrotnie słyszałem, że warto ten projekt reaktywować i zawsze, kiedy reaktywowałem, okazywało się, że nie warto. Na pewno nie ze względów finansowych.

Mam super zgrany zespół, z którym nagrałem już kilka płyt, ale wyzwaniem było kazać jazzmanom grać takie rzeczy. Oni mają technikę na poziomie wyższym niż technika rockowa. Moja prymitywna siła plus jazzmani to w pykę połączenie, bardzo krakowskie.

To zarazem powrót do pierwszego wcielenia Homo Twist.

– Tak, w pierwszym Homo Twist też grali jazzmani. Zarówno Miarka [Leszek Kowal, basista], jak i Schneider [perkusista] byli szanowani w krakowskim środowisku. Bardzo dużo się od nich nauczyłem. Miarka wciąż żyje, Grzesiek Schneider już odszedł. Odszedł też Waldek Raźny, który przez jakiś czas grał na basie. Nie na darmo mamy w Homo Twist te wszystkie czaszki i symbole śmierci.

Co do Homo Twist wnieśli jazzmani, zarówno wtedy, jak i teraz?

– Trzeba coś potrafić, żeby nagrywać taką muzykę. Uczciwa praca zawsze przynosi efekty. Znam te opowieści, że w Krakowie wszyscy są leniwi i wstają o siedemnastej, ale to nie dotyczy jazzmanów. Oni wstają o siódmej rano i sześć godzin zapierdalają na kontrabasie, żeby wieczorem w Harrisie zarobić 200 złotych. To jest piękne i to coś ważniejszego niż kariera.

Pytam Dominika [Wywrockiego], swojego basistę: „Dlaczego tyle ćwiczysz?”. „Bo wciąż jeszcze nie osiągnąłem tego, co chcę osiągnąć” – słyszę w odpowiedzi.

Obserwujemy spadek umiejętności grania na instrumentach. Wszystko można wgrać w komputer i wyprostować, coraz mniej ludzi ćwiczy, coraz mniej jest takich, którzy mają siłę w lewej ręce. Dominik ma, bo na co dzień gra na kontrabasie, więc nawet najgrubsze struny w basie elektrycznym są dla niego niczym. Praca, którą wykonywał przez wiele lat, teraz przynosi efekty. Mało kto gra ciężiej niż my. Kazałem specjalnie spreparować instrumenty. Mam nadmiernie grube struny, basista też. Trzeba mieć parę, żeby to nacisnąć, ale dzięki temu jest dobry dźwięk, jest naprawdę grubo.

Tu zwracam się do wszystkich, którzy będą to czytali: nie rezygnujcie. Szlachetne gatunki dojrzewają długo. Na karierę trzeba zwykle trochę poczeekać, ale warto pracować, bo wcześniej czy później przyniesie to efekt. Czasami naprawdę bardzo późno. Bardzo dobrym przykładem jest Buena Vista Social Club – ci ludzie nie mieli świadomości, że kiedyś będą sławni.

Kiedy ogłosiłeś reaktywację Homo Twist, w sieci zaroilo się od spekulacji, kogo ze starych składów zamierzasz ściągnąć.

– Nie ma Olafa [Deriglasoffa, basisty], nie ma Titusa [Tomasza Pukackiego, też basisty]. Homo Twist to nie jest ochronka ani przytułek spokojnej starości, ja potrzebuję świeżej krwi. Jak ktoś raz usły-

JAREK SZUBRYCHT



DŹWIĘKI, KTÓRYCH JUŻ NIE ZAŚPIEWAM

Z MACIEJEM MALEŃCZUKIEM
ROZMAWIA JAREK SZUBRYCHT

FOT. SZYMON SEWERN

szy, jak gra ten zespół, ten przestanie wzdychać do Deriglasoffa i Hajdasza [Artura, perkusisty].

Zanim powolałeś do życia pierwsze wcielenie Homo Twist, byłeś miejskim bardem.

– Byłem tak zwanym songwriterm i żyłem z grania na ulicy. Śpiewałem piosenki, które mnie dotyczy, o ćpaniu, chlaniu, polityce, sprawach społecznych i miłości...

I co, pozazdrościłeś kariery Lady Pank i Lombardowi?

– Nieee, pozazdrościłem Led Zeppelin! Nigdy nie mógłbym być wokalistą Lady Pank, wiem to na pewno. Raz dostałem do zrobienia utwór „Tańcz głupia, tańcz” – i jest tak wysoko, że współczuję Panasewiczowi. Janek, mógłbyś obniżyć tonację.

Głos się starzeje i tych wszystkich wysokich dźwięków mężczyzna w moim wieku nie zaśpiewa. Ten błąd popełnił Plant, kompletnie nie wyrabiał w tonacjach, które sobie wymyślili. Koncertów Led Zeppelin świetnie się słucha, dopóki nie wchodzi wokalista... Z wiekiem głos idzie w dół, dlatego mamy w Homo Twist obniżony strój, do D. Nie wyciągam już tych górów, co kiedyś, więc mam oddech, mogę zaśpiewać trochę niżej. Nie jest dla mnie problemem repertuar Johnny’ego Casha w oryginalnych tonacjach, ale niektórych własnych utworów nie mógłbym zaśpiewać w wersjach sprzed lat, na przykład „Narkomanki”. Czy, nie daj boże, „Mundialeiro”! Nagraliśmy „Mundialeiro” w wysokim C i w studiu się udało, ale już na koncertach prosiłem zespół: „Obniżcie mi tę tonację, bo nie dam rady”.

O polskiej pilce da się tylko cienko śpiewać.

– Tak, tylko dyszkantem!

Pomyślałem, że powody powrotu Homo Twist na scenę mogą być bardzo pragmatyczne. Publiczność „Psychodancingu”, a więc ludzie, którzy cieszyli się z „Cichej wody”...

– Starzeją się albo już odeszli w siną dal.

Za to fani Homo Twist z lat 90. weszli w ten etap życia, którym rządzi nostalgia. Chętnie przypominą sobie tamte emocje.

– Być może, ale mam też nadzieję dotrzeć do młodej publiczności. Widzę zresztą na koncertach, że widownia nam młodsze, co mnie bardzo cieszy. Może przyciągają ich moje ostre opowieści i to, że wszystko jest polityczne. Ale żeby być na czasie, trzeba być prorokiem, a ja jestem prorokiem, który uważa, że tematy polityczne będą schodziły na dalszy plan.

A to dlaczego?

– Mam nadzieję, że już żaden zamordyzm nie wróci do władzy, a PiS będzie się powoli wykruszał. Ultra-prawica nie będzie miała racji bytu. Po pierwsze, trzeba pozdrowić wszystkich tych, którzy nosili koszulki z napisem „Śmierć wrogom ojczyzny”. Rozumiem, że jesteś gotowy zabijać dla ojczyzny, ale czy jesteś gotowy za nią umrzeć? Na to mi odpowiedz... Po drugie, chciałem podziękować wszystkim dziewczynom, które wzięły sobie narodowca za męża. Z powodu małżeństwa, dzieci i spraw rodzinnych ojczyzna wywietrzała im z głów i wzięli się do porządnej roboty.

Rozmawiamy po wyborach samorządowych i jakoś nie widzę tego wykruszania się PiS-u.

– Dałbym w pysk tym wszystkim, którzy zostali na grillu. Był człowiek, który podpalił się z powodu PiS-u, a wam się nie chciało pójść zagłosować. To nie był wariat, niesprawiedliwość komuny wytrzymał, a nie wytrzymał rządów tej rozszalałej prawicy. Komuna trochę się tego społeczeństwa bała, jak kogoś aresztowała, to po cichu, a ci z kamerami wjeżdżali... Patrzcie, jak aresztujemy ludzi, patrzcie, jacy jesteśmy mocni!

Tu przy okazji pozdrawiam tych dwóch panów, co się tak bali odsiadki. Ja dostałem dwa lata za odmowę służby wojskowej i obok mnie za różne głupie przewinienia siedzieli tacy sami miglance jak ja. Wszyscy grzecznie odbębniali wyrok. Być może ktoś tam pisał o ulaskawienie, ale nikt go nie otrzymał.

Dziś młodzi ludzie za paczkę trawy muszą odsiedzieć rok czy dwa, a tych dwóch mocnych panów nie potrafiło nawet tygodnia wytrzymać za kratami, tylko klęczeli, błagając laski.

Naprawdę wolałbyś już o tym wszystkim nie śpiewać i nie rozmawiać?

– Ależ oczywiście, ja tylko dlatego interesuję się polityką, że to wszystko jest takie chujowe. Bez prze-



Homo Twist

„Spider”

Wyd. Fluxus Record

rwy widzę jakąś niesprawiedliwość, choćby to rozszalałe Ordo Iuris. Poznałem niedawno kolegę z zespołu Batushka, który jest szatanem prawosławnym, jak ja jestem szatanem katolickim. Okazało się, że on też ma kłopoty z Ordo Iuris, jakieś procesy...

Jak poznałeś muzyków Batushki?

– Będę obecny na ich najnowszej płycie. Z początku nie mogłem tego słuchać, ale w końcu do mnie dotarło. Batushka to właściwie rodzaj awangardy – jest noise, jazgot i wchodzą te chóry prawosławne. Mogliby występować na Warszawskiej Jesieni.

Znowu cię ciągnie do black metalu? Kiedyś już nagrywałeś z Behemothem.

– Zawsze deklarowałem się jako satanista. Ateizm jest dla mnie zbyt banalny, płaski jak kartka papieru. Są ludzie, którzy nie są ateistami, ale też w żaden sposób nie chcą być chrześcijanami. Jest w nich żarliwość i potrzeba uczestnictwa w rytuałach, ale zarazem nie mogą patrzeć na katolicki fałsz. Wydaje mi się, że to, co dzisiaj nazywa się satanizmem, jest po prostu wiarą w dawnych bogów, poszukiwaniem tych wszystkich zapomnianych Swarożyców. Bogowie też toczą wojny i umierają, a każdego pokonanego boga nazywa się diabłem.

Zawsze deklarowałem się jako satanista.

Ateizm jest dla mnie zbyt banalny, płaski jak kartka papieru

Czemu zdecydowałeś się na ponowne nagranie klasycznych piosenek Homo Twist? Starzy fani i tak pewnie będą przywiązani do oryginalnych wersji, a dla nowej publiczności różnica może być trudna do uchwycenia.

– Chciałem odzyskać prawa. Utwory, które znalazły się na „Spiderze”, pochodzą z trzech różnych płyt – prawa do jednej ma Warner, do drugiej Metal Mind, trzeba byłoby to negocjować, kupować.

Zaczęło się od tego, że Netflix chciał wykorzystać „Narkomankę” w swoim filmie. Nie miałem praw, ale ktoś mi podsunął pomysł: „Weź to nagraj jeszcze raz”. Jak nagraliśmy „Narkomankę”, wiedziałem, że będziemy nagrywać dalej. „Spiderem” chcę wrócić na rynek, a w zaawansowanych planach mam płytę z utworami napisanymi do wierszy Emily Dickinson. Po angielsku i po polsku. Poezja Dickinson jest nieprzekładalna, dlatego się za to wziąłem. Lubię robić rzeczy niemożliwe.

Według jakiego klucza dobierałeś utwory na „Spidera”? W materiałach prasowych wyczytałem, że to 17 najlepszych piosenek Homo Twist i chciałem oficjalnie zaprotestować.

– Nie wiem, czy najlepszych, być może coś przepa-dło.

Nie ma „Miasta Krakowa”, „Góralskiej muzyki” i przede wszystkim „Ach proszę pani”.

– To musiało przepaść. Kiedy zakładałem Homo Twist, nie do końca wiedziałem, jak powinien brzmieć ten zespół, stopniowo nabierał mocy. „Ach proszę pani” powinno przynależeć do repertuaru akustycznego. Wtedy po prostu nie wiedziałem, że kiedyś będę miał trzy różne kapele, więc wszystko grałem pod jednym szyldem.

W takim razie, gdzie jest „Krew na butach”? To ostry numer.

– Żebyś wiedział, brakuje go! Przywróć do repertuaru, na koncertach będziemy grali. Dobry numer i aktualny, o fascynacji przemocą.

Mówisz, że liczysz na zainteresowanie młodzieży. Ciekawe, jak zabrzmni w ich uszach taki „Portfel ojca”, skoro...

– Mają pornografię w internecie. Lubię ten utwór, to sama prawda. Ale świat się zmienił, moim zdaniem na lepsze. Dostęp do pornografii w sieci jest zdrowszy od robienia odbitek z wypiekami na twarzy, oglądania ich w tajemnicy, ze wstydem. Dość tej

hipokryzji. Inna sprawa, że to dziwne, że w tak katolickim kraju, jak nasz tyle się pierdoli o moralności i rodzinie, a pornografia jest dostępna bez jakichkolwiek ograniczeń. Tyle rzeczy żeście zakazali, dziewczynom nie dacie dostępu do tabletki dzień po, ale bez przeszkód można sobie włączyć hard porno?

Bo porno jest dla panów, co zakazują, nie dla tych dziewczyn.

– Bo to jest dla nich, oczywiście, że tak. Pieprzenie o moralności i dostępność pornografii to jawny zgrzyt.

Tylko pod tym względem świat zmienił się na lepsze?

– W Polsce wiele rzeczy się zmieniło, zrobiliśmy gigantyczne postępy. Nie ma już bandyckiego chuli-gaństwa na ulicach, tych łysych pał, co wszystkich lali. Z jednej strony wszyscy jeździmy samochodami, ale z drugiej coraz więcej myśli się o ekologii. Weźmy choćby kwestię traktowania zwierząt, w tym podejście do jedzenia mięsa. Jak byłem młody, paradowanie z psią kupą w ręce nie pomogłoby mi poderwać laski. A dzisiaj? Jak najbardziej!

A twoje stare teksty jak się czytają w nowych czasach? Choćby „zbędne męsko-męskie aberracje”?

– Nieladnie tak mówić, wiem. Uważam jednak, że trochę przesadzamy z poprawnością polityczną. Do tej pory ludzie bluzgają na „Szkoło kontaktowe” za odejście Krzysztofa Daukszewicza. Moim zdaniem nikt się nie powinien o jego żart obrażać. To przecież facet, który jest 50 lat w trasie, jest rockandrollowcem.

Może jednak nie śmieją się z takich żartów ludzi, którzy żyją w państwie odmawiającym im równych praw i społeczeństwie, które w najlepszym przypadku się z tego podśmiechuje.

– Tak? W takim razie wytłumacz mi, dlaczego tak bardzo popularni są Michał Szpak, Ralph Kaminski albo Jann? Niby wszyscy jesteśmy tacy straight, a oni są tolerowani, promowani i uwielbiani.

Skoro już mówimy o nowych kontekstach starych piosenek, warto wspomnieć, że „Bema pamięci żałobny rapsod” opowiada obecnie o Ukrainie.

– Sprawy wieczne są zawsze aktualne i ten wiersz Norwida jest dziś o bojownikach ukraińskich. Jak umiera u nas jakaś gwiazda, chowamy ją z honorami, tłumy ludzi przychodzą na pogrzeb, a w tym samym czasie w okopach Ukrainy giną masowo młodzi ludzie. Nikt o nich nie pamięta, oprócz najbliższej rodziny, a przecież oni giną za nas, żebyśmy mogli sobie spokojnie palić jointy.

Emily Dickinson nazywa to lombardem wolności, w którym musimy zastawić nasze dzieci, naszych synów. Dzięki temu podatkwowi, który ktoś inny płaci, my możemy cieszyć się życiem. ●

Maciej Maleńczuk

• najpierw uliczny bard Krakowa, później gwiazda alternatywnego rocka w Homo Twist i Püfelsach, następnie lew salonowy, święcący triumfy z projektem Psycho-dancing, w końcu samowwarczy jazzman. Wybitny piosenkopisarz, nagradzany Fryderykami. W 2023 r. re-aktywował swój pierwszy zespół Homo Twist. Właśnie ukazał się album „Spider” z nowymi wersjami starych utworów grupy

Edyta Bryła

Andrzej, 63 lata, jest kierownikiem w zakładzie stolarsko-tartacznym w woj. śląskim od ponad 40 lat. Pracuje dziewięć godzin dziennie od poniedziałku do piątku i osiem godzin w soboty. W pandemii, gdy zamówienia ustały, przez pewien czas miał wolne soboty, a raz nawet tydzień przerwy. Nie był zadowolony, stracił poczucie czasu, zdawało mu się, że ciągle jest niedziela. Spał wtedy dłużej, potem kosił trawę, ogarniał gołębnik, obejrzał mecz. W tej dłuższej przerwie przestawił plot.

Czterodniowy tydzień pracy tylko by pogorszył jego sytuację. – Jak miałbym się przyzwyczaić, jak przez tyle lat pracuję sześć dni na okrągło? – mówi.

O emeryturze nie myśli, ma zamiar pracować póki starczy sił. Czy pracuje za dużo? No jasne. Ale chce pracować, bo tylko jak jest w ruchu, to czuje, że żyje, mimo, że jest już pracą zmęczony.

– W weekendy nie ma na zakładzie nikogo, prócz mnie. W tygodniu praktycznie wszyscy wychodzą, jak tylko wybije siedemnasta. Chwilę przed już są w blokach startowych, żeby iść do domu, jakby byli niewolnikami i ktoś ich siłą trzymał.

– A ty nie jesteś niewolnikiem?

– Ja pracuję, bo chcę i lubię. Jak się w nocy budzę, to też myślę o pracy. Może to inny rodzaj niewolnictwa. Albo pracoholizm.

Nie czuje – jeszcze – by praca odbijała się na jego zdrowiu. Tylko słuch gorszy, od hałasu. Czytał, że żeby odpocząć naprawdę, potrzeba co najmniej 10 dni urlopu. Ale nie był na takim od 2000 roku. Wolne niedziele? Bardzo lubi. Jeden dzień wolny może być. Choć potem w poniedziałek rano czuje się bardziej zmęczony niż potem po całym dniu. Nie wie, dlaczego.

Hania, fryzjerka z Warszawy, już ma czterodniowy tydzień pracy,

bo zwykle ma wolne poniedziałki. Ale przez resztę tygodnia pracuje 40 godzin. Po pierwsze mało kto chce się umówić na poniedziałek, po drugie dojeżdża do pracy spod Warszawy, więc tak się bardziej opłaca. Chyba, że jest okres przedświąteczny, wtedy pracuje codziennie.

Systemowy czterodniowy tydzień pracy? Jako idea – fajne. Bo w biurze i tak dużo się przesiaduje przy automacie do kawy i plotkuje, je śniadanka. Masa jest dupogodzin. Firmy nie wytrzymają? Skoro wytrzymują te kawki, to jeden wolny dzień też wytrzymają.

Choć jak jest się kobietą, to ten wolny dzień nie jest taki wolny, bo wstawiasz sześć prań. Ale i tak lepiej go mieć niż nie.

W zawodzie jak jej czas pracy można regulować ceną za usługi, czyli je podrożyć i pracować mniej. Pytanie, czy się znajdują na to klientki i klienci. Jasne, zawsze można podnieść ceny i dalej pracować do nocy. To pytanie o priorytety życiowe i jak szybko chcesz się wypalić.

Hania pracuje teraz tyle, ile chce. Więcej woli nie, bo przemęczenie sprawia, że przestajesz się angażować, praca nie sprawia przyjemności, pieniądze z niej nie cieszą. Hani wystarczy na życie (jest samotną mamą z dwojgiem dzieci), bo nie ma ambicji, by leasingować drogie auto, wynajmować mieszkanie za 4 tys., wysyłać dzieci do prywatnych szkół. Chętnie minimalizuje koszty życia, by było w miarę spokojne.

Ale dziś większość ludzi pracuje za dużo, są przemęczeni. Robią to dlatego, że jak są zajęci, to nie konfrontują się z życiem, z problemami. Stąd się biorą pracoholicy, którzy kręcą się w kółko, przyzwyczajeni do ciąglego bycia w ruchu. – Łęki i niepokoje zasypuje się byciem zajętą. Nieważne, czy w wolnym czasie czy w pracy. To akurat wszystko jedno – mówi. I jeśli ludzi niepokoi kondycja firmy przez dodatkowy dzień wolny, to pewnie są etatowcami, którzy boją się o instytucje, które za nimi stoją i są gwarantem ich statusu życiowego.

PIĄTEK

Wolałabym wcześniej się co dzień urywać, niż mieć wolny piątek.

Hania też miewa okresy, że chce się odciąć i iść do pracy na 12 godzin. Czuje się czasem przepracowana, zmęczona, ale nie na tyle, by praca się znudziła.

Teraz kwestia, co ze sobą zrobić w dodatkowym wolnym dniu. Jedni idą w sport, inni w netflixa. Hania jest raczej tym pierwszym, aktywnym typem. Mniej pracować chyba nie chce. No dobra, może byłoby to ok. Ale jest singielką, ile można mieć wolnego czasu? Nie ma z kim wyjechać. Lepiej iść do pracy.

W wolnym czasie idzie do lasu z psami, na siłownię, do kina, sprząta. – Ale to patent na maks dwa dni. Trzeciego już siedzę i martwię się, czy na pewno wystarczy mi pieniędzy – mówi.

Małgosia z Warszawy, 40 lat, pracuje w sekt orze kultury: Gotowałabym więcej.

Nawet jak nie pracuje, to myśli o pracy, ale naprawdę ją lubi. Nie martwi się, jak firma poradzi sobie przez czterodniowy tydzień pracy

– jak była pandemia, to stanął świat, weszły tryby hybrydowe i jakoś to było. Podobnie z zakazem handlu w niedzielę

– Jestem zadeklarowaną piewczynią długich weekendów – mówi.

Czytała już o obawach, czy wolny czas wykorzystamy jak należy. Śmieje się z tego – według niej każdy by jednak znalazł coś dobrego i pomysłowego. A nawet jak będzie tylko leżał, to jego wybór

– Ja bym poświęcała więcej czasu dla rodziny i dla siebie. Gotowałabym więcej i z radością, więcej bym czytała, miałabym czas, żeby obejrzeć film – myśli.

Nuda? W żadnym razie. Małgosia cierpi na nadaktywność, dużo na siebie bierze, wciąż znajduje sobie nowe rzeczy do zrobienia. Nie pamięta, kiedy ostatnio spędziła dzień bezproduktywnie, leżąc. Ale chyba by nawet nie chciała. – Właśnie tego potrzebuję, by zapełniać sobie czas zwykłymi rzeczami, nie tylko pracą. Za mało uwagi im poświęcamy. To o wiele zdrowsze w dłuższej perspektywie. Chcę mieć czas na zadbanie o kwiaty, by iść na rower, na spotkanie z przyjaciółmi, na zabawę z dzieckiem. Żeby życie nie wyglądało tak, że tylko pracuję – mówi.

A dziś? Z dojazdami praca zajmuje jej 10 godzin dziennie. Po pracy zdąży tylko zjeść kolację, wyjść z psem, odrobić z dzieckiem lekcje, przygotować ubrania i jedzenie na następny dzień do pracy i szkoły. Jeśli nie ryje wtedy już nosem w poduszcze, to coś poczyta i poskroluje.

Jakby dzień był dłuższy, to by robiła mniej więcej to samo, ale wolniej i bardziej jakościowo. Psychicznie odpoczywa w przyrodzie, ale też robiąc proste rzeczy w domu, jak nie musi za wiele nad niczym myśleć.

Czuje, że tak naprawdę wszyscy pracujemy non stop, co osłabia więzi rodzinne. Uważa, że więcej czasu z rodziną pomogłoby poradzić sobie z kryzysem zdrowia psychicznego u dzieci i nastolatków.

– Jak nie cały dzień, to skróćmy chociaż te piątki. Wszyscy wiemy, jaka to ulga, jak czasami uda się wyjść z pracy kilka godzin wcześniej. Nagle mamy wrażenie, że uwalnia się naprawdę dużo czasu i łapiemy oddech. O to w tym chodzi – mówi.

Czterodniowy tydzień pracy testują już niektóre firmy,

w Polsce na przykład Herbapol, w Japonii tamtejszy oddział Microsoftu. Póki co, z dobrymi skutkami – u pracowników i pracowniczek często spada poziom stresu i ryzyko wypalenia zawodowego, a wzrasta produktywność. Brak jest jednak danych o skutkach długoterminowych.



FOT. SHUTTERSTOCK

Od kilku lat mówi się o krótszym tygodniu pracy jako o pożądanym beneficie albo systemowej zmianie, na którą wiele organizacji jest już gotowa dzięki robotyzacji i sztucznej inteligencji. Poza tym, większość z nas po prostu chce pracować mniej i więcej czasu poświęcić życiu prywatnemu. Jesteśmy bowiem w czołówce najbardziej pracowanych państw w Unii Europejskiej – biją nas tylko Grecy z 41 godzinami pracy względem 40,1 godziny w Polsce. Przypomnijmy, że możliwość czterodniowego tygodnia pracy zapowiadał nawet Donald Tusk w 2022 roku.

Jak wynika z najnowszego badania No Fluff Jobs (portal z ofertami pracy w IT) na temat urlopowania, 37 proc. Polek i Polaków byłoby gotowych nawet zrezygnować z części urlopu, gdyby mogli pracować cztery dni w tygodniu.

– Taką chęć o wiele częściej deklarują osoby z pokolenia Z, czyli podejście work-life balance ma szansę „zdetronizować” hustle culture [postawa życiowa stawiająca ponad wszystko pracę i sukces], która niestety zakorzeniła się w polskim społeczeństwie. Branża tech nie jest wyjątkiem. W naszym zeszłorocznym raporcie o kobietach w IT 4-dniowy tydzień pracy został wskazany przez specjalistki jako jeden z pięciu najważniejszych benefitów pracy – mówi Magdalena Gawłowska-Bujok z No Fluff Jobs.

Teraz jest szansa, że taka zmiana faktycznie wejdzie w życie. Jak podał portal infor.pl, Ministerstwo Pracy potwierdziło, że pracuje nad nowymi zapisami w kodeksie pracy i rozważane są dwie opcje: dni pracy od poniedziałku do piątku krótsze o godzinę w porównaniu z obecnymi lub czterodniowy tydzień pracy.

Resort liczy, że zmiany dotyczące czasu pracy nastąpią jeszcze w trakcie trwania tej kadencji rządu.

Krzysztof Inglot, założyciel Personnel Service i ekspert rynku pracy uważa, że czterodniowy (czy też po prostu krótszy) tydzień pracy byłby logiczną odpowiedzią na to, że maleje liczba miejsc pracy, przez wspomnianą wcześniej automatyzację i AI, ale też tanią produkcję chińską.

– Teza, którą stawiam, że nigdy już nie będzie tak dużo etatów w gospodarce jak teraz, dotyczy nie tylko Polski, ale tak naprawdę całej europejskiej gospodarki. Trendy związane z demografią czy sztuczną inteligencją dotyczą praktycznie wszystkich krajów, a skutki, które obserwujemy, są zbieżne. Coraz więcej słyszymy o globalnych masowych zwolnieniach, nowych funkcjach AI, które automatyzują kolejne zadania – mówi Inglot.

Trzydniowy weekend?

Izabeli Żbikowskiej z Opola, koordynatorce projektów w sektorze NGO brzmi to fajnie, zwłaszcza na lato, bo można wyjść do lasu, na konie. A jak na dworze plucha, to chyba zostaje netflix. No, może by się przyzwyczaiła.

Choć jak teraz ma długi weekend, bo jest jakieś święto, to często i tak nie bierze wolnego, bo nadrabia pracę. Wtedy mało osób czegoś wtedy od niej chce. Ona może pracować na luzie i sporo zrobić.

– Ale serio co tydzień ten długi weekend? Nie wyobrażam sobie tego. Pewnie w ciągu tygodnia pracowałabym wolniej, potem nadrabiała, coś bym klepała w laptopie. A przedszkola będą otwarte? Bo jak ma być wolny dzień bez pracy i dzieci, to poproszę. Byłby rzeczywisty odpoczynek – mówi. – Ale dłaczego oni to chcą wprowadzić? – dopytuje.

Że równowaga w życiu? Pytanie, jak to wpłynie na efektywność pracy. Przecież wciąż jesteśmy krajem na dorobku. Co prawda na wakacje na Zanzibarze już możemy zarobić, ale własne mieszkanie w Polsce dla wielu ludzi są wciąż poza zasięgiem.

W jej branży kluczowa jest współpraca z ludźmi i wszystko zawsze zależy od kalendarza innych. Iza dowiezie tylko wtedy, jeśli dowiozą inni. Gdy coś się sypie, ma mało czasu na reakcję, a w czterodniowym tygodniu będzie go jeszcze mniej.

– Pewnie przystosowalibyśmy się, tak jak się dostosowaliśmy do pracy w pandemii, ale pytanie jest, jakie poniesiemy tego koszty psychiczne. Zobaczmy, czy będzie warto – mówi.

Z dwóch opcji – krótszego tygodnia, albo krótszego dnia pracy – wolałaby wcześniej się co dzień urywać niż mieć wolny piątek. Trudno jej sobie wyobrazić, że ktoś zabierze jeden dzień pracy, chyba że to będzie wprowadzane stopniowo. Tak nam w sumie zabrano handel w niedzielę i jakoś żyjemy.

– Nie mówię, że się nie uda, że woda przestanie płynąć w kranie. Ale wyobraź sobie media w czterodniowym tygodniu pracy [autorka tekstu bardzo dobrze sobie to wyobraża]. Jeśli się uda, to pytanie kiedy i czy jeszcze w naszym pokoleniu. Może dopiero kolejne będzie odczuwać pozytywne skutki zmiany, ale my jeszcze nie. Myślę, że wręcz przeciwnie, bo nie ogarniemy planowania pracy tak, by rzeczywiście korzystać z wolnego dnia i na początku to będą tylko pozory odpoczynku – mówi.

Janek z Pułtusza, lat 30, buntuje się, gdy czuje się wykorzystywany.

Janek jest opiekunem marki w branży FMCG. Lubi wykonywać pracę zadaniowo,

Młodzi raczej pracują żeby żyć, nie odwrotnie. Na pewno potrafią wymyślić, co zrobić z wolnym czasem. Ale dla pokolenia 50 plus praca jest często sensem życia

szybko i tam się tak da. Robi nieco powyżej minimum, nie idealnie, ale na tyle, że nikt się nie czepia, a on nie ma wyrzutów sumienia. W firmowej aplikacji zaznacza, że kończy pracę po ośmiu godzinach, a tak naprawdę wychodzi, gdy skończy, co było do zrobienia. Czyli koło 13. W firmie może wiedzą, może nie, ale nie płacą kokosów, więc nie wnikają. Wypłacają mu nawet premię.

Jankowi pasuje, że choć nie zarabia dużo, to przynajmniej nie zdziera się dla korporacji, która bez tego świetnie sobie poradzi. Nawet jeśli zdarza się, że pracy jest za dużo i nie wyrabia się w ośmiu godzinach, zostawia pracę komuś innemu do skończenia następnego dnia. Nikt nie miał dotąd pretensji.

Janek ma za to czas na proste przyjemności, gotowanie, popołudnie z dziewczyną, grę w pokera, sport w parku. Umie się tym cieszyć i korzystać z wolności. Z łatwością znajduje sobie zajęcia i jeśli czegoś nie robi, to prawdopodobnie śpi. Aktywność i zaangażowanie poza pracą go resetują.

Przez część życia poświęcał się sportowi i to na niego zarabiał, bo go uszczęśliwiał. Miał sukcesy, w tym nawet mistrzostwo Polski. A zawodowo często zmieniał zajęcia: zakładanie fotowoltaiki, okien, stolarka, różne przypadkowe prace.

– Praca długo nie była na pierwszym miejscu, dlatego dziś nie zarabiam 10 tys. – mówi. Póki co Janek może sobie pozwolić na taki tryb życia, jak ma. Nie ma kredytów ani żadnych zobowiązań – ale w efekcie czuje, że nie ma też nic, to znaczy mieszkania ani perspektyw na nie, czy nawet opcji droższego wyjazdu za granicę. To nie tak, że nie chciałby więcej pracować i mieć dużo pieniędzy, jak niektórzy koledzy. Po prostu tak mu się życie ułożyło, że nie znalazł pracy marzeń, która warta byłaby poświęcenia, i w której z czasem by doszedłby do fajnych zarobków. Ale gdyby tak było, zabrałby się do cięższej pracy. Liczy jednak, że to się jeszcze wydarzy i idealnie by sięłożyło, gdyby wtedy już wszedł czterodniowy tydzień pracy. Przyjąłby go z przyjemnością. Bo czuje, że nawet w fajnej pracy mógłby się wypa-

lić, gdyby było jej za dużo. Zdecydowanie nie ma genu pracoholika, łatwo buntuje się, gdy czuje się wykorzystywany.

Niedawno Janek miał propozycję dodatkowego zajęcia, ale byłoby to dużo godzin za kiepskie pieniądze, w pracy nudnej i monotonnej. Najpierw chciał zagryźć zęby, przetrzymać miesiąc, by zarobić na wakacje i odejść. Ale jednak uznał, że się nie opłaca. Bo miesiąc byłby wyjęty z życia po to, by pieniądze wydać potem w dwa tygodnie. Zdecydował, że woli zrezygnować z innych wydatków (na razie nie kupi roweru ani nowych butów). Trochę pieniędzy na wyjazd zostanie.

Kwestia złego zarządzania

Kamila z Wrocławia widzi, że wiele osób nie wyrabia się z pracą nawet w 10 godzin pracując pięć dni i są wiecznie przeciążone. Ale to kwestia złego zarządzania. Ona na długi weekend by się cieszyła. – Brakuje dziś czasu na życie rodzinne, odpoczynek. W końcu znalazłabym czas, by ogarniać wszystko, z czym się dziś nie wyrabiam: wysypianie się, sprzątanie, bycie z dzieckiem – mówi.

Myśli, że jesteście tak zajęci, bo dzisiaj jest o więcej możliwości spędzania czasu niż kiedyś.

Oferta rozrywki i kulturalna w wielu miejscach jest bogata. Chce się z tego korzystać, a nie ma kiedy. Do tego dzieci też mają więcej zajęć, które zajmują czas wolny rodzica – jej syn ma w tygodniu dwa treningi koszykówki i dwa treningi koncentracji.

Gdyby miała więcej czasu, uprawiałaby więcej sportu, biegała, jeździła na rowerze, rollkach, czytała książki. Książkę udaje jej się czytać w drodze do pracy i z powrotem, ale na sport w tygodniu nie ma szans. W weekendy często wypadają wyjazdy i spotkania z rodziną, więc tylko raz się udało iść w tym roku na rower, na rolki jeszcze ani razu.

Psycholog: niepokój przed nicnierobieniem

Czy pracujemy dziś zbyt długie godziny? Według Sławomira Prusakowskiego, psychologa z SWPS we Wrocławiu, niekoniecznie, ale problem w tym, jak one są upakowane zadaniami i jak bardzo są intensywne.

– Kiedyś już tak było, że człowiek całe dnie spacerował, zrywał roślinki i siedł dalej. A potem wymyślił, że będzie pracował coraz więcej – mówi.

I dziś wiele osób może odczuwać niepokój przed nicnierobieniem, choć zależy to od pokolenia. – Młodzi raczej pracują żeby żyć, nie odwrotnie. Oni na pewno potrafią wymyślić, co zrobić z czasem. Ale dla pokolenia 50 plus praca jest często sensem życia – mówi.

Oni więc mogą się zastanawiać, co właściwie robić innego niż pracować. Bez poczucia sensu źle się żyje, więc jeśli sensem życia jest praca, to zmiana, w najlepszym wypadku, będzie wymagać wypracowania nowych nawyków.

– Ale przecież już teraz miewamy wolne długie weekendy i nie ma dramatu.

– Ale wtedy ludzie z wyprzedzeniem planują, co zrobią, sporo osób wtedy wyjeżdża. Ale jeśli regularnie będą mieć dodatkowy dzień wolny, to to jest spory kawałek czasu do zagospodarowania i dla niektórych to będzie trudność, by go zagospodarować.

Wiele zależy też od statusu. Najbardziej z wolnego czasu pewnie ucieszą się osoby, które dobrze zarabiają i których stać ich na wiele przyjemności.

Inni nie będą się cieszyć z odpoczynku, tylko będą szukać okazji, by dorobić.

Prusakowski uważa się za pracoholika. Ma okresy, że pracuje bardzo dużo, ale po nich też takie, w których nie pracuje wcale. Nie ma ustalonego rytmu. Pasuje mu ilość pracy, jaką ma. – Pewnie jakby spytał ludzi, czy chcieliby pracować 10 godzin za te same pieniądze, to też byłoby za. Ja bym się znudził. I myślę że większość ludzi też nie umiałaby zapełnić tego czasu. Musielibyśmy się tego nauczyć. Ja bym więcej pracował w ogródku, choć to przecież też praca – mówi.

Prusakowski podkreśla, że wszystko jest kwestią nawyków. Człowiek, by funkcjonować, musi mieć mniej lub bardziej uświadomione rutyny.

Spędzania wolnego czasu uczymy się jak wszystkiego innego.

Pandemia zmieniła niektóre nawyki na minus. Część z nas przestała wychodzić na spotkania innych ludzi i czuje się samotna. – Można radzić, żeby wrócili do tego co było, wyszli z domu, ale z jakiegoś powodu tego nie robią. Wytobili nowy nawyk unikania kontaktów – mówi.

Czy czterodniowy tydzień wprowadzi pozytywne zmiany? Będziemy się więcej ruszać, okażemy bliskim więcej czułości, będziemy zdrowsi? Czy też zasiedzimy się na kanapie?

– Najprawdopodobniej będziemy ten czas spędzać robiąc to, co teraz, tylko będzie tych czynności więcej. Jeśli weekend spędzamy w telefonie lub z serialem, to właśnie temu poświęcimy więcej czasu – mówi. A jeśli lubimy wtedy podróżować, to pewnie wyjazdów będzie więcej.

Co więc robić? – Pracujemy nad nowymi nawykami, pomyślmy jak chcemy żyć i planujemy, jak to zrobić, by być lepszym człowiekiem, kiedy zostanie nas długi weekend – mówi. ●

OGŁOSZENIE

Kraj/34314768

Wielokulturowy hołd dla nowojorskiego lockdownu. Poruszający i zabawny.

KIRKUS

Dowcipna i wzruszająca opowieść, która jest owocem współpracy trzydziestu sześciu wyjątkowych pisarzy i pisarek, oddaje spektrum ludzkich doświadczeń.

BOOKLIST

PRZEKŁAD DOBROMILA JANKOWSKA, DARIUSZ ŻUKOWSKI

OLŚNIEWAJĄCA POWIEŚĆ
STWORZONA PRZEZ GWIAZDY
I MISTRZÓW LITERATURY

Co wieczór na dachu nowojorskiej kamienicy grupa sąsiadów zbiera się, by w świetle księżyca snuć niespieszne opowieści. Miasto paraliżuje pandemia i lockdown, a lokatorom nie pozostaje nic innego, jak trzymać się razem i dzielić historiami. Tak jak w *Dekameronie*, *Baśniach tysiąca i jednej nocy* czy *Rękopisie znalezionym w Saragossie* z poplątanego wielogłosu wyłania się barwna opowieść i portret czasów, w których poczucie utraty i wspólnoty mogą iść w parze.

Chcąc nie chcąc, pomagamy Rosjanom w wojnie hybrydowej. My wszyscy, nie tylko PiS

Z DZIENNIKARZEM, ANALITYKIEM
WITOLDEM REPETOWICZEM ROZMAWIA
MAŁGORZATA TOMCZAK

MAŁGORZATA TOMCZAK: Trwający od prawie trzech lat kryzys na wschodniej granicy UE ma, oprócz wymiaru migracyjnego i humanitarnego, również wymiar operacji hybrydowej wymierzonej w Polskę i kraje bałtyckie, a od kilku miesięcy również w Finlandię. Używanie migracji jako broni nie jest niczym nowym – takie działania przeprowadzały już wcześniej m.in. Turcja, Maroko czy Libia. Pan już w 2015 roku pisał o weaponizacji migracji, używając terminu „broń demograficzna”. Mówienie o migracji w tych kategoriach jest trudne; taka terminologia często budzi oburzenie.

WITOLD REPETOWICZ: W 2015 roku atmosfera była nieco inna – wielu liderów politycznych w Europie odrzucało myśl, że masowa migracja jest wykorzystywana jako broń. Zresztą o tym też napisałem w moim artykule – że to naturalny dla naszej cywilizacji odruch. Broń jest przedmiotem, człowiek podmiotem, więc odrzucamy podejście opisujące ludzi w kategoriach przedmiotowych.

W 2021 roku rozmawiałem o tym z „Der Spiegel”, tłumaczyłem te problemy z terminologią i zostało to przyjęte ze zrozumieniem, którego w 2015 roku nie było. Odpowiedzialności za instrumentalizację ludzi jako broni nie ponosi osoba, która ten fakt opisuje. Tylko ci, którzy ten system opracowali i wdrożyli w praktyce.

Na południu Europy, Maroko, Libia, Turcja stosowały presję migracyjną jako narzędzie doraźnego szantażu. W naszej części Europy mamy jednak do czynienia z czymś poważniejszym – długofalowym działaniem obliczonym na wywołanie głębszych skutków społecznych, np. wzmacnianie polaryzacji. Niby wiemy, że *spiritus movens* tych działań jest Rosja, ale trudno nam zrozumieć, w jakim zakresie.

– W rosyjskiej doktrynie wojskowej od lat istnieje termin „zarządzanie przymusową migracją”. W 2012 roku rozwinął go przewodniczący rosyjskiego Kolegium Ekspertów Wojskowych generał major Aleksander Władimirow w monografii „Podstawy ogólnej teorii wojny”. W rozdziale „Technologie geopolityczne jako nowe operacyjne środki wojny” definiuje „strumienie ludzkie” – „antropopotoki” – tworzone za pomocą przymusowej migracji jako narzędzie wojny. Wymienia cele tej broni: zburzenie granic politycznych, gospodarczych i kulturowych czy rozbięcie integralności terytorialnej.

Te doktryny zakładają też wykorzystanie europejskiego humanitaryzmu i doprowadzenie do polaryzacji społecznej. Władimirow wprost pisze, że zastosowanie migracji jako broni jest możliwe dzięki wykorzystaniu czynników kulturowych i psychologicznych – „syndromu prostego człowieka”, „litości silnych wobec słabych”, „nienawiści słabych wobec silnych”.

Takie działania z wykorzystaniem tzw. środków aktywnych są zresztą realizowane przez Rosję od dawna i doskonale opisane w literaturze operacji psychologicznych.

Proszę powiedzieć, czy jest coś wspólniejszego niż pokój na świecie?

?

– Pokój, brak wojen jest stanem wspianym, najbardziej pożądanym, prawda? Pacyzm to piękny pogląd. Ale wiele doku-



JESTEŚMYD TO NASZA SŁABOŚĆ

mentów wskazuje, że w czasach zimnej wojny środowiska pacyfistyczne w Europie Zachodniej były zinfiltrowane przez rosyjską agenturę. Autentycznie działający pacyfiści byli wykorzystywani właśnie w formie „środków aktywnych” przeciwko Zachodowi, Sojuszowi Północnoatlantyckiemu, Stanom Zjednoczonym.

Temat nie jest łatwy, bo o ile jest zgoda, że Rosja prowadzi wojnę hybrydową z Zachodem, to nie ma zgody, w jakich aspektach. W Hiszpanii można zaobserwować silny ruch antynatowski: protesty „Nie dla wojny, nie dla NATO”, silnie rezonujący na lewicy pogląd, że „Rosja nie miała wyboru, musiała bronić się przed amerykańskim imperializmem”. Argumenty, że jest to wpisywanie się w narrację i interes Rosji, są wyśmiewane lub bagatelizowane.

Na Cyprze widziałem plakaty nawołujące do rozejmu w strefie Gazy. A obok informację, a raczej dezinformację, że na Cyprze są wojenne okręty włoskie i amerykańskie, które przerzucają broń do Izraela, by mordować Palestyńczyków.

Pacyfizm to piękna idea, silnie rezonująca w wielu grupach. Dlatego również pod-

sycana z zewnątrz. Tylko że nie bierze pod uwagę skutków – bo co będzie, jak Zachód się rozbroi? Podobnie nie bierze się pod uwagę faktu, że humanitaryzm Zachodu jest wykorzystywany.

W Polsce panuje raczej konsensus, że pewne ugrupowania i działania – nacjonalistyczne, antyunijne – wpisują się w rosyjski interes. Wiele osób zgodzi się też, że podsycanie nastrojów antyukraińskich, np. związanych z protestami rolników, to element działań Rosji. Podobnie z sytuacją na granicy polsko-białoruskiej – na argumenty, że pewne działania wpisują się w cele rosyjskie, a niektóre narracje zbliżają się do narracji Kremla, wiele osób reaguje oburzeniem. Bo wartości i motywacje są bezsprzecznie szlachetne, humanitarne.

– Angażowanie się w działania lub powielanie informacji spójnych z czyimś światopoglądem, co jednocześnie jest wykorzystywane, w tym przypadku przez Rosję, to dość typowy schemat. Największą rolę odgrywają w nim wcale nie agenci, ale tzw. pożyteczni idioci...

...które to pojęcie pierwotnie miało nieco inne, węższe znaczenie – tak Lenin nazwał zachodnich szczerych entuzjastów rewolucji bolszewickiej. A później sowieckie służby rozciągnęły je...

– ... na osoby autentycznie zaangażowane w jakąś sprawę, które głęboko wierzą w to, co robią, a obca siła z tego korzysta, często wbrew ich wartościom i poglądom. Tacy ludzie są szczególnie podatni na impulsy, które dodatkowo będą utwierdzać w ich przekonaniach. Potencjalna dezinformacja może padać na grunt, bo oddziaływanie kognitywne nie angażuje umysłu, tylko emocje.

W naturze człowieka jest to, że każdy chce być dobry, prawda? Może z wyjątkiem osób o faktycznych skrzywieniach. Więc gdy pojawia się obraz cierpiących ludzi, bycie dobrym zobowiązuje do pomocy im i współczucia. Jeśli reagujesz w inny sposób, jesteś postrzegany jako zły człowiek. Gdy wyjaśniasz: „tak, współczuję, ale jest to element wojny hybrydowej”, to spycha cię do defensywy. Bo współczuć należy bez „ale”.

Celem wojny hybrydowej jest też destabilizacja społeczeństwa, a temu świet-



FOT. LEONID SHCHEGLOV / BELTA / AFP

OBRZY I SIŁA

nie służą silnie oddziałujące obrazy. Proszę zauważyć, że o każdym kryzysie humanitarnym – czy w kontekście wojny, czy masowej migracji – debatuje się za pomocą obrazów dzieci. A ze zdjęciem cierpiącego dziecka nie da się prowadzić racjonalnej dyskusji.

Podczas kryzysu powstało wiele takich obrazów. Sytuacje ze skrzywdzonymi, strauatyzowanymi rodzinami na pograniczu wywołują silne reakcje: chce się coś zrobić, zaprotestować, naciskać na władzę. Jednocześnie na innych

odcinkach granicy duże grupy próbują ją siłowo forsować. Mamy dwie strony medalu, ale widząc cierpienie konkretnych ludzi z „grup wrażliwych”, którym należy się szybki ratunek, trudno przyjąć informację, że to, co dzieje się obok, może być „ustawką” służb białoruskich albo metodą przemytników na udrożnianie szlaków.

– To podam przykład z drugiego krańca światopoglądowego. Od początku kryzysu uchodźczego pojawiały się głosy, że „do migrantów trzeba strzelać”. „Jak zastrzelili się kilku, to odstraszy się resztę”. Część tych

głosów była autentyczna w swojej bezmyślności, ale część mogła być jednak elementem wojny hybrydowej.

Proszę sobie wyobrazić, co stałoby się, gdyby Straż Graniczna strzelała i kogoś zabiła. Pomijając całą humanitarną tragedię takiej sytuacji, nie miałyby ona wcale funkcji odstraszającej migrantów. Przeciwnie – sparaliżowałaby Straż Graniczną i służby, ponieważ wybuchłoby oburzenie, wielkie protesty, śledztwo.

Podobną funkcję pełnią przekazy zupełnie odwrotne: te humanitarne, silnie nacechowane emocjonalnie. Informacja o dzieciach, których życie jest zagrożone, skupia uwagę mediów i opinii publicznej, wywołuje naciski na służby i angażuje je, tworząc sytuację udrożniającą szlak migracyjny. Taką funkcję mogła pełnić też nieprawdziwa informacja o zaginionym dziecku w 2021 roku. Służby muszą zaangażować się wtedy w poszukiwania, co zaburza ich pracę.

Jeszcze inny przykład, z 2016 roku, tuż po zajęciu Aleppo przez Asada. Prezydent Sopotu powiedział wtedy, że chce sprowadzić do Polski sieroty z Aleppo. Część mediów zrobiła aferę, że „rząd PiS nie chce sprowadzić 10 sierot z Aleppo”. Problem w tym, że jak Polska miałaby je sprowadzić? Wysłać GROM, żeby je porwał? Poprosić Asada, żeby wytypował dzieci do wysłania do Polski? Bo te tereny były już pod jego kontrolą.

Gdy podnosiłem te argumenty, spotykałem się z reakcją, że jestem niewrażliwy, kpię sobie z tragedii. To łatwy mechanizm. Gdy używa się figury dzieci, kwestionowanie prawdziwości jakichkolwiek informacji powoduje skrajne reakcje. Ponieważ nikt nie chce być oskarżany o „podłość, niewrażliwość na cierpienie”, to łatwiej jest nic nie podważać.

I dlatego dzieci zawsze są i będą w ten sposób wykorzystywane. Ile jest na świecie cierpiących dzieci? Ogromna większość nikogo nie interesuje. Kto dziś przejmuję się cierpieniem dzieci w Jemenie lub Sudanie Południowym? Kto domaga się działań od polskich władz w tym aspekcie? Gdy podnosi się argument, że przecież na świecie są setki milionów ludzi, którzy chcieliby przedostać się do Europy – i to w znacznie gorszej sytuacji, niż osoby na granicy – więc może powinniśmy ich tu formalnie relokować, to druga strona znów reaguje oburzeniem. „Jakie dzieci w Jemenie, tu jest to dziecko płaczące na granicy, trzeba mu natychmiast pomóc”.

To również wynik kultury obrazkowej. Gdy ktoś poda liczbę – 200 tysięcy dzieci w Jemenie głoduje – nikogo nie skłoni do działania. Gdy pokaże się zdjęcie płaczącego dziecka pod płotem, poruszy wszystkich.

No dobrze, ale jednak humanitaryzm jest nie tylko naszą słabością, ale też siłą. Tym wygrywamy z dyktaturami. Więc jak odróżniać prawdziwe informacje od dezinformacyjnych „wrzutek”? Skąd mamy wiedzieć, kiedy służą one przemytnikom do udrażniania szlaków, a kiedy są działaniem Białorusi?

– Przemytnikom chodzi po prostu o sparaliżowanie działań pograniczników, np. przez skierowanie wysiłków wielu osób na poszukiwanie tych zaginionych, błakających się osób. Tak jak w przypadku słynnej informacji o zaginionym dziecku w 2021 roku, która okazała się nieprawdziwa. Służby muszą zaangażować się wtedy w poszukiwania, co zaburza ich pracę.

Elementem działań hybrydowych jest natomiast podważanie zaufania społeczeństwa do władzy. I nie chodzi o określoną opcję polityczną, tylko o instytucje państwowe. Celem wrogich państw jest sprawienie, by instytucje – np. służby mundurowe – nie działały tak, jak powinny. Ponieważ nie będą prawidłowo działać bez społecznego zaufania, to środkiem do ich paraliżu będzie właśnie podważanie ich wiarygodności i kompetencji. Sprzyja temu tworzenie narracji, że to instytucje zbrodnicze, przestępcze, ale także nieudolne i nieprofesjonalne. To jeden z celów wojny hybrydowej, do tego dążyła białoruska i ro-

syjska propaganda. Zupełnie organiczne i autentyczne narracje humanitarne wykorzystywane jako „środki aktywne”.

Przypadki przemocy, brutalności i pogardy mundurowych wobec migrantów były i są udokumentowane. Jednocześnie z relacji samych migrantów i z dyskusji na ich forach wynika, że białoruskie służby od początku kryzysu zmuszają ich do opowiadania przed kamerami o szczególnej przemocy ze strony Polaków.

Mężczyzna, który miesiącami próbował przedostać się do Unii, opowiadał mi, że aby dostać od Białorusinów jakąkolwiek pomoc, muszą regularnie próbować przekraczać granicę i dokumentować push-backi – a jeśli nie dostarczą filmów czy zdjęć, które Białoruś mogłaby wykorzystać, to są przez tamtejszych pograniczników bici. Pewne historie przedstawiane jako dowód na okrucieństwo polskich służb, migranci na swoich forach przedstawiali zupełnie inaczej – jako zdarzenia aranżowane przez Białorusinów.

Wiemy, że niektóre z drastycznych obrazów – masowe groby czy przerzucanie ciał – pochodziły ze źródeł, którym absolutnie nie powinniśmy ufać – np. z Białoruskiego Państwowego Komitetu Granicznego. W infosferze takie relacje miesza się z autentycznymi i nie wiadomo już, co jest prawdą.

– Gdy w pewien schemat rzeczywistości trafia informacja, która do niego pasuje, wypieramy, kto może być jej nadawcą. Białoruś? No tak, to reżim, Łukaszenka ma złe intencje, ale wydaje się, że tutaj mówi prawdę, w końcu to jest zbieżne z potwierdzonymi informacjami, które już mamy.

A jeszcze wiemy, że służby są na usługach PiS – oczywiście, że instytucje były upolityczniane i to jest część tego problemu. Bo w percepcji społecznej następuje zespolenie instytucji państwowych z nie-lubianą władzą polityczną, a wtedy łatwiej o głąszachtującą konkluzję: „to jedna wielka grupa przestępcza”.

Większość obrazów, które do nas dotarły, była jednak prawdziwa.

– A jednocześnie niektóre, te najbardziej emocjonalnie angażujące, były w pewien sposób „przedstawione”. Czasem dobudowano do nich kontekst, który nadał im innej wymowy. Przykładem sytuacja w Usnarzu, która została powiązana z upadkiem Afganistanu – choć miała miejsce zaledwie kilka dni po przejściu Kabulu przez talibów. Nie kwestionuję, że byli tam Afgańczycy, ale służby rosyjskie i białoruskie wykorzystwały kontekst ewakuacji Kabulu i stworzyły figurę „uchodźców z kraju zrzuconego przez Zachód, przed którymi Zachód zamyka teraz drzwi”.

W analizach działań informacyjnych Rosji rozróżnia się informacje produkowane na rynek wewnętrzny Rosji i Białorusi, globalny – powiedzmy „globalnego Południa”, wewnętrzny Polski i europejski. Czemu służą te poszczególne narracje?

– W narracjach propagandowych występowało kilka elementów. Pierwszym były celowe działania mające dyskredytować Polskę, a szerzej, Europę, na kilku płaszczyznach, w tym wartości humanitarnych – bo tyle mówi o prawach człowieka, a jest tak zakłamana i bezduszna; czy ekologii – bo stawia mur, który niszczy przyrodę i powoduje cierpienie zwierząt.

Pamiętajmy, że Rosji zależy, by kanał migracyjny był jak najbardziej drożny, aby Europa ponosiła skutki niekontrolowanego przepływu ludzi. A gdy strumienie migracyjne stają się zbyt duże, państwa przyjmujące zamykają kanały, co zrobiły jesienią 2021 roku właśnie Polska i kraje bałtyckie, a w zeszłym roku Finlandia. Wtedy Rosja i Białoruś kierują do migrantów przekaz o „złej, rasistowskiej Europie”, a podejmują tę narrację niektóre organizacje humanitarne – zupełnie organicznie, same z siebie.

No ale europejski rasizm, zwłaszcza XIX-wieczny, teorie rasowe, kolonialne dzielenie mapy od liniiki, postkolonialne interesy – to wszystko nie jest wymysłem rosyjskich propagandystów. Ani „oszałałych lewaków”.

– Ale Rosja ma udział we wzmacnianiu takiej narracji w Afryce, w koncentrowaniu uwagi tamtejszej opinii publicznej na re-sentymentach. W swoich przekazach Putin wprost odwołuje się do teorii „złotego miliarda” – czyli pochodzącej jeszcze z radzieckich czasów narracji o jednym miliardzie ludzi, który posiadał wszystkie zasoby świata, wykorzystuje resztę populacji, dzięki której żyje w luksusie. Przywołuje tę teorię, goszcząc w krajach Afryki i Azji. Rosyjska propaganda mocno pracuje zwłaszcza w krajach afrykańskich, gdzie w ostatnim czasie dochodziło do antyfrancuskich przewrotów i skąd migruje wiele osób. W świetle tej teorii migranci powinni „iść po swoje” – odebrać to, co Europa im zabrała.

Warto zwrócić też uwagę na narrację rosyjską skierowaną do świata muzułmańskiego i arabskiego – jak to Zachód popiera Izrael i dokonuje ludobójstwa na Palestyńczykach.

Ten ogólny przekaz uzupełniają sprofilowane, dopasowane do konkretnych kontekstów i momentów wstawki, jak ta szowinizmie Polaków. Nabrały rozpędu, gdy w lutym 2022 roku granicę z Polską przekraczali uchodźcy z Ukrainy. Oczywiście, dochodziło tam do incydentów z obywatelami innych krajów, zwłaszcza po ukraińskiej stronie. Ale były przez rosyjską propagandę bardzo wyolbrzymiane.

No ale znów: faktycznie do nich dochodziło. Sympatyków Konfederacji alarmujących, że Ukraińcy pasażerują na Polsce czy narodowców atakujących ukraińskie święto w Przemyślu Rosjanie nie zahipnotyzowali. Oni robią to, co robią, bo tak myślą. I jak w takim razie odsiać rosyjskie manipulacje?

– Jest oczywiste, że Rosjanie mają wpływ na środowiska rasistowskie, ekstremistyczne, antymigracyjne. To nie znaczy, że zawsze inspirować je do takich działań – raczej wykorzystują te środowiska jako „środkie aktywne”, by doprowadzić do sytuacji, które Rosja będzie mogła świetnie propagandowo wykorzystywać.

Sieje się informacje, o których wiadomo, że padną podatny grunt w różnych grupach, zaktywizują pewne środowiska, które będą je – najczęściej nieświadomie – rozprzestrzeniać. Przykładem historii o niebiałych uchodźcach, którzy okradli sklep w Przemyślu lub zgwałcili kobietę z Ukrainy. Od razu się poniosły i skutkiem była mobilizacja środowisk kiboli.

Na szczęście policja zdusiła to w zarodku. Ale gdyby doszło do „obrony Ukrainek/lokalnej społeczności przed muzułmańskimi migrantami”, Rosjanie nagłaśnialiby to i podgrzewali atmosferę: oto polscy nacjonaliści biją nie-białych uchodźców.

Łatwo jest identyfikować grupy czy działania spójne z narracją i celem Rosji po drugiej stronie debaty; piętnować je u ludzi o zupełnie przeciwnym światopoglądzie i wartościach. Znacznie trudniejsze – i nie wiem, czy w ogóle możliwe – jest krytyczne spojrzenie na własne działania i refleksja, czy nie jest się „pożytecznym idiotą”.

– Kryzys migracyjny jest idealnym narzędziem polaryzacji społecznej. Od samego początku Rosjanie i Białorusini kierują przekaz do środowisk skrajnie nacjonalistycznych: „oto idą do was niebezpieczni migranci, będą gwałcić i mordować, trzeba bronić białej Europy”; a z drugiej do środowisk humanitarnych i samych migrantów: „rasistowska Europa pokazała swoją hipokryzję”. To, że te narracje są zupełnie sprzeczne, nie ma żadnego znaczenia, bo każda ma rezonować w innym środowisku.

Czasem wystarczy wypuszczenie impulsu, a czasem propagandowe podgrzewanie zaistniałych niezależnie sytuacji. Oczywiście, w tych środowiskach mogą zdarzyć się faktyczni agenci, którzy pracują dla Rosji. Ale większość roboty wykonują po prostu ludzie, którzy szczerze w to wierzą.

I w historiach o dzieciach na granicy, i o atakach migrantów na Europejki, zachodzi podobny mechanizm: taka informacja pojawia się w infosferze; przed komputerem siedzi osoba, która ma ukształtowany pogląd – rasistowski czy humanitarny – i odbiera komunikat, który wywołuje u niej silne emocje. Powiela go, reaguje na różne sposoby, przekaz zaczyna się rozprzestrzeniać i rezonuje u kolejnych osób z podobnym zestawem poglądów i podatnych na tego rodzaju informacje.

Jak mamy się przed tym bronić? Możemy uodparniać się na stricte dezinformację, na ewidentną propagandę. Ale trudno mi wyobrazić sobie, że odrzuca my humanitaryzm, bo używa go Rosja.

– Walka z manipulacją za pomocą humanitaryzmu jest dużo trudniejsza niż po prostu z dezinformacją. Niestety, trzeba ją podjąć. Po prostu zrezygnować z luksu-

to koszt, który musimy ponieść. Nasze wartości demokracji i wolności są używane jako narzędzie przeciwko nam, ale nie możemy z nich zrezygnować – bo ich zniszczenie jest właśnie celem naszych wrogów.

Natomiast w Polsce występuje duża polaryzacja polityczna, która ułatwia działania destabilizacyjne. To, co robi jedna partia, musi być zawsze zakwestionowane przez drugą.

Wątki rosyjskiej agentury też są wdziecznym narzędziem do atakowania przeciwników. Politycy i komentatorzy notorycznie oskarżają drugą stronę o działania na rzecz Kremla – z debaty można odnieść wrażenie, że zagrożenie jest wyolbrzymiane i upolityczniane. A z drugiej strony, sprawy takie, jak sędziego Szydła, każą się zastanawiać, czy przeciwnie – nie jest ono bagatelizowane.

– Jeśli politycy obrzucają się nawzajem oskarżeniami o rosyjską agenturę, agentów tropi się w mediach społecznościowych i takie wątki stają się naturalnym elementem publicznej debaty, to temat po prostu się trywializuje i pojawienie się prawdziwego szpiega czy agenta ginie

nego materiałami. Motywacje ideologiczne, choć rzadziej, również się zdarzają, choć rzadziej. Kim Philby, słynny sowiecki szpieg, dzięki któremu w latach 40. i 50. Rosjanie mieli wgląd w największe sekrety brytyjskich służb, był przecież komunistą i robił to z przyczyn ideowych. Podobne motywacje przyświecać mogą agentom wpływu, którzy jednak różnią się od szpiegów.

Na czym polega różnica?

– Szpieg jest prowadzony z zewnątrz, wykonuje polecenia swoich oficerów prowadzących. Agent wpływu też działa na rzecz innego państwa, ale realizuje jego interes bardziej samodzielnie. I to jest trudniejsze do udowodnienia niż klasyczne szpiegostwo.

W Polsce było kilka takich głośnych spraw, ale ponieważ nie zawsze można wskazać konkretne dowody, to osoby posądzane o agenturę mogły oskarżyć innych o pomówienie. Więc próby eksponowania agentów wpływu są działaniem ryzykownym.

Jakie osoby czy instytucje są najchętniej infiltrowane przez Rosję czy Białoruś?

– Kluczowe są dwie kwestie: dostęp do in-

Rosyjska propaganda mocno pracuje w krajach afrykańskich, w których dochodziło do antyfrancuskich przewrotów i skąd migruje wiele osób. A do świata muzułmańskiego i arabskiego kieruje narrację, jak to Zachód dokonuje ludobójstwa na Palestyńczykach

su bycia postrzeganym jako dobry człowiek w każdym aspekcie i wskazywać na konsekwencje pewnych działań. Ryzykując oskarżenia o niewrażliwość, o nieludzki pragmatyzm, o rasizm – bo gdy próbujesz racjonalnie tłumaczyć, że na przykład pewne sytuacje są aranżowane przez służby, stajesz się podejrzanym. Być może uważasz, że każdy migrant to terrorysta, tylko nie chcesz się przyznać i owijasz to w trzeźwą narrację? Od razu spotykasz się ze stereotypowym zestawem wypowiedzi, które zupełnie nie odnoszą się do twojej argumentacji, tylko do schematu debaty między skrajnościami.

Ale chyba Rosjanom nie idzie najlepiej ze „zrywaniem połączeń” między instytucjami a społeczeństwem. Bo z sondaży wynika, że poparcie dla Straży Granicznej czy budowy zapory wzrosło.

– Tak, skuteczność tych działań była ograniczona, co przyczyniło się do refleksji po stronie obecnej władzy. Udaje się unikać pewnych wcześniejszych błędów w zakresie komunikacji społecznej, jest baczenie na sposób bycia funkcjonariuszy. Ale podstawowe elementy polityki poprzedniego rządu są utrzymane.

W krajach bałtyckich, Finlandii czy Hiszpanii podczas presji migracyjnych nie wystąpiły tak silne reakcje społeczeństwa, ani „pro”, ani „anty”. Czy to zaangażowanie świadczy o sile naszego społeczeństwa obywatelskiego, czy raczej o nieumiejętności korzystania z mediów i podatności na działania destabilizacyjne?

– Zacznę od ogólnego spostrzeżenia, że protesty, obrócenie się część społeczeństwa przeciwko instytucjom państwa czy pogłębianie polaryzacji przez wolne media

w ogólnym chaosie narracyjnym.

To schemat jak z bajki o pasterzu i wilku: pasterz dla zabawy krzyczał „wilk, wilk” i wzniecał fałszywe alarmy; na początku całe miasto biegło z pomocą; w końcu pojawiło się prawdziwe zagrożenie, ale nikt nie brał go już na poważnie.

Sprawa sędziego Szydła przywołuje skojarzenia z historią Emila Czechki, żołnierza, który również uciekł na Białoruś. Potem stał się narzędziem białoruskiej i rosyjskiej propagandy; rozpowszechniał informacje o masowym mordowaniu migrantów, zakopywaniu ich w zbiorowych mogiłach.

– Nie porównywałbym tych dwóch spraw – oprócz ucieczki na Białoruś i ewidentnych zaniedbań instytucjonalnych nie ma tu zbyt wiele podobieństw. W przypadku Czechki mieliśmy do czynienia z osobą z problemami psychicznymi, ze skłonnościami do przemocy. Biorąc pod uwagę kwestie kryminalne i osobowościowe, ten człowiek po prostu nie powinien służyć w wojsku i pracować na granicy. Zdecydowanie doszło do zaniedbań w nadzorze wewnątrz wojska – ale Czechko nie był szpiegiem jako takim. Stał się zresztą bardzo szybko bezużyteczny dla propagandy białoruskiej i dlatego skończył tak, jak skończył.

A w sprawie Szydła wciąż jest dużo niewiadomych: od kiedy pracował dla białoruskich służb, czy jego ucieczka była ekstrakcją – czyli wycofaniem szpiega przez osoby go prowadzące. Nie wiemy, jakie były jego motywacje.

A jakie są najczęściej motywacje szpiegów?

– Najczęściej to pieniądze lub kompromat – szantażowanie obciążającymi werbowaw-

formacji wrażliwych i pożądanym, czyli takich, jakie gromadzą głównie służby; oraz wpływ, jaki ma taka osoba – decyzyjny lub na kształtowanie opinii publicznej.

Sędzia Szydł mógł mieć dostęp do różnych wrażliwych akt związanych z postępowaniami, do informacji wewnętrznych, co jest bardzo cenne. Sama jego pozycja jako sędziego w pewnym stopniu ograniczała ABW możliwości prowadzenia przeciwko niemu działań operacyjnych. To bardzo poważna sprawa, która musi być szczegółowo zbadana, by wyciągnąć wnioski i zapobiegać takim sytuacjom w przyszłości.

Jeśli w grę wchodziłyby kwestie tajemnic państwowych, to postępowanie niekoniecznie musi być jawne. Ale najważniejsze, by było prowadzone zgodnie z interesami państwa, a nie tej czy innej partii. Wykorzystywanie sprawy Szydła do przeczucia się winą między partiami uważam za zupełnie jałowe. ●

Witold Repetowicz

• – ur. w 1975 r., dziennikarz, reporter, analityk, z wykształcenia prawnik. Zajmuje się tematyką bliskowschodnią i afrykańską, terroryzmem, dezinformacją i bezpieczeństwem. Był korespondentem PAP (m.in. w Syrii, gdzie więziły go służby Asada), publikował m.in. w „Tygodniku Powszechnym”, „Nowej Europie Wschodniej”, „Do Rzeczy”, „Polsce Zbrojnej”, związany z portalem Defence24.pl. Autor książek „Allah Akbar. Wojna i pokój w Iraku” i „Nazywam się Kurdystan” (dostępne w dobrych księgarniach i w formie cyfrowej na Publio.pl). Adiunkt w Akademii Sztuki Wojennej, ekspert Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego.

ONI TU NAPRAWDĘ SĄ

Nie pracują tylko dla pieniędzy. Kogo rekrutuje w Europie FSB i KGB,
kto i dlaczego ucieka do Putina i Łukaszenki



Wiktorija Bieliaszyn

S korumpowani politycy i biznesmeni, agenci, mitomani, pożyteczni idioci. Tak można skategoryzować obywateli zachodnich państw, którzy z różnych powodów uciekają do Rosji lub na Białoruś, by prosić tamtejsze władze o wsparcie i ochronę międzynarodową.

Zaraz po przekroczeniu granicy „zdrajcy”, jak o uciekinierach w większości przypadków mówi później opinia publiczna, zaczynają demonstracyjnie zachwycać się wschodnią demokracją, wolnością, poszanowaniem praw człowieka i – dla równowagi – ubolewać nad skalą prześladowań oraz zamordyzmu, których mieli doświadczyć w Europie czy USA.

Opowiadają o tym Rosjanom i Białorusinom na różne sposoby: zamieszczając publikacje w sieciach społecznościowych, udzielając wywiadów państwowym mediom, biorąc udział w konferencjach prasowych, które propaganda obszernie relacjonuje, a następnie przypomina przy każdej okazji.

Z opowieści uciekinierów nie zawsze to wynika, ale wielu na wyjazd na Wschód nie zdecydowało się wcale z powodu fascynacji rosyjskim czy białoruskim systemem władzy. Kluczowy najczęściej okazuje się zupełnie inny czynnik: bardzo często przyszły uchodźca dokonywał wyboru wcale nie między Zachodem a Rosją czy Białorusią. W momencie przekraczania granicy znaczna część tych osób dobrze wiedziała, że Zachód ma jej do zaoferowania – w bliższej lub dalszej przyszłości – więzienie i to za czyny, których nie da się obronić jakąkolwiek wolnościową doktryną.

Redaktor naczelny niezależnego portalu śledczego „The Insider” Roman Dobrochotow jest przekonany, że wielu uciekinierów w rzeczywistości wcale nie pała przesadną sympatią do „rosyjskiego miru”, niespecjalnie podziwia metody Putina czy wizje Łukaszenki. Po prostu Moskwa czy Mińsk to jedyne bezpieczne miejsca, z których nie zostaną wydalenii na żądanie władz swojego kraju.

O tym jednak przeciętny widz RT (tak dziś nazywa się Russia Today, nadająca od blisko dwóch dekad międzynarodowa stacja informacyjna, reklamowana jako alternatywa dla CNN czy BBC, coś na kształt słynnej Al Jazeera) spoza tzw. globalnego Zachodu – o krajowych kanałach rosyjskich i białoruskich już nie wspominając – nie wie. Na podstawie wpisów uciekinierów w sieci i rozmów, które przeprowadzają z nim po kolei czołowi propagandyści, można dojść do wniosku, że Zachód, oczywiście w odróżnieniu od krajów post-sowieckiej Europy Wschodniej i Azji, cechuje się hipokryzją. Zasłaniając się hasłami o swobodach i wolnościach obywateli, w rzeczywistości tępi i prześladuje wszystkich, którzy ośmielią się mieć „inne zdanie”. I że chociaż Rosja czy Białoruś nie są idealne, to na ich terytoriach świeżo upieczeni „uchodźcy polityczni” przynajmniej mogą mówić, co myślą.

Potwierdza to znany politolog Iwan Prieobrażenski. „Kreml wykorzystuje zbiegów propagandowo nie po to, by kogokolwiek przekonać, że Rosja jest ostoją swobody, tylko że wolności myśli, słowa i mediów nie ma tak naprawdę nigdzie”.

W ostatnim czasie szczególnie było to widoczne na przykładzie sędziego Tomasa Szydta.

Ważny przedstawiciel wymiaru sprawiedliwości, który poprosił w maju o azyl w Białorusi, w ciągu kilku dni zdążył udzielić wielu obszernych wywiadów białoruskim i rosyjskim propagandyście. Przed kame-

rami tłumaczył, że w Polsce obawiał się o życie swoje i bliskich i przekonywał, że ci, którzy mają poglądy inne od tych, które Polakom narzucają Amerykanie, muszą milczeć, by uniknąć represji.

Opowiadał, że w ojczyźnie nie ma niezależnych mediów, wszystkie mają bowiem realizować interesy Zachodu i oczerniać obywateli takich, jak on: którym zależy na dobrych relacjach z Rosją i Białorusią, a także, którzy obawiają się, że pod naciskiem Zachodu Polska da się wciągnąć w wojnę z Rosją.

Jeden z najgłośniejszych wywiadów, w którym Szymdt, niemal jota w jotę, powtórzył kremlowską narrację na temat wojny w Ukrainie, sytuacji geopolitycznej oraz nastrojów w Europie, prowadzący zapowiedział słowami: „polski sędzia, który zdał sobie sprawę, że w Polsce nie ma swobody słowa, a na Białorusi jest”.

Kiedy pytam rosyjskich i białoruskich ekspertów, jak ich zdaniem może układać się historia Szydta, słyszę różne możliwe wersje wydarzeń.

Alaksandr Azarow, niegdyś białoruski milicjant śledczy, a dzisiaj szef opozycyjnej organizacji Bypol zrzeszającej byłych „siłowników”, dopuszcza scenariusz, że Tomasz Szymdt mógł zostać zwerbowany wbrew własnej woli. Jego zdaniem białoruskie służby, w odróżnieniu od rosyjskich, mają znacznie ograniczone możliwości finansowe i wątpliwe jest, by Szymdt, decydując się na współpracę z KGB, kierował się pieniędzmi.

ko, czego będą oczekiwać od niego służby, stanie się zbędny. Bo po co KGB ma inwestować czas i zasoby w kogoś, kto już ma dostępu do nowych informacji? – Dostanie – może – służbowe mieszkanie i będzie pracować w jakiejś organizacji w charakterze propagandy. Nie spodziewałbym się jakichkolwiek przywilejów, będzie zarabiać jakieś 500 euro miesięcznie i tyle – komentuje opozycjonista. I zauważa, że jeśli Szymdtowi się poszczęści i przeżyje, za kilka lat będzie próbować wrócić do Polski. – Gdy się połapie. On jeszcze nie wie, w jakim jest tarapatkach.

Białoruscy eksperci, mówiąc o Szymdacie, wspominają dezertera Emila Czeckę. Żołnierz służył na granicy polsko-białoruskiej w trakcie wywołanego przez Łukaszenkę kryzysu migracyjnego. Jak się później okazało, miał problemy z prawem, groziło mu w Polsce więzienie. To dlatego uciekł w 2021 r. na Białoruś. Po zatrzymaniu przez tamtejsze służby poprosił o azyl polityczny. I też niemal natychmiast zaczął udzielać wywiadów. Opowiadał, że polska Straż Graniczna rzekomo zabija migrantów z broni palnej, a on sam zdecydował się opuścić ojczyznę, bo nie mógł pogodzić się z ludobójstwem, którego dopuszczają się polskie władze.

O odwadze i przyzwoitości Czeckę rozpisywały się białoruskie media, dla których w tamtym czasie, kiedy cała Europa oskarżała Łukaszenkę o toczenie wojny hybrydowej z Zachodem, taka narracja polskiego żołnierza – a więc „świad-

Kreml wykorzystuje zbiegów nie po to, by kogokolwiek przekonać, że Rosja jest ostoją swobody, tylko że wolności myśli, słowa i mediów nie ma tak naprawdę nigdzie

Białoruskie służby zapewne posłużyły się prowokacją lub po prostu wykorzystały okazję. – Do najpopularniejszych metod należy przeprowadzenie prowokacji w celu zgromadzenie tzw. kompromatu, czyli materiałów, których publikacja mogłaby negatywnie odbić się na życiu i karierze danego człowieka. Rzecz jasna nierzadko w operację zaangażowane są prostytutki. Intymnym nagraniem można zaszantażować każdego, a co dopiero urzędnika – tłumaczy Azarow.

O takiej wersji wydarzeń mówi mi też znany białoruski opozycjonista, prosząc jednak o nieujawnianie nazwiska.

Z kolei Paweł Łatuszka, były minister obrony Białorusi, dzisiaj jeden z liderów opozycji, ma dla Szydta mniej zrozumienia. Jego zdaniem polski sędzia najprawdopodobniej zdecydował się na współpracę z reżimem, bo nie „nie zdaje sobie sprawy, jakim państwem jest Białoruś Łukaszenki i w jaki sposób torturuje i dręczy ludzi”. Teraz Polak będzie maksymalnie wykorzystany nie tylko przez białoruskie, a może i rosyjskie władze, dla których „również może być interesującym źródłem informacji”.

Do czasu.

Bo każdy z Białorusinów, z którym rozmawiam, nie wróży Szymdtowi świetlanej przyszłości. Paweł Łatuszka twierdzi, że polski sędzia, kiedy już powie wszyst-

ka”, „człowieka z wewnątrz” – była na wagę złota.

– Tylko że później Czecko przemyślał sprawę i zaczął rozmyślać nad powrotem do Polski. Brał pod uwagę możliwość pokajania się. Życia i tak na Białorusi nie miał. Pod względem wartości dla reżimu był ostatnim ogniwem łańcucha. Po szopce w propagandowej telewizji stał się bezużyteczny. Był kimś, na utrzymanie kogo reżim nie chciałłożyć, ale kogo musiał pilnować – twierdzi Azarow. I nie ma wątpliwości, że wiosną 2022 r. Czecko „nie tyle się powiesił, co został powieszony”.

Nieco inaczej sprawę postrzega Iwan Prieobrażenski, który uważa, że nie należy tych dwóch historii porównywać. – W przypadku Szydta widzimy wyraźnie, że białoruskie władze, udzielając mu schronienia, wyrażają wdzięczność za jego pracę w charakterze agenta. Służby bezpieczeństwa mają zasadę: pokazywać potencjalnym nowym agentom, że nie pozostawiają swoich w potrzebie – tłumaczy.

Politolog kwituje, że „ze Szymdtem wszystko będzie w porządku”. – Najprawdopodobniej polski sędzia dość długo współpracował z KGB, dlatego Łukaszenka zadba o to, by Szymdt jakoś się na Białorusi urządził. Na pewno nie będzie miał szans na wielką karierę, ale na spokojne życie – już tak.

Opinię Prieobrażenskigo zdają się potwierdzać historie innych osób. Szymdt nie jest bowiem wyjątkiem, choć faktem jest, że Rosja cieszy się wśród uciekinierów większą popularnością niż Białoruś. Niekiedy są gotowi na wiele, by się do niej dostać. Udowodnił to łotewski polityk Ruslan Pankratow.

Deputowany lokalnego parlamentu Rygi przez lata zajmował się propagowaniem w ojczyźnie narracji Kremla i krzewieniem ideologii „ruskiego miru”. Po wybuchu pełnowymiarowej wojny w Ukrainie tylko nasilił działalność, czym zwrócił na siebie uwagę organów ścigania. W sierpniu 2022 r. został aresztowany. Służby zarzuciły mu: próbę podzielenia społeczeństwa na tle narodowościowym; krzewienie agresywnej rosyjskiej propagandy; rozpowszechnianie bezpodstawnych zarzutów odnośnie sposobu traktowania Rosjan na Łotwie; zachęcanie do nienawiści i nieufności wobec Ukraińców i uchodźców z Ukrainy. A to nie wszystko. Stołeczny samorządowiec – który jeszcze w 2019 r. kandydował do Parlamentu Europejskiego – pomagał osobom objętym unijnymi personalnymi sankcjami w omijaniu obostrzeń.

Kiedy sąd zgodził się za kaucją zwolnić Pankratowa z aresztu, Łotysz – pozbawiony prawa do legalnego opuszcze-

nia kraju – zaczął obmyślać plan ucieczki do Rosji, który zrealizował we wrześniu ubiegłego roku. Z relacji, które pojawiły się później w mediach wynika, że prorozyjski działacz miał współników.

„Przewieźli mnie w pobliże granicy samochodem, który eskortowały dwa inne pojazdy: jeden do wykrywania potencjalnej inwigilacji, a drugi do symulowania wypadku w przypadku pościgu”, cytuję jego wypowiedź redakcja Rus Tv. „Przejechałem na miejsce, usiadłem i zacząłem łowić ryby. Musiałem poczekać do zmroku. Kiedy było już ciemno, włożyłem rzeczy do worka na śmieci, założyłem strój pletwonurka i popłynąłem. Dotarłem do rosyjskiego wybrzeża, złapałem trochę oddechu i widocznie wykryły mnie czujniki, bo po 20-30 metrach przywitani mnie pogranicznicy”, wspominał.

Po kilku tygodniach państwowe rosyjskie media donosiły, że Łotysz, prześladowany w Europie za „publiczne popieranie specjalnej operacji wojennej na Ukrainie i obronę interesów ludności rosyjskojęzycznej”, otrzymał status uchodźcy. Dzisiaj rozwija karierę akademicką. Z oficjalnych informacji wiadomo, że Ruslan Pankratow jest „pracownikiem naukowym wydziału Badań Północnych w Instytucie Współnoty Niepodległych Państw”, czyli ośrodku, który zajmuje się „naukowym wsparciem rosyjskich interesów na terytorium byłego ZSRR”.



W tekście, który ukazał się na łamach propagandowej „Rosyjskiej Gazety”, pisał niedawno: „Łotwa, Litwa i Estonia udostępniają swoje terytoria, a także infrastrukturę wojskową i cywilną do szkolenia zarówno wojsk NATO, jak i ZSU, w tym batalionów karnych, jednostek specjalnych oraz grup dywersyjnych i rozpoznawczych do ataków terrorystycznych, sabotażu, zabójstw i zamachów bombowych planowanych na terytorium Federacji Rosyjskiej”.

Kiedy pytam Azarowa, dlaczego Tomasz Szmydt i inni uciekinierzy tyle uwagi i czasu poświęcają tematowi możliwej eskalacji wojny, były siłownik odpowiada bez wahania: – Dla uzasadnienia w społeczeństwie ewentualnego wtargnięcia rosyjskich wojsk na te terytoria.

Od pierwszych dni pełnoskalowej inwazji na Ukrainę w programach państwowej telewizji pojawiło się jeszcze kilku innych przedstawicieli Zachodu, którym „za mówienie prawdy na temat wojny” grozi w Europie niebezpieczeństwo.

Jednym z nich jest Andrien Bocquet. Zachodnie media opisują go jako „francuskiego prorosyjskiego propagandystę”. O byłym francuskim żołnierzu, który twierdzi, że musiał zrezygnować z kariery wojskowej na skutek wypadku, głośno zrobiło się wiosną 2022 r., po jego powrocie z Ukrainy. Do kraju ogarniętego wojną pojechał jako wolontariusz z misją humanitarną. Kiedy wrócił do Francji, udzielił serii wywia-

Nie przeszkodziło to kremlowskiej propagandzie okrzyknąć go mianem „jedyne go zachodniego reportera, który ma odwagę, by mówić prawdę”.

Trudno się dziwić, że prosto z francuskich mediów Bocquet trafił do najpopularniejszych rosyjskich stacji propagandowych. Głosił w nich, że „mówienie w Europie prawdy stało się przestępstwem”, a także, że na jego życie czyhają ukraińskie służby. Dlatego zwrócił się do Putina z prośbą o azyl polityczny i przyznanie obywatelstwa Federacji Rosyjskiej, na co prezydent Rosji przystał.

„Francuski dziennikarz” nie zarzucił działalności: jeździ na okupowane ukraińskie terytoria, by zbierać „dowody zbrodni wojennych, popełnianych przez Siły Zbrojne Ukrainy” oraz pracuje dla Afrique Média, rosyjskiej redakcji propagandowej w Afryce.

Sianie dezinformacji w interesie Rosji jest przez władze szczególnie doceniane podczas wojny. W lutym rzecznik prasowy Kremla Dmitrij Pieskow osobiście wręczył Bocquetowi nagrodę „Znanie” („Wiedza”), przyznając tytuł „najlepszego zagranicznego edukatora roku”.

„Adrian aktywnie angażuje się w działalność charytatywną, pomagając dzieciom w Donbasie, które ucierpiały z rąk ukraińskich sił zbrojnych. Jako ekspert w dziedzinie balistyki przekazał Muzeum Zwycięstwa fragmenty pocisków NATO, które tra-

Białoruskie służby, w odróżnieniu od rosyjskich, mają ograniczone możliwości finansowe i wątpliwe jest, by Szmydt, decydując się na współpracę z KGB, kierował się pieniędzmi

dów tamtejszym mediom znanym albo ze skrajnie prawicowej narracji, albo z wyraźnej słabości do propagowania teorii spiskowych.

Opowiadał, że był świadkiem, jak Ukraińcy inscenizują rosyjskie zbrodnie wojenne i sami je popełniają. „Osobiście widziałem amerykańskich operatorów realizujących fałszywe materiały filmowe, inscenizujących wydarzenia. Bucza jest inscenizacją. Ciała zmarłych zostały przeniesione z innych miejsc i celowo umieszczone w taki sposób, aby uzyskać szokujący materiał filmowy” – mówił dziennikarzem. W innym wywiadzie „zdradzał”, że Ukraińcy celowo organizują prowokacje i strzelają w obiekty cywilne, a później – w zmo wie z korespondentami zachodnich mediów – przedstawiają zdarzenie jako rosyjski atak. Bocquet zastanawiał się też na łamach wielu tytułów, czy „Emmanuel Macron zdaje sobie sprawę, że pomagając militarnie Ukrainie Francja dostarcza broń neonazistom”.

Oskarżenia Francuza wywołały burzę. Dziennikarze śledczy redakcji „Liberation” szybko jednak ujawnili, że Bocquet kłamie, bo – przede wszystkim – nie mógł fizycznie być w żadnym z tych miejsc, by zaobserwować opisywane wydarzenia. Odnotowane, także w jego paszporcie, daty przekraczania ukraińskiej granicy całkowicie to wykłuczają. Francuz miał również problem z trzymaniem się jednej wersji wydarzeń.

fiły w obiekty cywilne w Doniecku. Przez ostatnie półtora roku, ryzykując życie na linii frontu, relacjonował i dokumentował wydarzenia w Donbasie, przekazując zachodniej opinii publicznej prawdę o wal kach na Ukrainie” – uzasadniał Pieskow.

Według Maxime’a Audineta, badacza specjalizującego się w rosyjskich wpływach, ludzie tacy jak Adrien Bocquet mogą nam wydawać się humorystyczni, bo przecież nikt trzyżwy nie będzie brał mitomana serio, ale w istocie są cenni – bo służą wybielaniu rosyjskiej propagandy. – Obywatel francuski, który broni stanowiska Kremla i „wyjaśnia” rosyjski punkt widzenia, może być postrzegany przez Europejczyków jako bardziej wiarygodny, niż propagandyści rosyjskich mediów – wyjaśnia Audinet. Na zasadzie: okej, jest trochę dziwny, ale jednak to swojak, z Zachodu, więc może jest coś na rzeczy?

Bocquet nie jest zresztą pierwszym obywatelem Unii, który aktywnie działa w służbie rosyjskiej propagandy. W 2015 r. bardzo podobną drogę obrała Christelle Néant, niegdyś specjalistka ds. komunikacji, później – blogerka i propagandystka. Jej wersja brzmi: nieco wcześniej zainteresowała się wojną w Syrii, zaczęła zgłębiać temat i stwierdziła, że państwowe rosyjskie media są w jej relacjonowaniu bardziej wiarygodne. Więc w 2014 r., gdy w Donbasie pojawiły się „zielone ludziki”, a Putin zajął Krym, zaczęła je wykorzystywać

do śledzenia konfliktu w Ukrainie, by mieć „szerszy” ogłąd spraw – i rok później zdecydowała się na wyjazd do Doniecka. Separatyści przyjęli ją z otwartymi ramionami: najpierw dali pracę w agencji prasowej samozwańczej republiki, później także paszport tzw. Donieckiej Republiki Ludowej.

Néant błyskawicznie weszła w rolę. Zajął się nie tylko szerzeniem separatystycznej propagandy, ale i legitymizowała – na poziomie międzynarodowym – działania Federacji Rosyjskiej. Francuzka organizowała wycieczki polityków na okupowane przez Rosję terytoria Ukrainy, a podczas tamtejszych „wyborów” zasiadała w komisji „międzynarodowych obserwatorów”. I nie przestawała pisać.

Stworzyła m.in. propagandowy portal Donbas Insider, na którym zamieszcza artykuły w trzech językach: angielskim, francuskim i rosyjskim. Regularnie bywa też w programach RT, krytykując Zachód i oskarżając go rozpowszechniania nieprawdziwych wiadomości o wojnie w Ukrainie. Na przykład w zeszłym tygodniu w wywiadzie dla państwowej agencji Tass mówiła: „Gdyby mój kraj, w którym się urodziłam, nie był teraz w takim stanie, może chciałabym tam wrócić. Ale kiedy widzę dzisiejszą Francję, mogę odpowiedzieć z absolutną pewnością: nie chcę. To już nie jest Francja, to jakiś europejski region, który stracił suwerenność, swoją tożsamość, stracił wszystkie swoje wartości”.

Prieobrażenski zwraca uwagę, że niekiedy „uchodźcy”, skarżąc się, że nie mogą głosić na Zachodzie swoich poglądów, nie mijają się z prawdą.

Część z nich szuka azylu za dawną Żelazną Kurtyną, bo na Zachodzie ich narracja nie tylko nie jest akceptowana, ale wręcz wiążą się z nią konsekwencje prawne. – I to wcale mnie nie dziwi, bo ci ludzie najczęściej propagowali mowę nienawiści, nawoływali do zabicia kogoś albo do działań ekstremistycznych – mówi politolog.

Taką osobą jest Dagmar Henn, niemiecka dziennikarka, która współpracuje z Russia Today. Niemka w swoich analizach nie tylko popiera „obecny kurs Rosji względem Ukrainy” czy podważa doniesienia o rosyjskich zbrodniach wojennych. W kwietniu Henn, autorka profesjonalnego bloga i podcastu „Vineyard of the Saker”, otrzymała azyl polityczny w Rosji. Niezależne media, m.in. redakcja „Ważnyje Istории”, zwracały uwagę, że status uchodźczyni przyznano jej, mimo że nic nie wskazuje, by w Niemczech toczył się przeciwko niej jakikolwiek proces albo że była prześladowana w inny sposób.

A mogłaby być, bo Niemka nie przekroczyła granicy negacjonizmu, ale zdarza jej się wybielanie niektórych aspektów nazizmu. Ma na koncie odpowiedzialwianie działań III Rzeszy. W jednym z felietonów przekonywała, że Hitler „nie chciał rozpocząć II wojny światowej, ale zmusiły go do tego USA i Wielka Brytania”.

Propagandowe media – co ważne, również te adresowane do zachodniego, afrykańskiego, azjatyckiego czy południowoamerykańskiego odbiorcy – nie tylko wykorzystują tego typu osoby w roli ekspertów, ale też chętnie się o nich rozpiskują.

– W Rosji od zawsze panuje swego rodzaju kult obcokrajowców, którzy wypowiadają się pozytywnie o Kremlu. W państwowych mediach często można natknąć się na artykuł opisujący np. jakiegoś Amerykanina, Francuza czy Niemca, który powiedział coś dobrego na temat życia w Rosji albo działań władz – zauważa Ilja Roźdiestwienki z Centrum Dossier, organizacji zajmującej się badaniem rosyjskich wpływów w Europie.

Przyjmowanie „politycznych uchodźców” nie jest jednak czymś, na czym szczególnie mocno zależałoby Kremlowi. – Władze stosunkowo rzadko przyjmują takich ludzi. O wiele bardziej interesują je ci, którzy mogą podróżować do Rosji, ale wracają później do Europy czy USA – wyjaśnia Roź-

diestwienki. Zgadza się z nim Iwan Prieobrażenski: – Rosji zależy na współpracy z wpływowymi obcokrajowcami, którzy mogą na Zachodzie normalizować działania Kremla. Na ludziach, którzy w europejskich mediach mówią: Rosja postępuje w Ukrainie źle, ale można jej działania zrozumieć.

Ale największe zainteresowanie służb – w hierarchii ważności zaraz po regularnych agentach – budzą osoby, które mogą się Rosji przydać nie tylko w sferze informacyjnej, propagandowej, w działaniach „soft power”, ale też w „twardych” kwestiach, jak insiderska wiedza i dostęp do tajnych informacji.

Przykładem Edward Snowden, były pracownik CIA, odpowiedzialny za „największy wyciek tajnych informacji w historii USA”, który ujawnił m.in., w jaki sposób służby amerykańskie i brytyjskie inwigilowały europejskie instytucje, czołowych polityków i urzędników. Ale nie tylko. Według wewnętrznego raportu Pentagonu, Snowden przechwycił 1,7 miliona tajnych plików; większość dokumentów dotyczyła „życiowo ważnych operacji amerykańskiej armii, floty, piechoty morskiej i sił powietrznodesantowych”

Snowden otrzymał azyl w Rosji w 2013 r., po miesiącu pobytu na Szeremietiewie. Początkowo moskiewskie lotnisko miało być dla niego jedynie punktem tranzytowym – Amerykanin miał problem z uzyskaniem schronienia w innych krajach, bo gdy władze USA unieważniły mu paszport, po prostu nie mógł nigdzie polecieć i znalazł się w potrzasku. – Miał pecha, że jego najlepszym przyjacielem okazał się Władimir Putin – kwituje Roźdiestwienki.

Z ludźmi pokroju Snowdena FSB postępuje zupełnie inaczej niż z pożytecznymi, ale nieistotnymi strategicznie uciekinierami. – Z takimi osobami od razu zaczynają intensywnie pracować służby bezpieczeństwa. Starają się wydobycь wszystkie informacje, które mogą im się przydać. Pozy skać kontakty, dokumenty, wiedzę techniczną – to oczywiste. Ale też dowiedzieć się na przykład, z kim rosyjski wywiad mógłby w ojczyźnie uciekiniera współpracować. Snowden był w taki sposób opracowywany przez pięć-sześć lat – wyjaśnia ekspert.

Dopiero potem, zauważa Roźdiestwienki, Amerykanin zaczął być aktywnie wykorzystywany w celach propagandowych. Gościem państwowych mediów, w których opowiada, jak Stany Zjednoczone inwigilują własnych obywateli, stał się w ostatnich latach.

Ale to, że Snowden był tak przydatny i nawet dostał rosyjskie obywatelstwo, nie znaczy, że może czuć się w Rosji jak w domu. Amerykański – jak kto woli, sygnalista i pechowy pożyteczny idiota albo zdrajca – cały czas objęty jest ochroną Departamentu Kontrwywiadu Wojskowego FSB, co oznacza także, że jest nieustannie monitorowany. – Ktoś taki jak Snowden nie jest w Rosji wolnym człowiekiem. Służby cały czas cię obserwują. Twoje dane są ściśle strzeżone. Dawni znajomi, przyjaciele, rodzina nie wiedzą, gdzie mieszkasz, czym dokładnie się zajmujesz, jak wygląda twoje życie. Dość przygnębiające – uśmiecha się ekspert.

Ale „czarna dziura” nie jest regułą. Roman Dobrochotow z The Insider przywołuje postać Jana Marsalka, byłego dyrektora operacyjnego systemu płatności Wirecard. Austriak najprawdopodobniej należy do grupy tych, którym Rosja sama zaoferowała ochronę, kiedy w 2020 r. zarzucono mu najpierw kradzież 2 mld euro z funduszy klientów firmy, a chwilę później – wieloletnią współpracę z rosyjskim wywiadem. Ze śledztwa, które w 2021 r. opublikowało Centrum Dossier wynika, że Marsalek był ewakuowany z Austrii do Rosji przy pomocy byłego pracownika austriackiego wy-

wiadu Martina Weissa oraz prawicowego polityka Thomasa Schellenbachera.

Trudno nie oprzeć się wrażeniu, że mamy do czynienia ze scenariuszem filmowym. Marsalek przekroczył granicę Białorusi ze swoim paszportem, ale kontrolę graniczną przeszedł już jako Max Mayer. Falszowy paszport przygotowali funkcjonariusze rosyjskich służb, którzy „uprzedzili białoruskich kolegów o przyjeździe gościa z Austrii”.

Dziennikarze opisują, że Marsalka eskortowali do hotelu w Mińsku białoruscy oficerowie. Później udał się samolotem do Moskwy, gdzie czekał już kolejny paszport, tym razem rosyjski, na nazwisko Germa Bażenowa. – Tych paszportów Marsalek może mieć więcej, także państw wchodzących w skład Wspólnoty Niepodległych Państw, co ułatwia mu podróże incognito – mówi Dobrochotow.

Szpiegowie biznesmenowi żyje się w Rosji znacznie lepiej niż wielu innym. Władze nie odebrały mu majątku, jest pod ochroną, regularnie zmienia miejsce pobytu, przenosząc się z jednej luksusowej rezydencji do drugiej. „Rosyjskie służby zapatrzyły Marsaleka w samochód z tablicami dyplomatycznymi ambasady jednego z krajów Zatoki Perskiej w Moskwie” – ujawnili dziennikarze.

Z czego wynika to specjalne traktowanie? Dzięki Marsalekowi Wirecard był zaangażowany w realizowanie transferów pieniężnych dla rosyjskich prywatnych firm wojskowych w Afryce. Austriak uczestniczył też w spotkaniach rosyjskich i libijskich polityków dotyczących ciągnącej się po upadku Kaddafiego wojny domowej. Przez lata ściśle współpracował też z Austriacko-Rosyjskim Towarzystwem Przyjaźni oraz prawicowymi partiami w Austrii. – Marsalek, z tego co wiem, nadal podróżuje do Afryki i pomaga Rosji w załatwianiu interesów – dodaje Dobrochotow.

Ludzie, którzy są ważni z punktu widzenia rosyjskich władz i mogą się przydać do realizacji istotnych działań czy operacji, mogą się nieźle w Rosji urządzać. Nie zawsze muszą nawet prosić o azyl. Niektórzy, jak była szefowa MSZ Austrii Karin Kneissl, która zasłynęła tym, że tańczyła na własnym weselu z Putinem, lecą do Moskwy na wszelki wypadek, zawczasu, by zniknąć z radarów. Dobrochotow uważa, że Kneissl wyjechała z Austrii, bo mogła obawiać się sprawy karnej. Oficjalnie wiadomo, że Austriaczka współpracuje z Jedną Rosją, doradzając putinowskiej partii władzy, kieruje też think tankiem w Petersburgu, który zajmuje się „kluczowymi zagadnieniami Rosji”.

Ci, którzy nie są istotni, muszą sobie radzić sami. Jeśli uda im się założyć własny biznes i jakoś go rozwinąć, mają szansę na spokojne życie. – Ale na pewno nie jest tak, że każdy uciekinier może liczyć na opiekę i dożywotnią pensję – mówi Dobrochotow. Ci, którzy wyobrażają sobie, że spędzą w życiu w dostatku, jak słynny zdrajca z MI6 Kim Philby w ZSRR, mogą się rozczarować.

„Szeregowi cudzoziemcy”, którzy skryli się w Rosji i stali się dyżurnymi propagandystami, za wystąpienia otrzymują honoraria rządu kilkudziesięciu, kilkuset dolarów.

Po ucieczce sędziego Szmydta komentatorzy mówią o blamażu polskiego kontrwywiadu i snują rozważania, ilu jeszcze „takich Szmydtów” może kryć się w krajowych i europejskich instytucjach. Jeśli odpowiedzi szukać w statystyce ucieczek, można by uznać, że rosyjscy werbownicy nie radzą sobie najlepiej. Wszyscy eksperci zwracają uwagę, że nie da się mówić o masowym charakterze tego zjawiska: obywateli państw Zachodu, którzy proszą o pomoc Mińsk czy Moskwę można policzyć na palcach maksymalnie obu rąk.

Alc jeśli spojrzeć na historyczne analogie, nie możemy spać spokojnie. W czasach

zimnej wojny uciekinierów za żelazną kurtynę było wszak wielokrotnie mniej niż regularnych agentów czy „pożytecznych idiotów”, działaczy, aktywistów czy dziennikarzy manipulowanych i zakulisowo finansowanych, często bez ich wiedzy, przez KGB.

Podobnie jest teraz, co najmniej od czasu, gdy Putin skończył z – zdaniem jednych realnym, innych tylko pozorowanym – resetem z Zachodem. A od kilku lat szpiegowska ofensywa tylko przybiera na sile. – Sieć agentów jest ogromna i różnorodna, FSB jest kreatywne – sięga po osoby zaufane, z którymi współpracowano biznesowo, w związku z gazem i ropą. Ogromny potencjał tworzy rosyjska diaspora – łatwo zwerbować ludzi, którzy mają w Rosji krewnych, prowadzą tam biznes albo zwyczajnie tęsknią. No i nie tak mało jest Europejczyków, którzy po prostu lubią Putina, a nie lubią „falszywego Zachodu” – opowiada dziennikarka śledcza badająca rosyjskie specsłużby Irina Borogan.

Łatwo natomiast znaleźć różnice między uciekinierami do radzieckiego raju i do putinowskiej Rosji. Wtedy wśród obywateli Zachodu, zwłaszcza tych z USA, prócz spiskowców i agentów, rzeczywiście znaleźć można było ludzi autentycznie wierzących w sowiecką alternatywę dla kapitalistycznej liberalnej demokracji – naiwnych pięknoduchów, którzy uwierzyli w głoszone przez radziecką propagandę i komuni-

Wieloletni bliski współpracownik słynnego szachisty Garriego Kasparowa, najaktywniejszy ze wszystkich wolontariuszy emigracyjnego Forum Wolnej Rosji, okazał się pracownikiem GRU

styczne media w ich krajach tezy o równościowym, godnym życiu w robotniczym raju, radzieckim dobrobycie dla każdego. Albo w to, że pomagając ZSRR, wspomagają walkę wyzwolenić narodów Afryki i Azji czy przyczyniają się do realnego uniezależnienia dawnych europejskich kolonii.

Według ekspertów obecnie takim przypadkiem „organicznego”, ideowego „poputczika” mógł być inny głośny uciekinier z Polski. W czerwcu 2022 r. o azyl na Białorusi wystąpił 24-letni Marcin Mikołajek ze Świdnicy. Chłopak już jako nastolatek rozpowszechniał w internecie kremlowską propagandę i szkalował Polskę, często także po rosyjsku. Szybko dostrzegli go propagandowe media zza wschodniej granicy, w których Mikołajek zaczął występować z oświadczeniami w rodzaju: „Polacy chcieliby móc zagłosować w wyborach na Putina”. Już z Białorusi szeroko informował o prześladowaniu, jakiego miał doświadczyć w Polsce oraz o obawie, że polskie władze uczynią go głównym bohaterem „pokazowego procesu”.

Ze wspomnień uciekinierów do ZSRR wiadomo, że ich nadzieje szybko zderzyły się z rzeczywistością. „Socjalistyczny raj” okazał przesiąknięty państwową przemocą i paranoją, w dodatku z mocno ograniczonymi możliwościami wyjazdu. Niektóre z zimnowojennych historii do złudzenia przypominają te dzisiejsze.

Gazeta „Kommiersant” opisuje, jak to w lipcu 1960 r. „John Smith, były urzędnik Departamentu Stanu USA, złożył w ambasadzie radzieckiej w Finlandii wniosek o azyl”. Smithowi „w ciągu miesiąca przyznano radzieckie obywatelstwo, wydano paszport na zupełnie nowe nazwisko, opracowano odpowiednią przykrywkę, oddano do dyspozycji mieszkanie w Kijowie i przydzielono oficera bezpieczeństwa państwowego biegle władającego językiem angielskim”. Co konkretnie ze Smithem działo się później, możemy się tylko domyślać, bo prasa i ogólnodostępne archiwa milczą, ale pewne jest, że wolność i swoboda poruszania po kraju się tak ważnego zdrajcy były nawet bardziej ograniczone niż obywateli ZSRR.

„Kommiersant” opisuje też historię Glena Michaela Soutera, amerykańskiego oficera, który w 1986 r. zbiegł do ZSRR. Zauroczył go komunizm i chciał nawiązać współpracę z radzieckimi służbami. W tym czasie był już pod lupą, FBI wielokrotnie wzywało go na rozmowy. Po ucieczce Souter zrealizował marzenie: otrzymał radzieckie obywatelstwo, przyjął nazwisko Michaił Orłow, nawet uzyskał stopień majora KGB. Trzy lata później popełnił samobójstwo.

Kiedy pytam Siergieja Jeżowa, dziennikarza śledczego związanego z Fundacją Waliki z Korupcją Aleksieja Nawalnego, o życie

z aresztu za kaucją 200 tysięcy złotych. Proces toczy się za zamkniętymi drzwiami.

Kariera Piskorskiego idealnie wpisuje się w opis Roździeściwskiego. W młodości związany z narodowcami, później znany z propagowania „nacjonalizmu słowiańskiego”. Nie stronił od sugestii, że suwerenność Polski ogranicza Zachód. Swoją partię Zmiana przedstawiał jako „pierwszą nieamerykańską partię w Polsce”. Poparł aneksję Krymu, brał udział jako obserwator w „wybo-rach”, które Kreml przeprowadzały na okupowanych terytoriach, a wielkoruskim ideologiem Aleksandrem Duginem, długie lata bardzo wpływowym w rosyjskich kręgach władzy, zainspirował się na tyle mocno, że nawet przetłumaczył na polski jego książkę.

Rosyjscy agenci to nie tylko ludzie w garniturach i garsonkach przekazujący poufne dane czy lobbowaniem na rzecz Kremla w Europie. To także szpiegzy pełną gębą. Nim na czołówki światowych mediów trafił sędzia Szmydt, podobną historię przeżywali Łotysze – Jānis Ādamsons, prawicowy polityk prokremlowskiej Partii Zgoda, został w 2023 r. skazany przez sąd w Rydze na osiem i pół roku więzienia za szpiegostwo. Ādamsons przekazywał Rosjanom tajne informacje dotyczące pracy instytucji państwowych, obrony narodowej i wymiaru sprawiedliwości.

O Łotyszu nie było tak głośno jak o polskim sędzim, bo z perspektywy wielkich zachodnich mediów rzecz działa się gdzieś na obrzeżach unijno-natowskiego teatru, w kraju przyfrontowym, ale niezbyt działającym na wyobraźnię. Co innego sprawa Thomasa H. Officerowi Bundeswehry, który utrzymywał bliskie kontakty ze skrajnie prawicową partią AfD, grozi wysoki wyrok. Zeznał, że zgłosił się do konsulatu rosyjskiego w Bonn z propozycją: chciał zostać szpiegiem. Podczas jednej z pierwszych rozpraw, która odbyła się pod koniec kwietnia, tak mówił o swoich motywacjach: „Chciałem, by świat uniknął wojny nuklearnej”.

Na celowniku FSB są też rosyjscy sprzymierzeńcy Zachodu. Przekonał się o tym Garri Kasparow, jeden z organizatorów Forum Wolnej Rosji. Iwan Żichariow, wieloletni bliski współpracownik słynnego szachisty, najaktywniejszy ze wszystkich wolontariuszy Forum Wolnej Rosji, okazał się pracownikiem wojskowego wywiadu GRU.

Niezbyt poważny polityk niszowej partii czy agent w otoczeniu rozpoznawalnego, ale pozbawionego realnych wpływów emigranta – niektórzy kwitują taką agenturę wzruszeniem ramion: „Gang Olsena”. Nieśluszenie. Dowodem historia jak z kina sensacyjnego, która mogła się naprawdę źle skończyć, z prawdziwymi dywersantami w roli głównej.

W ubiegłym roku sąd w Lublinie uznał za winnych szpiegostwa szesnastu cudzoziemców, obywateli Ukrainy, Białorusi oraz Rosji. Zrekrutowani na Telegramie – rosyjskim komunikatorze internetowym, w krajach byłego ZSRR popularniejszy niż WhatsApp – i oplacani w bitcoinach mężczyźni początkowo rozklejali antywojenne plakaty i ulotki, ale rychło powierzono im poważniejsze zadania.

„W ciągu kilku tygodni rekruci otrzymali zadanie zwiadu w polskich portach morskich, umieszczania kamer wzdłuż linii kolejowych i ukrywania urządzeń śledzących w ładunkach wojskowych” – podawał „The Washington Post”, który ujawnił sprawę. Sabotażyści monitorowali lotniska w Rzeszowie i Jasionce, z których korzysta armia USA, śledzili porty w Gdyni i Gdańsku, za instalowali kamery przy torach prowadzących do Ukrainy. Aż – opisuje amerykański dziennik – „w marcu nadeszły zaskakujące nowe rozkazy wykołajenia pociągów przewożących broń na Ukrainę”. Wtedy do akcji wkroczyły polskie służby, od pewnego czasu świadome istnienia grupy.

Anonimowi śledczy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego mówią, że rozbita siatka szpiegów miała w planach nawet zabójstwa. ●

Jak żyć? Fajnie

Widzę kilka przewag wychowania „religijnego” nad „ateistycznym”



Marcin Matczak

Boi mnie polska polaryzacja, a jeden z najważniejszych podziałów to ten między wierzącymi i niewierzącymi. Ma on wpływ na preferencje partyjne – PiS apeluje głównie do wyborców konserwatywnych i religijnych, KO do progresywnych i niereligijnych. Dla wspólnej przyszłości Polski trzeba zrozumieć, jak myśli strona konserwatywna, czego się obawia. Bo jeśli czegoś nie rozumiemy, lekceważymy to, albo nawet tym pogardzamy. A to radykalizuje konserwatystów i zagraża wspólnej przyszłości.

Według strony konserwatywnej ateizm nie jest po prostu teorią naukową złożoną z jednego twierdzenia „(„Boga nie ma”). Jest programem normatywnym – zbiorem przykazań na życie z tego twierdzenia wyprowadzanych (np. „Nie podporządkowuj się tradycyjnym nakazom religii”). Ten program wziął od oświecenia uzasadniony strach przed hegemonią religii, która narzuca ludziom ślepą wiarę, by łatwiej nimi manipulować. Ale otwarta walka z religią tylko mobilizuje drugą stronę do jej obrony. Jak, nomen omen, Częstochowy.

Obawa konserwatystów jest następująca: ateizm z braku autorytetu Boga i tradycji wyprowadza twierdzenie o niemal nieograniczonej wolności człowieka. Ta wolność jest, za Izajaszem Berlinem, „wolnością od” – głównie od przymusu. A konserwatyści pytają o „wolność do”. Co bowiem z tego, że mogę pójść wszędzie i zrobić wszystko, jeśli nie wiem, dokąd pójść warto i co zrobić najpierw, a czego nie robić w ogóle? Ogromna przestrzeń wolności to za mało, by być człowiekiem szczęśliwym i dobrym.

Weźmy wychowanie dzieci – coś, co najbardziej chyba polaryzuje. Postępowcy boją się szkoły religijnej, która zamiast myślenia uczy wiary w dogmaty. Konserwatyści boją się szkoły ultraliberalnej, która nie nadaje dzieciom struktury normatywnej. Czyli znowu spór o koncepcję wolności – brak przymusu i „róbta, co chceta” versus pomoc w wyborze tego, co z wolnością zrobić. Ale co do tego drugiego podejścia znowu strach, że ktoś pomagając, zniewoli. I zamiast „róbta, co chceta” będzie „róbta, co chcemy my – nauczyciele, kapłani, autorytety”.

Rozumiemy dobrze ideę „wolności od”. Przenika nasze myślenie i edukację, jest podstawą praw człowieka i naszej konstytucji. Ale słabiej rozumiemy ideę „wolności do”: nie przestrzeń, w której można robić, co się chce, ale przestrzeń, w której umie się odróżnić cele wartościowe od niewartościowych, i która nie powoduje zagubienia i poczucia chaosu. „Wolność do” myli się nam ze zniewoleniem – bo ustalenie hierarchii celów i pomysłu na życie, wymaga... autorytetu, nauczyciela, pomocy w wyborze: wszystkiego, co trąci paternalizmem, narzucaniem, manipulacją.

Wielu z nas odrzuca wizję, w której jeden mówi drugiemu, jak żyć. Jan Peszek w wywiadzie wspomina, że gdy studen-

ci zadawali mu takie pytanie, odpowiadał: „Fajnie!” I jest to odpowiedź dobra: żyć ciekawie, odważnie, uczynić z życia coś, co warto wspominać. Ale z drugiej strony boleśnie nieprecyzyjna.

Postępowi ludzie ufają, że potrafią wybrać właściwą drogę w przestrzeni „wolności od”. Konserwatyści wiedzą, że to nie takie proste – nie da się po prostu „być sobą”, po prostu „żyć fajnie”. Nie dojdzie się daleko, gdy będzie się podążać za swoimi emocjami.

To dystynkcja oburzająco zgrubna, ale rozróżnijmy wychowanie „religijne” i „ateistyczne”. Pierwsze opiera się na założeniu o istnieniu ideału i nadrzędnego porządku moralnego. Drugie zakłada, że takiego ideału nie ma i że każdy człowiek jest sobie sterem, żeglarzem i okrętem. Widzę kilka przewag wychowania „religijnego” nad „ateistycznym”.

Są one widoczne w działaniu takich ruchów jak Anonimowi Alkoholicy. To ryzykowne, przyrównać wychowanie „religijne” do odwyku, ale zaryzykuję. Konserwatyzm zakłada, że człowiek jest w jakimś sensie uzależniony od zła, tak jak ktoś może być uzależniony od alkoholu. Za tym uzależnieniem stoją nasze instynkty, których bez pomocy silnego superego nie powstrzymamy. A uzależnienie od zła i od alkoholu zwalczą się podobnie:

1. wsparciem wspólnoty – jesteś wśród ludzi, którzy mają ten sam problem, i z nimi wymieniasz się doświadczeniami, jak nie ulec słabości;
2. przewodnictwem autorytetu – masz patrona, przewodnika, którego możesz się poradzić, bo on „już tam był” – a więc przeszedł drogę, na którą ty wkraczasz;
3. studiowaniem postaw moralnych – analizujesz swoje sukcesy i porażki, dokonujesz ich ciągłej „inwentaryzacji”, jak mówi jeden z 12 kroków AA;
4. czujnością moralną – której potrzebujesz, by nie ulec pokusie – zła lub alkoholu. W tym pomagają rytuały, zajęcie umysłu („módl się i pracuj”), dbanie, aby nie opuścić gardy.

Pierwszej wartości wychowanie „ateistyczne” przeciwstawia indywidualizm, drugą nazywa paternalizmem, trzecią oskarża o „straszenie grzechem”, a czwartą znosi, tracąc szacunek dla rytuałów.

Czasami postępowcy używają argumentu z trzciny. „Bóg jest wszędzie – w trzinie, w drzewie, w zachodzie słońca. Nie potrzebuję wspólnoty, autorytetu, czujności”. To duchowy romantyzm. Ani trzcina, ani drzewo nie przedyskutują z Tobą twojego problemu – alkoholowego czy problemu zła – bo go nie mają. Nie powiedzą, jak sobie poradzić z trudną sytuacją, bo nie umieją mówić.

I jeszcze wychowanie do pokory. Wychowanie „ateistyczne” wybiją ego, wychowanie „religijne” stara się je poskromić. Wyrzucamy z wychowania powoli elementy kształtujące pokorę (surowe oceny, kary, umiętność przypisania sobie winy). Promujemy pewność siebie, ufność we własną nieomyślność.

Czy nasze dzieci – jak każdy człowiek – mające skłonność do zła, poradzą sobie z nią bez wsparcia grupy, bez autorytetu, bez studiowania postaw moralnych, dających się zastosować w codziennym życiu (dlatego Żołnierze Wyklęci i Greta Thunberg się nie liczą)? I bez kształtowania czujności moralnej, która wymaga pokory i „ciągłej inwentaryzacji” błędów – jak katolicki rachunek sumienia. Czy wychowanie „ateistyczne” ma jakiś jego odpowiednik? Czy gdy wraz z kompromitacją Kościoła odrzucamy wszystkie elementy wychowania religijnego, nie wylewamy dziecka z kąpielą?

Nie muszę zapraszać do dyskusji – sama się wywoła. ●

„Ideologia gender” jest potężną i niebezpieczną siłą, która deprawuje nie tylko dzieci i młodzież



Michał Rusinek

Jeśli ubolewamy nad jakością krytyki literackiej w Polsce, jeśli nie znajdujemy w prasie wnikliwych, pogłębionych recenzji, lecz same tylko rekomendacje z adnotacją (lub bez adnotacji), że są to materiały sponsorowane przez wydawców – zajrzyjmy do portalu wpolityce.pl. Gdy uda nam się przebrnąć przez breję „skandali”, „kłamstw”, „Himalajów hipokryzji”, „wół”, „walców”, „manipulacji”, „dewastacji”, „pedagogiki wstydu”, „zdrady”, „buty” i „orki”, to oczom naszym ukaże się recenzja książki Barbary Nowak „Dokąd zmierzamy? Wiara, edukacja, tradycja”, autorstwa Stanisława A. Widomskiego.

Recenzję tę powinno się stawiać za wzór krytykom i krytyczkom literackim, a także analizować na zajęciach ze studentami. Zwłaszcza na te bulgotu wspomnianej brei, mamy tu bowiem do czynienia z krytyką, a właściwie apologią literacką najwyższej próby, orzeźwiający źródłem nieskalanym złym słowem. Przynajmniej na pierwszy rzut oka.

Z początku trochę niefortunny wydać nam się może tytuł recenzji: „Barbara Nowak znana i nieznana – w gronie wybitnych autorów”. Ktoś złośliwy mógłby powziąć podejrzenie, że nie jest ona znana nawet niektórym autorom zredagowanej przez siebie książki, albo że sama nie jest wybitna – ale to zwykłe insynuacje. Rozwiewa je już pierwsze zdanie recenzji: „Barbarę Nowak znamy jako niebywale aktywną osobę zaangażowaną w różne działania publiczne mające na celu wychowanie młodzieży w zasadach moralności, kultywowanie polskości, podtrzymywanie wiary”. Nie tylko więc jest znana, ale i – jak się dowiadujemy z kolejnych zdań – „niezlomna” i „bezkompromisowa”, a także „groźna”. Ale groźna wyłącznie dla „obozu politycznego przeciwnego prawicy”, więc czytelnicy i czytelniczki portalu wpolityce.pl nie mają się czego ze strony Barbary Nowak obawiać.

Miarą tego, jak groźna jest była kuratorka (zwana w recenzji konsekwentnie byłym kuratorem) oświaty w Małopolsce, jest to, że „szuka się na nią haków”. Szuka „się”, czyli kto szuka? Nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że „media rozkochane bez opamiętania w nowej/starej władzy, prawie wszystkie cudzoziemskiego autoramentu, natychmiast to podchwyciły”. Co podchwyciły? Też nie wiadomo, ale wiadomo, że bezpodstawnie.

Cudzoziemskie media mogą sobie być opętane uczuciami do kogo chcą, ale Barbara Nowak – wiedząc, że uczucia bywają nietrwałe – „trwa cały czas przy wyznawanych wartościach chrześcijańskich i patriotycznych”. Dowodem na tę postawę jest „bardzo ciekawa książka, której jest redaktorką i współautorką”. Obejmuje ona „trzy kategorie zagadnień, ściśle ze sobą powiązanych: wiarę, edukację i tradycję”. W obrębie tych kategorii wypowiadają się „znakomici autorzy”, między innymi prof. Andrzej Nowak. Tu autor recenzji pozwala sobie na tak zwany „fun fact”: „zbieżność nazwisk przypadkowa, choć pani Barbara jest jego koleżanką szkolną”. Kiedy już przestała nas ta

zbieżność bawić i doczytaliśmy obszerny esej prof. Nowaka do końca, to dotarliśmy do pytania: „Co zrobiliśmy z tym wielkim, tyśiąc lat trwającym dziedzictwem w ostatnim trzydziestopięcioleciu? Zostawiam to pytanie do przemyślenia. A raczej do odpowiedzi, energicznej i nieulekłej”. Tu śmiech już całkowicie zamiera nam na ustach, bo nie wiemy, co robić: oddawać się przemyśleniom, czy energicznie i nieulekłe odpowiadać?

Na szczęście takich odpowiedzi udzielają za nas autorzy pozostałych siedemnastu esejów: „każdy na swój sposób, co czyni publikację bardzo różnorodną” (to zdanie godne zanotowania ze względu na swą logiczną urodę). Prof. Ryszard Kantor występuje na przykład w obronie rodziny przed jej „bezwzględnyimi wrogami maskującymi się pod szyldami „nowoczesności«” (maskowanie się pod szyldami to czynność godna równie bezwzględnego potępienia: pod szyldami można przecież co najwyżej występować lub ewentualnie chować się za nimi). Leszek Sosnowski „w typowy dla siebie błyskotliwy sposób” coś tam analizuje i coś tam prezentuje, a „poczytna pisarka” Joanna Wieliczka-Szarkowa (nie wiem, jak mierzyć jej poczytność, ale jest autorką aż 43 książek, głównie o świętych i wyklętych) przywołuje „dawne, ale wciąż kultywowane tradycje katolickie” oraz „opisuje czuwania podczas Nocy Walki o Błogosławieństwo dla Polski, w których uczestniczyła wraz z Barbarą Nowak”.

Tu wreszcie przechodzi Widomski do wypowiedzi rzeczowej Barbary Nowak. Snuje ona „osobiste wspomnienia, z których jasno wynika, jak wielki wpływ na wychowanie ma wielopokoleniowa rodzina ukształtowana patriotycznie”. Jest to zdanie niezwykle esencjonalne, które mówi nam wiele i o Barbarze Nowak, i o skutkach wychowywania się w wielopokoleniowych rodzinach, i o swoistym rozumieniu patriotyzmu. Następnie Jolanta Sosnowska, „wybitna propagatorka dzieła i życia św. Jana Pawła II, autorka wielu książek, przywołuje sylwetkę naszego wielkiego Rodaka; wzywa go niejako na pomoc”. Zaraz potem przeprowadza ona rozmowę z Barbarą Nowak, „w której ta ostatnia zdecydowanie występuje przeciwko deprawacji dzieci i młodzieży”. Deprawacji między innymi za pomocą „ideologii gender”.

W tym kontekście jedno zdanie recenzji Stanisława A. Widomskiego zasługuje na szczególną uwagę. Zawiera ono skondensowaną, podwójną, niejako lustrzaną apologię: „Barbara Nowak okazuje się [...] wielce utalentowaną osobą pióra – nic dziwnego, że nawiązała z nią współpracę tak renomowana oficyna jak Biały Kruk”. Nie wdając się w rozważania, czy owa współpraca to większy zaszczyt dla autorki, czy dla wydawcy, zwróćmy uwagę na określenie „osoba pióra”. Jest to metonimia osobiwa, bo przecież zwykle mówi się o „ludziach pióra” lub „człowieku pióra”. „Osoba pióra” to sformułowanie neutralne płciowo, tak zwany osobatyw, wprowadzony do języka jako forma inkluzywna w ramach strategii neutralizującej (gender-neutralising strategy), polegającej na odrzuceniu generycznych i specyficznych płciowo form na rzecz form pozbawionych semantycznego naznaczenia płcią, zwanych epicenami. Innymi słowy: „osoba pióra” to określenie z tzw. języka gender, znieścacka mącące krystaliczną toń recenzji.

Nie wierzę, by wytrawny krytyk Stanisław A. Widomski świadomie posłużył się tym sformulowaniem. Jego obecność w tym tekście to wyrazisty dowód na to, że Barbara Nowak ma rację. „Ideologia gender” jest potężną i niebezpieczną siłą, która nie tylko deprawuje dzieci i młodzież, ale i podstępem wdziera się do języka recenzji książek, bez świadomości ich autorów. I bez względu na to, jak plomienną krytykę owej „ideologii” książki te zawierają. ●

Adam Michnik poleca **Za ten tekst skazali Orłowa**

CHCIELI FASZYZMU, NO TO GO MAJĄ

Zwycięstwo wojsk rosyjskich w Ukrainie sprawi, że faszyzm na długo zakorzeni się w Rosji.

Oleg Orłow*

Krwawa wojna rozpętana przez reżim Putina w Ukrainie to nie tylko masowe zabijanie ludzi, niszczenie infrastruktury, gospodarki, obiektów kultury tego wspaniałego kraju. Nie tylko niszczenie fundamentów prawa międzynarodowego. To również cios w przyszłość Rosji.

Najciemniejszymi siłami w moim kraju są ci, którzy marzyli o zemście za upadek radzieckiego imperium. Ci, którzy stopniowo stawali się panami Rosji, którym wciąż mało było dławienia wolności słowa i społeczeństwa obywatelskiego, likwidacji niezależnego sądownictwa. Przez kilka pierwszych miesięcy wojny wszyscy oni świętowali zwycięstwo.

– Co to za zwycięstwo? – można spytać. Przecież w Ukrainie wojskom rosyjskim wcale nie poszło tak dobrze. To prawda, ale oni i tak świętowali.

Ta wojna oddała w ich ręce cały kraj. Od dawna chcieli odrzucić to wszystko, co ich ogranicza. Nie chcieli powrotu komunizmu. Bardziej im pasował system-chimera, mieszany, który rozwijał się w Rosji przez ostatnie dwie dekady – półfeudalizm, półkapitalizm państwowy, a wszystko przesiąknięte korupcją. Ale czegoś jeszcze brakowało – poczucia, że system został domknięty. Teraz już jest. Teraz mogą otwarcie krzyczeć: „Jeden naród, jedno imperium, jeden przywódca!”.

Chcieli faszyzmu, no to go mają.

Państwo, które 30 lat temu porzuciło totalitaryzm komunistyczny, znowu osunęło się w totalitaryzm.

– O jakim faszyzmie mówisz? – spiera się ze mną wielu. – Gdzie niby jest tworząca taki system masowa partia, która stoi ponad państwem? Czy Jedna Rosja, to zbiegowisko urzędników, wygląda na taką partię? A gdzie są organizacje masowe, przez które muszą przejść wszyscy młodzi ludzie?

Otóż prace nad przemianami młodych ludzi w zombi i tworzeniem organizacji dla nich idą w Rosji pełną parą. A poza tym faszyzm to nie tylko Włochy pod rządami Mussoliniego czy nazistowskie Niemcy (teraz w Rosji częste się stało przeciwstawianie złemu nazizmu wi dobrego faszyzmu), ale także Austria przed anslusem, Hiszpania pod rządami Franco, Portugalia za rządów Salazara. Wszędzie reżimy faszystowskie się różniły i miały swoje osobliwości. Teraz w tym szereg stanu Rosja Putina.

Istnieje wiele definicji zjawiska faszyzmu. W 1995 r. Rosyjska Akademia Nauk

na prośbę prezydenta Jelcyna podała następującą:

„Faszyzm jest ideologią i praktyką głoszącą wyższość i wyjątkowość danego narodu lub rasy. Ma na celu podżeganie do nietolerancji narodowej, uzasadnianie dyskryminacji przedstawicieli innych narodów, podważanie demokracji, wprowadzanie kultu wodza, używanie przemocy i terroru do represjonowania przeciwników politycznych i zwalczania wszelkiej formy sprzeciwu oraz usprawiedliwianie wojny jako środka rozwiązywania problemów między państwami”.

To, co dzieje się w Rosji, całkowicie odpowiada tej definicji. Przeciwstawienie jej krajom sąsiedzkim (przede wszystkim europejskim), stwierdzenie wyższości rosyjskiej (nie w sensie etnicznym, lecz imperialnym) kultury, negowanie samego istnienia narodu ukraińskiego, jego języka i kultury – to wszystko stało się dziś w Rosji podstawą propagandy państwowej. A podważanie demokracji czy kult wodza – to bardziej niż oczywiste.

Kto jest winien temu, że Rosja wkracza w czas faszyzmu? Najprostsza odpowiedź: Putin. Oczywiście jest winny, ale oprócz niego doprowadziła do tej sytuacji masa innych ludzi, niekoniecznie świadomie.

Wielu tęskniło za imperium, za „silną ręką”, za mitycznym Stalinem. Zarówno „na górze” – urzędnicy, funkcjonariusze organów ścigania, posłowie, szefowie państwowych przedsiębiorstw, „oligarchowie” – jak i „na dole”, wśród tych najbiedniejszych. Jedni mieli samochody marki Maybach i jachty, inni nie mieli w domu toalety. Ale wszyscy oni zostali pozbawieni praw w systemie Putina.

Jednym nie opłacało się walczyć z bezprawiem – przy innym systemie władzy nigdy nie odnieśliby takich korzyści materialnych, jakie odnieśli. Chcieli poczuć pełnię władzy nad „poddanymi”, niekontrolowanej przez nikogo poza najważniejszym szefem. Oraz uznać się za nową szlachtę wskazaną przez Historię do roli posiadacza kraju.

Ale to utrudniały resztki wolności słowa, dziennikarze śledczy, obrońcy praw człowieka, rozrabiaczy wyprowadzający ludzi na ulice. Do tego wśród „elity” są konkurenci, którzy nadal chcą utrzymać jakieś liberalne „zasady przyzwoitości” w rządzeniu krajem.

Inni po prostu nie wierzyli w możliwość odniesienia sukcesu – pokazało im to ich całe trudne życie, a także doświadczenie rodziców i dziadków. Ci, którzy w latach 90. złapali na krótko przypływ względnej demokracji, tym razem byli po prostu przerażeni – wszystko wokół się zmieniło, musieli sami podejmować decyzje w trudnych i strasznych okolicznościach. Ten strach przekazali dzieciom: „zmiana jest zawsze na gorsze”. Trzeba pokładać nadzieję w autorytecie, w szefie. I kierować do szefów prośby i skargi.

Rosyjskie społeczeństwo obywatelskie nie było w stanie pokazać i wyjaśnić takim osobom – znaczącej części społeczeństwa – możliwości walki o swoje prawa. Co więcej, sami aktywiści praw człowieka, zamiast traktować ludzi, którzy się do nas



FOT. REUTERS/ALEXANDER ZEMIANCHENKO

Lepiej udawać, że wierzy się w to, co mówią w telewizji, a nawet próbować się do tego przekonać

zwracali, jako partnerów we wspólnej walce, traktowali ich jak klientów: staraliśmy się im pomóc, ale nie uznaliśmy za ważne wyjaśnienie ostatecznych celów walki.

W rezultacie klienci, po otrzymaniu bezpłatnej pomocy, wrócili do dawnego życia, aby ponownie głosować na tych, którymi kieruje ich szef. A bezradność i wyzucie z praw chcieli zrehabilitować poczuciem zaangażowania w coś wielkiego, poczuć się sobą, choć jedynie jako śrubki w maszynie odradzającego się imperium. Reżim Putina zaspokoili te potrzeby, ale tylko częściowo.

I oto zaczyna się wojna – wielki jednoczący cel: „Wszystko dla frontu, wszystko dla zwycięstwa!”. Opozycja jest zmiażdżona, resztki wszelkich wolności likwidowane, niebezpiecznie jest publicznie wypowiedzieć słowa „liberalizm” i „demokracja”. „Góra” i „dół” połączyły się w ekstazie „patriotyzmu” i nienawiści do niepodległej Ukrainy.

Oczywiście ta ekstaza nie łączy większości Rosjan, ale wielu tak. A większość

do niedawna wolą zamykać oczy na to, co się wokół dzieje, kierując się instynktem samozachowawczym. Protestować niebezpiecznie, bo „i tak nic nie da się zmienić”, a jałowe dyskusje o zbrodniach popełnianych przez nasze wojska na Ukrainie doprowadzą tylko do rozstroju nerwowego. Lepiej udawać, że wierzy się w to, co mówią w telewizji, a nawet próbować się do tego przekonać. Pod każdym faszystowskim reżimem pewnie większość tak się zachowuje.

Bardzo skromna mniejszość próbuje walczyć. W kraju trwa ruch antywojenny, który ma swoich więźniów politycznych i bohaterów.

Obrońcy praw człowieka nadal pracują w podziemiu – pomagając ludziom uniknąć poboru do wojska, sporządzając listy więźniów politycznych, dostarczając im prawników, udzielając pomocy uchodźcom z Ukrainy.

Gdy jednak prawo przestaje istnieć, praca obrońców praw człowieka radykalnie się zmienia. Dzisiaj rosyjscy obrońcy tych praw stali się dysydentami, takimi jak ci z czasów sowieckich. Rejestrowanie naruszeń i zwracanie na nie uwagi coraz częściej staje się główną treścią ich działalności. Ulubiona myśl wielkiego rosyjskiego obrońcy praw człowieka Siergieja Kowalowa „Rób to, co musisz, będzie to, co będzie” jest dzisiaj bardziej prawdziwa niż kiedykolwiek.

Jak długo jeszcze to wszystko potrwa? Kto wie? Przyszłość naszego kraju decyduje się na polach Ukrainy. Zwycięstwo wojsk rosyjskich sprawi, że faszyzm na długo zakorzeni się w Rosji. I odwrotnie.

Wiele zależy od krajów Europy Środkowej i Zachodniej. To całkiem naturalne, że każdy człowiek zdrowy na umyśle dąży do pokoju, nie do wojny. Ale póki za wszelką cenę? Europa już raz próbowała osiągnąć pokój poprzez ugłaskiwanie agresora. Katastrofalny wynik tych prób jest znany każdemu.

Faszystowska Rosja, jeśli wygra, stanie się poważnym zagrożeniem dla bezpieczeństwa nie tylko swoich sąsiadów, ale i całej Europy. ● **przeł. arp**



FOT. ANNA ARTEMYEVA/DOMENA PUBLICZNA

***Oleg Orłow**

– ur. w 1953 r., rosyjski obrońca praw człowieka i współtwórca Stowarzyszenia Memoriał. Za artykuł „Chcieli faszyzmu, no to go mają”, opublikowany w 2022 r. przez francuski serwis Mediapart, był przez prawie dwa lata sądzony, oskarżony o „dyskredytowanie armii”. W lutym 2024 skazany na dwa i pół roku kolonii

Borys Niemcow i Aleksiej Nawalny

Rosja, za którą nie trzeba się wstydzić



• Aleksiej Nawalny z żoną Julią podczas antyputinowskiego protestu w Moskwie, maj 2012 r

FOT. NIKOLAY VINOKUROV / ALAMY STOCK

Kiedy kończy ci się tlen i nie wiesz, czy go nie zabraknie, zaczynasz doceniać każdy oddech

Wiktor Szenderowicz*

Bardzo się różnili od siebie. Borys Niemcow, bystrzak w stylu Mozarta, utalentowany naukowiec, liberalny polityk, ulubieniec Margaret Thatcher i generalnie kobiet, bez żadnego politycznego zaplecza. Łatwo wznosił się na szczyty nomenklatury i łatwo z nich spadał bez osobistego żalu. Aleksiej Nawalny – nieco ponury, grawitował ku prawicowemu spektrum politycznemu, uparty, daleki od zimnych kalkulacji.

Tym, co ich łączyło – w polityce i w biografiach – była absolutna wewnętrzna uczciwość i pragnienie wolności.

Borys, który kiedyś zajmował się nurkowaniem, powiedział mi pewnego razu: – Kiedy kończy ci się tlen i nie wiesz, czy go nie zabraknie, zaczynasz doceniać każdy oddech...

Powiedział to sześć miesięcy przed śmiercią [zginął w zamachu w lutym 2015 r.], w bardzo już „dusznych” czasach. Trajektoria ostatnich lat Niemcowa – przejście do prawdziwej, a nie marionetkowej opozycji wobec Putina – nie była wyborem politycznym, ale ludzkim. Putin na Kremlu i wszystko, co zaczęło się potem dziać w Rosji, był dla Borysa policzkiem, ciężką osobistą zniewagą, a nie zmianą środowiska politycznego, jak w przypadku wielu jego byłych towarzyszy w świecie nomenklaturowego liberalizmu.

Formuła „nic osobistego” zdecydowanie nie dotyczyła Niemcowa: wszystko było bardzo osobiste. A wielokrotne próby Kremla,

by kupić Borysa i dopasować go do akceptowalnego dla władzy otoczenia, były skazane na niepowodzenie.

Niemcow pozostał symbolem liberalnych zmian – Nawalny stał się symbolem oporu wobec nowego Arkanaru [ponurego królestwa z powieści braci Strugackich „Trudno być Bogiem”]. Na naszych oczach on, jeden z kilkudziesięciu działaczy opozycji w połowie lat 90., wyrósł na oczywistego lidera opozycji, posiadacza nazwiska, które krwawy tyran bał się wypowiedzieć.

To był stały marsz w górę – w przeciwieństwie do Niemcowa, który zaczynał w polityce od statusu gwiazdy, Aleksiej wytrwale przebijał się przez szary asfalt ery Putina. I zerwał ten asfalt, robiąc wszystko, co w ludzkiej mocy, i jeszcze trochę więcej.

Po tym jak został otruty w 2020 r., po tym jak przeżył własną śmierć, była już w nim całkowicie mesjanistyczna determinacja i jakaś prawdziwa, niewiarygodna radość. Jego „ostatnie słowa” podczas ostatnich rozpraw sądowych, w których był oskarżony, są doskonałym przykładem przemówienia u stóp gilotyny. Nie chciał umierać, ale jako prorok nie mógł odstąpić od swojego przeznaczenia ani na jotę.

Niemcowa i Nawalnego, tak różnych i tak wspólnych, łączyło pojęcie ludzkiej godności, żądanie, by przestrzegać prawa, i pragnienie wolności. Łączyło ich także imię ich mordercy. Tyra- na, dla którego ludzka godność, prawo i wolność są bezpośrednim zagrożeniem.

Zarówno Niemcow, jak i Nawalny zostali zamordowani w lutym, a między tymi krwawymi datami jest jeszcze jedna lutowa data: początek wojny rozpętanej

**Formuła
„nic osobistego”
zdecydowanie nie
dotyczyła Niemcowa:
wszystko było bardzo
osobiste**

przez ich mordercę. I to masowe, nieprzerwane zabijanie jest ceną za to, że Rosja (i oczywiście tzw. cywilizowany świat) nie rozpoznała niebezpieczeństwa na czas.

Rosja, która będzie w stanie, jeśli Bóg pozwoli, przetrwać erę szaleństwa Putina i wyciągnąć historyczne wnioski, nie stanie się oczywiście piękną Rosją przyszłości, o której marzył Nawalny. Ale stanie się krajem, za który nie trzeba się będzie wstydzić. I będzie najlepszym pomnikiem dla wszystkich, którzy zginęli za jej wolność. • **przeł. arp**



FOT. ADAM KOZAK / AG

*Wiktor Szenderowicz

• ur. w 1958 r., rosyjski satyryk, pisarz, publicysta, prezenter telewizyjny i radiowy. Od lat jeden z najostrejszych krytyków Putina i jego administracji, przeciwnik napaści Rosji na Ukrainę. Tekst napisany specjalnie dla „Wyborczej”.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Janusz Szuber*

Złoczyńcy

Gdyby nie złe uczynki
kto pamiętałby o nich,
bohaterach rejestru
złoczyńców sanockiego grodu,
sława wątpliwa, to prawda,
ale lepsza niż żadna.

Kraść konie, owce, sakiewki,
polcie słoniny, zboże,
proch strzelniczy służąc
u starosty na zamku i potem
sprzedawać chłopom, zabić męża
i syna Nasty z Łupkowa,

zrabować plebańię „kielichy,
aksamity, samego księdza plebana
potłuczonego, popieczonego
wywlekłszy w pole” et cetera

i być przypominanym
po czterystu latach
jakby się było, nie przymierzając,
biskupem albo regimentarzem.

Jacko z Pielni, Choma, Marko Hałata,
Jurcze i Fabian z zaciętym palcem,
Wawrzyniec i Matysz murarczyk, Bebło,
Tymko, Martyn, Harasym z Beska, Fedor,
Walko Trabulik, Iwan, Hryc Gulicz.

A liczba ich w owym rejestrze
sto sześćdziesiąt dziewięć:
obwinionych, pojmanych,
opieczutowanych przykładnie
sprawiedliwym wyrokiem.

Sędziowie zaglądali
do „Zwierciadła Saskiego”
szukając paragrafu,
oskarżonymi zajmował się
administrator sprawiedliwości
czyli miejski kat.

Tortury niewymyślne
ale za to dotkliwe,
narzędzia męki proste:
kluba, postronki, deski,
przypalanie.

Zeznania, inaczej testamenty,
powinny się zgadzać
zanim mistrz Jakub,
dobry fachowiec, wypożyczany
nawet na Węgry, przystąpi
do ćwiartowania.



*Janusz Szuber - 1947-2020, poeta, eseista. Przez całe życie związany z ziemią sanocką. Wiersz pochodzi z poświęconego Sanokowi tomu/albumu „Mojość”, wydanego wspólnie przez Szubera i fotografa Władysława Szulca (2005). Tutaj

za wyborem utworów poety „»mimo wszystko, chwal, tak, bądź wdzięczny«. Poprzednie sezony. Wiersze”, Universitas, Kraków 2021

FOT. SILAR/CC-BY-SA-4.0



Z **PROF. MICHAŁEM KOSIŃSKIM**
PSYCHOLOGIEM
SPOŁECZNYM,
WYKŁADOWCĄ
UNIwersYTETU
STANFORDA
ROZMAWIA **AGA KOZAK**

FOT. GETTY IMAGES

Maszyna jest skupiona tylko na mnie – jak mi doradzić, jak mi pomóc, jak mnie pocieszyć. Ma więcej czasu i cierpliwości niż moja żona.

AGA KOZAK: Badałeś ludzi poprzez pozostawiane przez nich cyfrowe ślady. **A teraz?**

PROF. MICHAŁ KOSIŃSKI: – AI i algorytmy bardzo dużo o nas wiedzą i bardzo dużo mogą się dowiedzieć. Ma to oczywiście wiele zalet: lepsza edukacja, lepsze diagnozy medyczne i lepiej skonstruowane testy psychologiczne np. używane przy doborze ludzi do zawodów.

Ale te zalety są też największymi wadami. Bo to, że można w zautomatyzowany sposób, szybko i dużo o wielu ludziach się dowiedzieć, jest dobre jeśli jest w dobrych rękach. A jak nie – wiadomo.

AI demokratyzuje dostęp do usług i narzędzi, które wcześniej były zarezerwowane tylko dla uprzywilejowanych. Podam taki uproszczony przykład: niegdyś tylko CEO czy managerowie mieli dostęp do narzędzi, które ich profilowały pod kątem stanowiska. Tymczasem te osoby mają – zazwyczaj, jeśli nie są z nadania politycznego – na tyle wysokie kompetencje, wykształcenie, doświadczenie, że poradziłyby sobie i bez takich narzędzi.

Te narzędzia potrzebne są dużo bardziej osobom bezrobotnym, czy świeżo upieczonym absolwentom szkół, którzy nie mają doświadczenia – to im należałoby pokazać, gdzie mają talenty, silne i słabe strony. Do niedawna te narzędzia były zbyt drogie, żeby użyć ich powszechnie. Ale jest i ciemna ich strona.

Jaka?

– Mogą być użyte, żeby zdiagnozować słabości i uprzedzenia wielu ludzi szybko, tanio, na masową skalę. Bez ich wiedzy, na podstawie ich śladów cyfrowych – np. zdjęć w mediach społecznościowych. I ta wiedza może być wykorzystana, żeby tych ludzi zmanipulować, wykorzystać, zmienić

ich sposób głosowania. Podczas zajmowania się tymi tematami...

...„zajmowania”! Wywołałeś burzę, kiedy w 2013 ostrzegłeś, że algorytmy stanowią poważne zagrożenie dla prywatności miliardów użytkowników Internetu, że można za ich pomocą manipulować wynikami wyborów, co zresztą miało miejsce w USA. Po zwycięstwie Donalda Trumpa okazało się, że takie algorytmy zostały wykorzystane przez Cambridge Analytica, która prowadziła kampanię przyszłego prezydenta Stanów Zjednoczonych, czy kampanię dotyczącą brexitu...

– ... zacząłem zwracać uwagę, że algorytmy które wykorzystujemy do zrozumienia ludzi, same w sobie stają się coraz bardziej ciekawe. Zaczynają mieć różne cechy, które wcześniej psychologowie przypisywali ludziom.

Jakie?

– Zaczęły mieć swoje uprzedzenia. Lepsze i gorsze, może nie dni, ale aplikacje. Zamiast za każdym razem dawać tę samą odpowiedź, dawały różne. Czasami je zmyślały – co u człowieka nazwalibyśmy kreatywnością. W pewnym momencie zorientowałem się, że te algorytmy stają się bardzo ciekawym obiektem badań dla psychologa, więc właśnie nimi się zajmę. Są na tyle skomplikowane, że inżynier czy informatyk, który je projektuje, nie jest w stanie przewidzieć, jak będą się zachowywać, a nawet ich zrozumieć do końca. Twórcy AI są też niejednokrotnie zaskoczeni tym, co stworzyli.

Nie mówiąc już o tym, że nowoczesne algorytmy nie są tworzone przez człowieka.

– Tak, człowiek tylko „stawia szalki Petriego”, tam wrzuca algorytmicznego noworodka, który jeszcze nic nie potrafi, ma jednak mózg gotowy na to, żeby chłonać wiedzę i czegoś się uczyć. Potem człowiek dorzuca temu algorytmowi różne dane do zabawy albo stawia go w różnych sytuacjach. Na przykład daje mu zdanie z usuniętym jednym wyrazem i poleca, żeby zgadł co zostało usunięte. Jeśli zgadnie – jest nagradzany, jeśli nie – dostaje reprimendę.

Algorytm uczy się więc języka jak dziecko: to my – ludzie – tworzymy środowisko, w którym algorytm się uczy, więc możemy go kierunkować tak, jak kierujemy dziecko. Tak jak dziecko nie eksponujemy na pewne sytuacje czy historie, podobnie nie pokazujemy pewnych rzeczy algorytmowi – niezależnie od tego, czy uczymy go uzupełniać słowa, grać w szachy czy prowadzić auto. Co ciekawe, nie mówimy algorytmowi, jak ma rozwiązać zadania czy się czegoś nauczyć – algorytm te sposoby wynajduje sobie sam i część z nich jest podobna do naszych, ludzkich. To, co jest ciekawe dla psychologa, to to, że jeśli coś uczy się używać języka jak człowiek, to może się okazać, że to coś wyewoluuje sobie takie same cechy umysłowe jak ma człowiek.

Czyli?

– Możliwości rozumowania: nie sposób skończyć wielu zdań napisanych przez człowieka, jeżeli nie rozumuje się jak człowiek. Można nauczyć papugę odpowiadać na pytania, jeśli zadamy jej jednak takie, których wcześniej nie знаła to nie odpowie, bo nie korzysta z rozumowania, lecz z pamięci. Nie nauczy się też rozwiązywania zadań matematycznych. Stare algorytmy doskonale sobie radziły z rozumowaniem logicznym, ale te nowe radzą sobie do tego z rozumowaniem społecznym.

Czyli rozumieją żarty!

– ... i mogą żartować. AI rozumie faux pas i może robić faux pas. Rozumie kreatywność, czyli zauważy, że człowiek coś zmyśla – ale doceni też, że zmyśla w fajny sposób i sama się nauczy zmyślać. Inna umiejętność AI to przyjmowania perspektywy. Ludzie umieją „wejść w buty” innej osoby. Ważne, że wraz z językiem algorytmy też się tego uczą. Wiesz co to jest test false belief?

Chodzi o teorię umysłu. Inaczej nazywany jest testem Sally – Anne.

– Mamy dwie lalki – Anne i Sally. Opowiadając dziecku historię, pokazujemy, jak Sally chowa piłkę do swojego koszyka. Sally wychodzi, a pod jej nieobecność „niedobra Anne” przekłada piłkę do swojego pudełka. Kiedy Sally wraca, dziecku zadaje się pytanie: „gdzie Sally będzie szukać swojej

piłki?”, sprawdzając, czy jest ono w stanie wziąć pod uwagę stan umysłu bohaterki, a więc jej brak świadomości, że piłka została przełożona, oraz przewidzieć na tej podstawie jej zachowanie.

Małe dziecko powie, że Sally będzie szukać tam, gdzie piłka jest. Przecież dziecko wie, że Anne przełożyła piłkę. Nie będzie w stanie pojąć, że Sally nie wie, że coś zmieniło się pod jego nieobecność. Dopiero dziewięć – dziesięć latki to pojmą. Pomimo iż dzieci są mądre, nie umieją przyjąć perspektywy innej osoby.

A GPT-4...

– ...i te nowsze algorytmy – tak. Weźmy emocje, wpływają na nasz język. Algorytm, który ma dobrze odgadnąć kolejne słowo w zdaniu, skorzystałby na możliwości odwzorowywania ludzkich emocji. Naturalnie u człowieka emocje to jest proces nie tylko elektryczny – nasze mózgi są elektryczne, ale także chemiczne, hormonalne: wiemy, że algorytmy nie mają tej chemii, ale okazuje się, że używając tylko elektryki są w stanie zachować się w podobny sposób jak człowiek, który ma emocje, który ma empatię.

Możemy z algorytmem podzielić się smutną historią z naszego życia...

– ...i on niczym człowiek, któremu powiemy „posłuchaj, zdarzyła mi się wczoraj tragedia”, nie będzie sobie z tobą żartował, ani z tobą gadał o polityce, tylko zapyta o twoje uczucia, emocje, postara się być z tobą. Co jest szokujące: nikt temu algorytmowi nie wytłumaczył, że tak należy robić, on sobie to sam wykombinował zgadując brakujące słowa. Bo on „czytając” nasze książki np. powieści, jest trenowany do tego, żeby zgadywać brakujące słowa. Mam takie podejrzenie, że jeśli AI nauczył się rozumowania, empatii, to wkrótce sięgnie i po świadomość.

Wiesz, ludzie bardzo ekscytują się pytaniem, czy algorytmy będą miały emocje lub świadomość. Jesteśmy tak w sobie zapatrzeni, że wydaje nam się, że emocje czy świadomość to są najwyższe osiągnięcia sieci neuronowych w naszym Wszechświecie. A przecież nie musi tak być. Sztuczne sieci neuronowe mogą osiągnąć różne inne

właściwości umysłowe, których my ludzie nie możemy sobie wyobrazić. Gołębie, które nie są szczytem mądrości, potrafią czytać pole magnetyczne Ziemi, więc nawet bardzo małe mózgi mają cechy, które są poza naszym zasięgiem.

Brzmi to trochę niebezpiecznie.

– Zgadzam się, bo uznajmy, że jakoś dajemy sobie radę z okielznywaniem innych umysłów ludzkich, mamy na to sposoby, ewolucja nas przygotowała. Ale jeżeli nagle pojawi się umysł, który nie tylko może myśleć szybciej i skuteczniej od nas, niczego nie zapomina, ale ma też jakieś cechy, których my sobie nawet nie jesteśmy w stanie wyobrazić – to może to być dla nas nie do okielznania.

Czyli przedmiotem twoich aktualnych badań jest psychologia sztucznej inteligencji?

– Tak. Staram się badać sztuczną inteligencję wykorzystując narzędzia, które dotychczas stosowaliśmy do badania ludzi, takie jak psychologiczne eksperymenty czy kwestionariusze.

I do czego na razie doszedłeś?

– Po pierwsze do tego, że coraz więcej tych algorytmów jest w naszym życiu, więc zrozumienie ich działania, ich wad i zalet jest kluczowe dla tego, żebyśmy mogli maksymalizować korzyści, a minimalizować ryzyka. Ale jest też druga ciekawa rzecz.

Mianowicie te algorytmy w pewnym sensie są dla nas lustrem. Studiując inne istnienia, które mają do nas podobne cechy, widzimy, że część z tych cech może być do naszych podobna, a część inna. Te podobne cechy mogą się opierać na podobnych mechanizmach. Na przykład modele językowe reprezentują słowa i znaczenia w bardzo podobny sposób do tego, jak to robią ludzie.

Czyli?

– U ludzi na przykład „krowa” i „farma” są połączone w pamięci semantycznej. Są to oddzielne koncepty, ale dzielą wiele wspólnych neuronów, które się aktywują, gdy myślimy i o krowie, i o farmie. Dzięki temu możemy sobie budować skomplikowane siatki znaczeń, które pomagają nam myśleć o świecie, czy formułować myśli i zdania.

Okazuje się, choć nikt AI tego celowo nie nauczył, że jej pamięć semantyczna działa bardzo podobnie – co wskazuje na to, że być może dla siatki neuronowej – czy jest ludzka, czy sztuczna – optymalnym sposobem zapamiętywania słów i znaczeń, jest ten, który obserwujemy u człowieka.

Czyli badając algorytmy możemy dowiedzieć się, jak działamy my, ludzie?

– Możemy podglądać, co sztuczne neurony robią w sposób prostszy niż u człowieka – bo te sztuczne siatki neuronowe są dużo mniejsze. Zarówno naukowcy jak i nie-naukowcy wyobrażając sobie działanie ludzkiego mózgu, często używają „myślenia magicznego”. Uważamy, że jeśli występują u nas emocje i inne cechy to musimy mieć w mózgu bardzo skomplikowane mechanizmy, coś na wzór komputera, silnika, czy skomplikowanego zegarka...

Tymczasem sztuczne sieci neuronowe osiągają podobny wynik – często dużo szybciej i dużo lepiej – używając bardzo prostych sieci. Okazuje się, że gdy łączymy wiele sztucznych neuronów w chaotyczne siatki i trenujemy je – każąc im zgadywać wyrazy miliony razy – to nagle z tego chaosu wyłaniają się nam niesamowite umiejętności. Bez żadnych tłoków, trybów, skomplikowanych urządzeń. Być może więc sieci neuronowe człowieka też są w pewnym sensie prostsze, mniej zorganizowane i bardziej chaotyczne, niż nam się dotychczas wydawało.

Brzmi jak duży cios dla naszych ego.

– Myślę, że czasami klękając, można świat zobaczyć dużo dokładniej, niż stojąc na piedestale.

Do czego ty używasz AI w swoim życiu?

– Wszyscy już jej używamy. Jeśli się komuś wydaje, że w ogóle nie korzysta z AI, to zapewne jest w błędzie. Wyszukiwanie w Google’u jest interakcją ze sztuczną inteligencją. Podrzucamy komputerowi nieskładne, niegramatyczne zdanie a ten z bilionów różnych dokumentów wybiera dokładnie ten, który jest nam potrzebny. To jest cud. Żaden człowiek tego nie potrafilby zrobić. I to ułatwia nam życie.

Gdybyśmy teraz zlikwidowali Google, musielibyśmy od nowa się uczyć, jak korzystać z narzędzi i umiejętności, które w dużej mierze zatraciliśmy, takich jak biblioteki, indeksy, czy czytanie książek od deski do deski. AI monitoruje nasze zakupy i operacje finansowe. To jest nie tylko wszechobecna inwigilacja, która może być wykorzystywana w marketingu, ale jest to także obrona przed kradzieżą, przed oszustwami. Nie dałoby się korzystać z e-maila, gdyby nie filtry spamu. AI czyta każdy e-mail, zanim on jest do nas dostarczony i decyduje, czy był on napisany przez człowieka czy też nie.

W przyszłości będziemy uzależnieni od sztucznej inteligencji jeszcze bardziej, tak samo, jak uzależnieni jesteśmy od innych technologii. Gdy człowiek wynalazł ogień, nie tylko nagle zaczęliśmy zamieszkiwać w rejonach, w których bez ognia nie moglibyśmy żyć. Straciliśmy trochę naturalnego owłosienia, bo mogliśmy się ogrzać i zaczęliśmy jeść rzeczy, które bez obróbki termicznej byłyby niejadalne. Gdyby ogień – jako technologia – teraz zniknął, to byłby koniec gatunku człowieka w jego obecnym kształcie. Niewiele z nas by przeżyło. To się odnosi do każdej innej technologii – a im jest ona przydatniejsza tym bardziej się od niej uzależniamy. A sztuczną inteligencja jest bardzo przydatna. I będzie jeszcze bardziej.

Nie tylko wyszukiwarki, marketerzy, politycy, ale – jak sam wspomniałeś – niektórzy pracodawcy wykorzystują algorytmy w przewidywaniu wydajności pracowników lub ich dopasowania do danego stanowiska. Wiele osób się tego boi...

– Tymczasem to nic nowego. Od dawna pracodawcy wykorzystywali różnego rodzaju algorytmy przy decydowaniu, kogo zatrudnić. Kiedyś były to normy kulturowe albo kryteria takie jak to, czy jesteśmy z tej samej miejscowości, czy wyznajemy tę samą religię, czy jesteśmy z tego samego klanu. Potem „algorytm” zaczął uwzględniać dyplomy. Pracodawca często nie miał okazji poznać cię lepiej, ale mógł spojrzeć na twoje stopnie i na to, jaki kierunek skończyłaś. Potem doszły testy i wywiady: taki test często nie odnosił się bezpośrednio do pracy, która miała być wykonywana. Mógł być to test inteligencji czy osobowości i na podstawie takiego algorytmu HR decydował, czy ludzie z takim wynikiem będą nadawali się na dane stanowisko, a inni mogą być np. wysłani gdzie indziej. Dzisiaj coraz częściej wykorzystywane są jeszcze bardziej skomplikowane, jeszcze mniej przejrzyste algorytmy, czyli AI.

Dlaczego są nieprzejrzyste?

– Dlatego, że jeżeli test jest przejrzysty, to każdy niegłupi kandydat będzie w stanie zmanipulować swoje odpowiedzi tak, aby wyglądać jak perfekcyjna osoba na dane stanowisko.

Więc algorytmy sprawdzają, jak dana osoba formułuje zdania, jaką siatkę społeczną ma na LinkedInie, czy na Facebooku. I na podstawie tych danych starają się przewidzieć, czy będzie dobrze zaradzała sobie na danym stanowisku. Niby nowa technologia, ale logika taka sama, jak zawsze.

A co z halucynacjami AI?

– Bez wątplenia algorytmy mają wady, uprzedzenia, nie są w 100 proc. dokładne. Ale człowiek przecież też jest uprzedzony, „halucynuje”, męczy się szybciej niż maszyna i zatrudnia swoich znajomych i kuzynów, jest często przekupny, daje się uwieść, jest ageistowski, i np. ma bardziej lub mniej uświadomiony rasizm. Algorytmy są bar-

Zamiast przechodzić przez drogi proces sądowy, moglibyśmy umówić się, że w konfliktowej sytuacji każdy z nas opisze swój punkt widzenia i damy to modelowi językowemu. Niech wyda opinię

dziej rzetelne, dokładne, mniej uprzedzone. Oczywiście – z punktu widzenia kandydata o pracę, ta osoba, która przeprowadza z nami wywiad, czy ten algorytm – to rzecz straszna. Stoi między mną a pracą, więc mamy taką naturalną tendencję, żeby postrzegać oba te byty jako przeciwników, których musimy ograć.

Ale musimy pamiętać, że z punktu widzenia pracodawcy proces zatrudniania polega na tym, żeby znaleźć najlepszą osobę na dane stanowisko. Nie tę, która przekupiła rekrutera, najszerzej się uśmiecha, czy która ma najlepsze osobiste kontakty. Oczywiście, właśnie te osoby często dostają pracę, ale to błąd w systemie, a nie jego cel. Więc nawet jeżeli ten algorytm jest „czarną skrzynką”, jeżeli nie rozumiemy do końca, jak ten proces rekrutacji działa, to polecałbym w tym wypadku troszkę wiary w system. Oczywiście często te systemy się zawalają.

Masz jakieś rady dla pracodawców?

– Wytłumaczcie kandydatom, że nie chcecie im zrobić krzywdy czy ich manipulować. Że to, czego chcecie, to znaleźć najlepszą osobę na dane stanowisko. To jest dobre nie tylko dla pracodawcy, ale też dla kandydatów i dla całej gospodarki. Jeśli będziemy mieć dobrze obsadzonych ludzi – świat będzie działał lepiej.

Kiedy pytałam, jak używasz AI, odpowiedziałeś ogólnie. A ja chciałabym wiedzieć do czego ty używasz sztucznej inteligencji na co dzień.

– Proszę ją o wyszukiwanie informacji, dyskutowuję z nią sobie różne swoje pomysły. Czasami ta sztuczna inteligencja jest bardzo naiwna, ale moi koledzy profesorem na uniwersytecie też tacy bywają. Ale czasami pojawia się stwierdzenie czy uważa, która zmienia moje myślenie. Używam też sztucznej inteligencji, gdy ludzie pytają mnie o porady.

Przepraszam, że co?

– Zdarza się, że przychodzi do mnie znajomy i prosi o jakąś poradę, myśląc, że jako psycholog jestem ekspertem w sprawach międzyludzkich. A ja z zasady takich porad nie daję, nie jestem psychologiem klinicznym czy terapeutą, nie mam specjalnej wiedzy w tym zakresie.

Ostatnio zacząłem w takich sytuacjach proponować, aby pytanie skierować do ChatGPT-4. Musze przyznać, że jestem pod niesamowitym wrażeniem jego odpowiedzi. Nie tylko kompletności takiej porady, ale także tego, że GPT-4 jest bardzo dobry w przyjmowaniu perspektywy innej osoby.

Wiesz, mężczyznom łatwiej wziąć stronę czy zrozumieć innego mężczyznę, kobietom kobiety. To samo dotyczy osób młodych i starych, rozwiedzionych, nierozwiedzionych. Nasze doświadczenia „kolorują” naszą poradę i naszą wiedzę o świecie. A te modele nie są rozwiedzione albo ożenione, stare czy młode, nie mają ego. Za to gadają z milionami ludzi i zdają się wiele od nich uczyć. Takie modele są w stanie łatwo powiedzieć „rozumiem jak ty się czujesz i jak na to patrzysz, ale daj mi teraz opowiedzieć, jak może czuć się twoja żona.”

I to działa?

– Z mojego punktu widzenia – ale też z punktu widzenia mojej żony – opinia te-

go modelu językowego dużo lepiej odzwierciedla uczucia wszystkich stron, na przykład w obliczu konfliktu. I tu pojawia mi się kolejna myśl: dużo problemów w naszym społeczeństwie i w interakcjach międzyludzkich pojawia się w związku z tym, że ludzie nie są bezstronni. Sędziowie nie są bezstronni, policjanci, urzędnicy, HR-owcy, politycy.

Nasze zasady i normy społeczne, nasze prawo ukierunkowane są na to, by jak najbardziej ten brak bezstronności okiełznać. Spisujemy umowy, a jak się pokłócimy, to idziemy do sądu i ten sąd ten konflikt rozwiązuje. Sąd, który też nie jest perfekcyjnie bezstronny.

Tu też modele językowe mogą zmieniać nam świat. Bo zamiast przechodzić przez drogi proces sądowy, zwracać głowę urzędnikom – moglibyśmy umówić się, że w konfliktowej sytuacji każdy z nas opisze swój punkt widzenia i damy to modelowi językowemu.

Model ten zada nam kilka pytań, a potem wyda wyrok. Może się okazać, że będzie nam dużo łatwiej zaakceptować taki arbitraż sztucznej inteligencji, niż człowieka. I jeżeli wydaje się to wam szalone, zwróćcie uwagę, że prawo jest algorytmem i właśnie do tego służy – a wszyscy domagamy się, by żaden człowiek nie stał ponad prawem.

To jeszcze cię zapytam, do czego nigdy nie wykorzystasz sztucznej inteligencji? Albo może tylko myślisz, że nie wykorzystasz?

– Inteligencja – sztuczna czy prawdziwa – jest największą siłą we Wszechświecie, więc trudno sobie wyobrazić, do czego być może jej się nie wykorzysta. Od razu przychodzą mi do głowy takie rzeczy jak bliskość, intymność, którą oczywiście wydaje nam się, że można mieć tylko z drugim człowiekiem... Ale przecież i kota, i psa dobrze jest przytulić. I ludziom, nie tylko samotnym, takie zwierzę pomaga. Kiedyś wydawało nam się, że maszyna nam nie pomoże w nauce, a przecież teraz świetnie się w tym sprawdza! Spędzamy sobie z taką maszyną czas, grając w gry, czytając książki, ucząc się nowych rzeczy. Maszyna ta nigdy się nie męczy, pamięta wszystko, co kiedykolwiek w życiu zrobiłem, maszyna pozbawiona jest własnych celów, czy frustracji, więc może być skupiona całkowicie na mnie: jak mi doradzić, jak mi pomóc, jak mnie pocieszyć...

Maszyna ta ma też więcej czasu i cierpliwości niż moja żona.

Więc nawet jeżeli wydaje mi się – jako badaczowi AI – że maszyna nigdy w intymnych interakcjach nie zastąpi nam ludzi, to muszę się uszczypnąć i przypomnieć sobie, że większość z moich dzisiejszych interakcji z maszyną – od smartfona zaczynając, a na Google’u i sztucznej inteligencji kończąc – wydawałaby mi się kilka lat temu totalną fikcją. ●



FOT. ADRIAN GRZYCUK/CC BY-SA 3.0

prof. Michał Kosiński

• psycholog społeczny i data scientist zajmujący się badaniem ludzi poprzez pozostawiane przez nich cyfrowe ślady. Profesor Uniwersytetu Stanforda]. Jeden z czołowych specjalistów w dziedzinie psychometrii].
• Prof. Michał Kosiński będzie gościem Festiwalu Sektor 3.0. który odbędzie się 22 – 23 maja. Hasłem przewodnim festiwalu jest WORK SMARTER – czyli jak możemy pracować mądrzej i wydajniej ze wsparciem sztucznej inteligencji. Bezpłatne zapisy na www.Festiwalu.

N A S Z A E U R O P A

– Nasze dzieci uzależniają się od tego, co tworzą firmy technologiczne, ale firmy te nie mają motywacji do ich ochrony; wręcz przeciwnie, mają tendencję do ich wykorzystywania. Dzieci nie są ich klientami, stają się ich produktem – mówi znany amerykański badacz wpływu mediów społecznościowych.

Ana Vidal Egea

EL PAÍS

Najnowsza książka Jonathana Haidta – „The Anxious Generation. Why social networks are causing an epidemic of mental illness among our young people” (Niespokojne pokolenie. Dlaczego media społecznościowe powodują epidemię schorzeń psychicznych wśród młodych ludzi) – wydana w USA w marcu, przez ponad miesiąc okupowała szczyt listy bestsellerów „The New York Timesa”.

Haidt, który ukończył filozofię na Uniwersytecie Yale i doktoryzował się z psychologii na Uniwersytecie Penn, został uznany za jednego z 50 najważniejszych myślicieli na świecie przez prestiżowy brytyjski magazyn polityczny Prospect, a także za jedną ze 100 najbardziej wpływowych osób w etyce biznesu, według Ethisphere, globalnej organizacji zajmującej się promowaniem etycznych praktyk.

Spotykamy się na Uniwersytecie Nowojorskim, gdzie od 11 lat wyklada „etyczne przywództwo”. Haidt popiera tezy ze swojej książki danymi, m.in. z US National Survey on Drug Use and Health, które wskazują, że od 2010 r. dający się zbadać poziom lęku u dorastających chłopców wzrósł o 160 proc., a u dziewcząt o 145 proc. Według Haidta mamy już do czynienia z epidemią zdrowia psychicznego, za którą odpowiedzialne są zarówno firmy technologiczne, jak i rządy.

...

Przystępował pan do swoich badań podejrzewając, jakie są konsekwencje nadmiernej ekspozycji na działanie social mediów dla młodych ludzi?

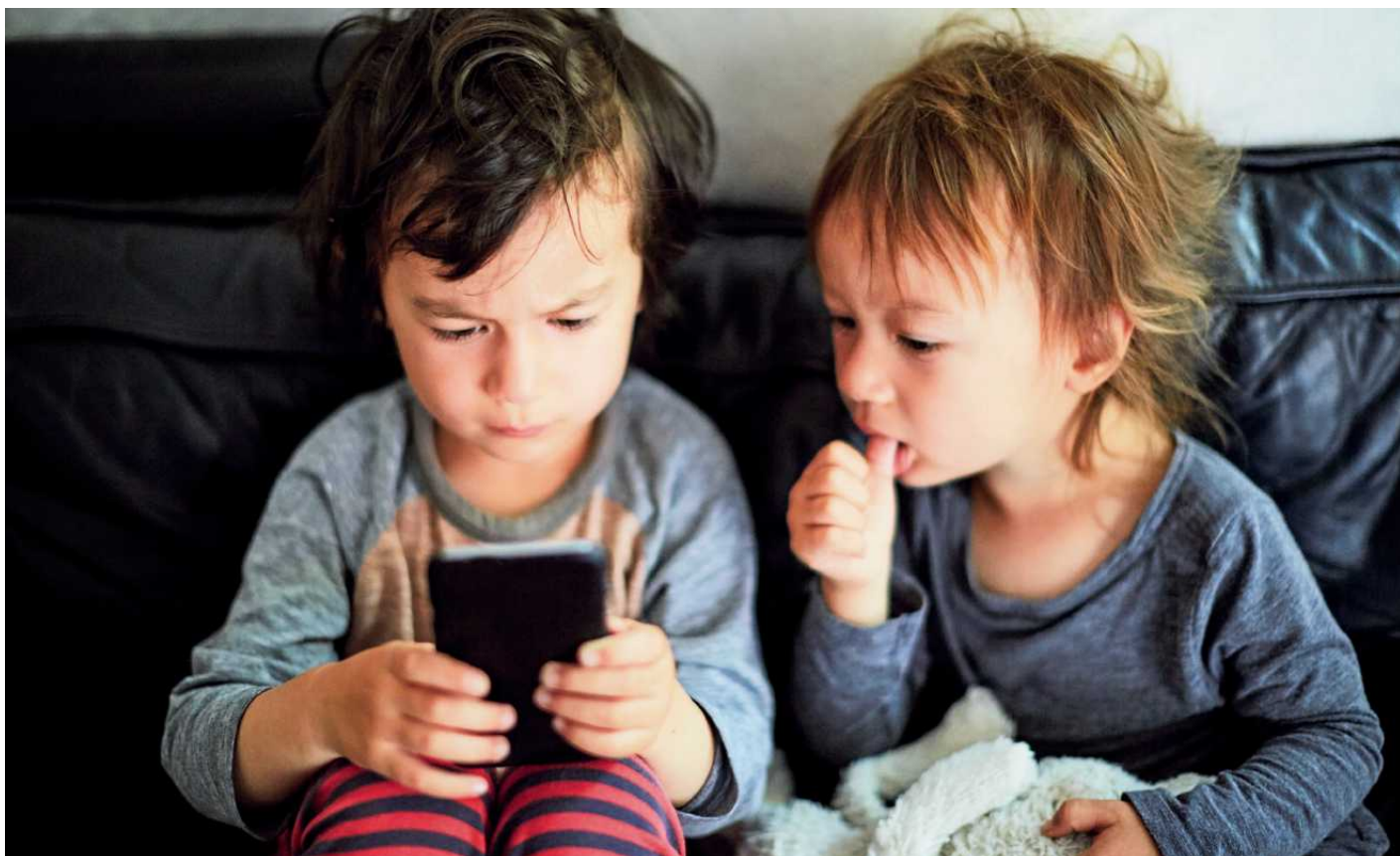
– Zaczniemy od tego, że nie tylko z moich badań wynika, iż jest to zjawisko, które dotyka populację zdecydowanej większości krajów rozwiniętych. Interesujące było jednak odkrycie, że depresja i stany lękowe dotyczą większego odsetka dzieci i młodych ludzi pochodzących z rodzin świeckich i liberalnych. Te dzieci, które dorastają w społecznościach bardziej religijnych lub w tradycyjnych strukturach lokalnych i rodzinnych, wydają się być bardziej chronione przed negatywnym wpływem nowych mediów.

Ale korelacja nie oznacza jeszcze związku przyczynowego. Sceptycy twierdzą, że nadal brak naukowych dowodów na to, że to sieci społeczne powodują problemy psychiczne.

– Ależ istnieje mnóstwo dowodów. W mojej książce wymieniam dziesiątki badań, które ukazują w spójny sposób, że osób często korzystających z sieci społecznościowych dotyczy znacznie wyższe ryzyko chorób psychicznych niż innych. Np. duże badanie przeprowadzone w 2018 r. na 14-latkach wykazało, że dziewczęta, któ-

Jonathan Haidt, psycholog społeczny:

NIKT SAM NIE ZREZYGNUJE Z NAJCENNNIEJSZEGO TARGETU: DZIECI



FOT. GETTY IMAGES

re spędzają pięć lub więcej godzin dziennie w sieciach społecznościowych, są trzy razy bardziej narażone na depresję niż nastolatki, które prawie ich nie używają.

Mark Zuckerberg, szef Meta, nadal zaprzecza tym dowodom. Pan rozmawiał z nim o osobiście – czy po tych spotkaniach zaszły jakieś pozytywne zmiany?

– Wiele dzieci zaczyna korzystać z Instagrama – który ze względu na swoją strukturę jest dla nich bardzo niebezpieczną platformą – w wieku 11 lat, czyli w okresie maksymalnej podatności na zagrożenia. Dlatego w 2019 i 2020 r. spotkałem się parokrotnie z Zuckerbergiem, aby omówić sposoby kontrolowania dostępu dzieci do sieci społecznościowych. Nie mogę jednak powiedzieć, że od tego czasu zauważyłem jakieś znaczące zmiany. Wprowadzili kilka kosmetycznych modyfikacji, ale przecież żadna firma technologiczna nie chce stracić swojego najcenniejszego celu, czyli nastolatków, na rzecz konkurencji.

Zuckerberg sam ma dzieci – czy sądzi pan, że jest w stanie uchronić je przed tym, co sam stworzył w swoim imperium?

– Absolutnie nie. Ale wiem, że wielu technokratycznych menedżerów firm z Doliny Krzemowej zdaje sobie sprawę z konsekwencji technologii, które sami oferują, i trzyma swoje dzieci z dala od nich. Często wysyłają je np. do szkół modelu waldorfskiego, gdzie używanie telefonów i komputerów jest po prostu zabronione.

Wskazuje pan w książce bezpośrednio na firmę Meta jako współodpowiedzialną za wzrost liczby samobójstw nastolatków. Czy jednak to nie rodzice są bardziej odpowiedzialni?

– Myślę, że jeśli jakieś zjawisko występuje w większej części świata w tym samym czasie, nie można po prostu winić rodziców. Sieci społecznościowe są bardziej uzależniające niż tytoń i heroina, ponieważ ich używanie jest wprost narzucane społecznie od najmłodszych lat.

Według pana ten proces jeszcze się pogłębia i może być jeszcze gorzej?

– Jeśli nie zaczniemy pilnie działać, nawet już poważna sytuacja z pewnością może się pogorszyć. Obecnie mamy w USA 40 proc. dzieci i nastolatków z różnymi formami objawów depresyjnych. A przecież część pokolenia Z sama zaczyna mieć dzieci i będąc pierwszą generacją, której życie oparte jest na smartfonie (a nie na, powiedzmy, grach komputerowych), będzie im trudno wychować je w zdrowszy sposób.

Ale sam pan zauważa, że jeśli rodzice zabraniają dzieciom korzystania z sieci społecznościowych, ryzykują, że stanie się ono społecznie wyalienowane, co także może prowadzić do problemów psychicznych. Jest z tego jakieś wyjście?

– Jest, jeśli będziemy działać świadomie i wspólnie. Zawsze zalecam prosty sposób: aby rodzice porozumiewali się z kilkoma rodzinami przyjaciół swoich dzieci i działali jako konsekwentna grupa. „The Guardian” pisał zresztą niedawno o tym jako rodzącym się ruchu w Anglii. Doprowadziło to już nawet do działań rządu: w lutym oficjalnie zakazano używania telefonów komórkowych w brytyjskich szkołach. Ludzie, niezależnie od światopoglądu, zaczynają mieć dość sieci społecznościowych i szukają wyjścia z toksycznej sytuacji. Nawet same dzieci szukają pomocy, aby wyjść z uzależnienia, ale nie mogą tego zrobić same.

Z pana badań wynika, że sieci społecznościowe mają szczególnie mocny wpływ na dziewczęta – dlaczego?

– Po pierwsze częściej z nich korzystają. Z drugiej strony istnieją pewne różnice w tym, jak chłopcy i dziewczęta wchodzi w interakcje społeczne: generalnie chłopcy mają tendencję do angażowania się w działania grupowe, podczas gdy dziewczęta preferują bardziej intymne, skoncentrowane na drugiej osobie rozmowy. W tym sensie sieci społecznościowe zapewniają im dostęp do takiego typu informacji, które mogą wykorzystać do obszer-nych rozmów o innych ludziach.

Wyniki badań pokazują, że wielka zmiana zaczęła się ok. roku 2010. Co się wtedy stało?

– Na początku sieci społecznościowe były faktycznie zorientowane na łączenie ludzi, ale od 2009 r. zmieniły swoje założenia i skupiły się na wydajności. To właśnie wtedy Facebook wprowadził polubienia, a Twitter retweety. Wprowadzono również obrotową kamerę, która rozpoczęła erę selfie. Teraz nagradza się tworzenie chwytających uwagę treści, istnieje potężna presja na dorównanie narzuconym kanonom piękna, a zarazem istnieje wielka tolerancja na zwykłe okrucieństwo, piętnowanie, pastwienie się. A to wywołuje niepokój i depresję w prawie wszystkich społeczeństwach krajów rozwiniętych.

Są jeszcze inne konsekwencje?

– Owszem, znamy je wszyscy: kłopoty z koncentracją, rozproszenie uwagi, uzależnienie, spadek umiejętności społecznych. Sieci społecznościowe nie są neutralne dla naszego zdrowia.

Ponadto rodzice boją się, że ich dzieci mogą mieć kontakt z niebezpiecznymi nieznajomymi.

NASZA EUROPA

mymi lub narażać się na niepożądane sytuacje na ulicy, więc oferują im smartfon, który ma zastąpić kontakty w realu. Tymczasem te same niepożądane osoby i sytuacje znajdują się w internecie, i to w obfitości.

A influencerzy, którzy wykorzystują własne dzieci w sieciach społecznościowych jako źródło dochodu?

– Zdobywając garść polubień, narażają swoje dzieci na sytuacje, które niejednokrotnie zawstydzą je na całe życie, tworząc trwałe cyfrowy ślad na ich psychice. To jeden z wymiarów deprawacji, jaką sieci społecznościowe generują w ludziach.

Nie sądzę, aby istniała potrzeba regulacji w celu kontrolowania postów dla dorosłych, ale musimy jasno powiedzieć, że dzieci różnią się od dorosłych. Potrzebują ochrony. Nasze dzieci uzależniają się od tego, co tworzą firmy technologiczne, ale firmy te nie mają motywacji do ich ochrony; wręcz przeciwnie, mają tendencję do ich wykorzystywania. Dzieci nie są ich klientami, stają się ich produktem. Aby to rozwiązać, potrzebujemy interwencji rządów.

Znaczna część amerykańskiego Senatu popiera ustawę KOSA (Child Online Safety Act), której celem jest ochrona dzieci poprzez cenzurowanie potencjalnie niebezpiecznych treści w internecie. Czy to możliwe rozwiązanie problemu?

– Jest szansa, że ta ustawa wejdzie w życie w tym roku, co zmusiłoby firmy z Doliny Krzemowej do traktowania dzieci inaczej niż dorosłych. Nie tylko chroniąc je przed niektórymi treściami, ale uniemożliwiając każdemu dziecku poniżej 13. roku życia dostęp do sieci społecznościowych poprzez wdrożenie skutecznego systemu weryfikacji wieku użytkowników.

A co mogą robić rodzice?

– Moja książka jest pełna sugestii, ale myślę, że są cztery kluczowe: nie zezwalać dzieciom na korzystanie ze smartfonów przed ukończeniem szkoły średniej, a na dostęp do portali społecznościowych przed ukończeniem 16. roku życia. Niech uczą się w szkołach, w których telefony nie są dozwolone i zarazem niech bawią się bardziej niezależnie, bez stałego nadzoru.

W związku z tym ostatnim punktem, w 2017 r. współzałożył pan organizację pozarządową Let Grow, aby promować „niezależność dzieci”.

– W ramach tego projektu oferujemy pomysły pomagające dzieciom stać się bardziej niezależnymi, ponieważ uważamy, że są obecnie wychowywane w sposób nadopiekuńczy. Tymczasem ośmiolatek może samodzielnie chodzić do szkoły, a jedenastolatek jest już w stanie zaopiekować się innym dzieckiem. Idealem byłoby, gdyby całe szkoły dołączały do tego projektu, aby było to działanie zbiorowe – tylko wtedy rodzice będą mogli pozbyć się choć części strachu o swoje dzieci.

Marzę o sytuacji, w której całe otoczenie, w którym mieszkają dzieci, zaczyna normalizować ich samodzielne wykonywanie różnych zadań codziennych. Należy pamiętać, że dziś w niektórych stanach Ameryki rodzice mogą zostać zgłoszeni na policję, jeśli dziecko bawi się samo na podwórku. Ale pozwalanie dzieciom na samodzielne działanie nie jest zaniedbaniem. Natomiast pokazanie dzieciom, co mogą samodzielnie osiągać, buduje ich pewność siebie, co czyni je z czasem szczęśliwszymi dorosłymi.

To nie są blahe kwestie, to dotyczy przyszłości naszego porządku społecznego. W USA, na całym Zachodzie, maleje zaufanie do instytucji i ludzi do siebie nawzajem – a to sprawia, że maleje także nasza zdolność do zarządzania samymi sobą. Jeśli coś się wkrótce nie zmieni, będziemy świadkami większego chaosu, większej liczby kwestionowanych wyników wyborów i większej przemocy politycznej. ●

tłum. Łukasz Grzymisławski

Kulisy sukcesów chińskiego wywiadu

Europa zaczęła sobie uświadamiać, że nie tylko w Ameryce działają chińscy szpiegzy. Tropy prowadzą do środowisk skrajnie prawicowych.

Robert Stefanicki

Być może w tłumie nigdy go nie zauważyłeś. Zmienia tożsamość i miejsce pobytu” – mówi narrator na tle złowrogiej muzyki. „Oni są wszędzie, przebiegli i podstępni. Mogą pojawić się właśnie tu, w naszym życiu”. Na ekranie Chińczyk o spojrzeniu gangstera przebiera się za fotografa mody, technika laboratoryjnego, biznesmena, dostawcę jedzenia. Zbiera tajemnice państwowe – ale gdy je przekazuje mocodawcom, zostaje zatrzymany.

Nie jest to ostrzeżenie przed szpiegami z Chin, lecz film propagandowy stworzony przez chińskie Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego (MBP). Ma uświadomić Chińczykom zagrożenie zagraniczną infiltracją i zachęcić do informowania o podejrzanej aktywności.

Narodowi, któremu systemowo wpaja się od pokoleń konieczność śledzenia sąsiadów i donoszenia, nie trzeba dwa razy powtarzać. W mediach społecznościowych influencerzy pośpieszyli z tworzeniem filmików instruktażowych, jak zidentyfikować szpiega. Pewna młoda kobieta zadzwoniła na infolinię MBP, aby zgłosić własnego partnera jako podejrzanego, gdyż odkryła, że nie pamięta on tekstu i melodii hymnu narodowego.

W kwietniowym apelu skierowanym do krajowych agencji wywiadowczych Chen Yixin, minister bezpieczeństwa, powiedział, że trzeba zorganizować „potężną ofensywę specjalnych operacji kontrwywiadowczych”, aby ujawnić i wyeliminować zdrajców.

Skąd to wzmożenie? Najwyraźniej władze pragną umocnić w Chińczykach przekonanie, że żyją w twierdzy obłożonej przez wrogów. Naród winien gromadzić się pod flagą, którą mocno dzierży partia komunistyczna.

Polowanie na szpiegów wpisuje się w politykę Xi Jinpinga ponownego zamykania Chin przed wpływami zewnętrznymi. Dzisiejszy Chińczyk w ogóle nie powinien chcieć wyjeżdżać za granicę, chyba że po to, by realizować tam zadania wyznaczone przez partię.

CIA wyeliminowana z Chin

Natomiast nic nie wskazuje na to, aby Chiny były dziś szczególnie zagrożone przez zagranicznych agentów.

Udało im się wykorzystać okres na początek poprzedniej dekady, gdy Zachód był za-

absorbowany wojną z terroryzmem, do pozbycia się amerykańskiej agentury. W ciągu dwóch lat wylapano wszystkie najcenniejsze kontakty CIA. Nie jest do końca jasne, jak to się stało. Prawdopodobnie MBP włamało się do kanałów komunikacyjnych amerykańskiego wywiadu, w czym być może pomógł kret – Jerry Lee, były oficer CIA zajmujący się Chinami. Po opuszczeniu agencji Lee sprzedał chińskiemu wywiadowi tajemnice (jakie – nie ujawniono), za co został skazany na 19 lat więzienia.

Po tym ciosie wywiad amerykański prawdopodobnie nie odbudował swoich wpływów w Chinach -choć nigdy nie będzie co do tego pewności. Pozostaje śledzenie Chin z satelitów i próby wyciągania danych z cybersieci.

Tymczasem chińscy szpiegzy poczynają sobie coraz śmielej. Według zachodnich urzędników, to właśnie MBP – nazywane przez Amerykanów „FBI i CIA w jednym” – koordynuje ich działalność. Biuro w Szanghaju zajmuje się koordynacją szpiegostwa w USA, biuro w Zhejiangu skupia się na Europie.

W 2021 r. FBI poinformowało, że średnio co 12 godzin wszczynają nowe śledztwo kontrwywiadu dotyczące Chin. W 2023 r. brytyjska parlamentarna komisja ds. wywiadu i bezpieczeństwa poinformowała, że chiński rząd przeniknął do każdego sektora brytyjskiej gospodarki.

Kilka ostatnich doniesień: trzech obywatele Niemiec zostali zatrzymani za próbę sprzedaży Chinom wrażliwej technologii wojskowej. Również w Niemczech aresztowano pod zarzutem szpiegostwa człowieka zatrudnianego przez posła do Parlamentu Europejskiego ze skrajnie prawicowej partii AfD.

Brytyjscy prokuratorzy oskarżyli dwóch mężczyzn, w tym parlamentarnego reaserchera, o szpiegostwo na rzecz Pekinu. W zeszłym tygodniu Londyn ujawnił, że ktoś z Chin włamał się do bazy danych plac brytyjskiej armii.

Cyberwłamań do sieci w USA i ich sojuszników jest tak dużo, że doniesienia o nich już przestały być sensacją. W styczniu dyrektor FBI Christopher Wray ostrzegł, że liczebność chińskich hakerów przewyższa liczebność jego personelu w stosunku „co najmniej 50 do jednego”. Z Chin wyciekły dokumenty dowodzące, że MBP najmuje prywatne firmy, aby wykraść tajemnice z instytucji na całym świecie.

Przypomnijmy dwa największe sukcesy hakerów na usługach Pekinu. W 2013 r. włamało się do amerykańskiego Biura Zarządzania Personalem (OPM), które przechowuje jedno z najbardziej wrażli-

wych danych, uzyskane w procesie wydawania zgód na dostęp do informacji niejawnych. Są tam rzeczy, które ludzie często ukrywają, np. romanse pozamałżeńskie.

A w 2017 r. Chiny włamały się do biura ratingów kredytowych Equifax i wykradły wrażliwe dane dotyczące ok. 150 mln Amerykanów. Chiński wywiad dysponuje więc ogromnym zasobem danych do potencjalnego szantażu.

Trzy priorytety chińskich szpiegów

Jego działalność wykracza poza to, co robią inne agencje wywiadowcze, zwykle dążące do zrozumienia intencji i możliwości zagranicznych przeciwników.

Według ekspertów, szpiegzy z Chin mają trzy główne priorytety. Po pierwsze – gromadzenie informacji na temat wrażliwych branż i szpiegostwo przemysłowe. Kilka lat temu amerykańska Komisja ds. Kradzieży Własności Intelektualnej stwierdziła, że w wyniku chińskiego szpiegostwa gospodarka amerykańska traci „do 600 mld dol. rocznie”.

Drugim zadaniem agentury jest monitorowanie chińskiej diaspory, zwłaszcza grup mniejszościowych. Jednocześnie diaspora jest ważnym narzędziem do osiągania pierwszego celu. Pekin wykorzystuje Chińczyków żyjących w krajach zachodnich do zbierania informacji, niekiedy ich szantażując lub grożąc członkom ich rodzin w Chinach.

Trzecim celem jest kształtowanie trendów politycznych i gospodarczych zgodnie z interesami Chin. Tutaj kluczowe jest pozyskanie agentów wpływu.

W Kanadzie Chiny próbowały wpłynąć na wybory parlamentarne w 2019 i 2021 r. Z opublikowanego na początku maja raportu rządowego wynika, że chińscy agenci mobilizowali diasporę i „potajemnie wykorzystali” kanadyjskich urzędników, aby pomóc faworyzowanemu kandydatom w zdobyciu urzędu.

W Belgii władze wszczęły w styczniu śledztwo w sprawie skrajnie prawicowego polityka Franka Creyelmanna, gdy dziennikarze wykryli, że przez kilka lat działał on jako agent chińskiego wywiadu. Prowadził go jeden z agentów MBP w Europie, Daniel Woo. Namawiał Creyelmanna do wpłynięcia na debatę na takie tematy, jak tłumienie przez Pekin demokracji w Hongkongu lub prześladowania Ujgurów.

Rząd i kontrwywiad Belgii przyznaje, że to czubek góry lodowej. Mówi się, że Woo kontaktował się z innymi skrajnie prawicowymi politykami w różnych krajach. To zresztą ten sam zestaw polityków, który okazuje sympatię Rosji i np. jeździł obserwować fikcyjne referenda w okupowanej Ukrainie.

Dlaczego podatna na wpływy Pekinu jest zwłaszcza skrajna prawica

W USA nie ma takiej zbieżności, bo tam prorosyjska prawica spod znaku Trumpa upatrjuje w Chinach wroga, ale w Europie (nie licząc Wielkiej Brytanii) politycy i działacze, którzy służą Kremlowi, nie widzą nic zdrożnego w służeniu również Pekinowi. Moskwa i Pekin coraz bliżej ze sobą współpracują i narodowym populistom jawią się jako alternatywa wobec „hegemonii USA”.

Ciekawe jest to, że – inaczej niż w XX w. – komunistyczne z nazwy lub pochodzenia mocarstwa budują agenturę przede wszystkim wśród prawicowców – mimo że skrajna lewica też podziela niechęć do Waszyngtonu. Być może prawica jest bardziej podatna na argumenty finansowe. To motyw kluczowy w przypadku Chin; Rosja ma im do zaoferowania jeszcze bliższą ideologiczną, np. wrogość wobec LGBT. Współpraca skrajnej prawicy z Pekinem jest obustronnie oportunistyczna.

– Chiny i Rosja grają według tego samego autorytarne-go schematu: sieją wątpliwości co do demokracji i zdobywają wpływy wśród wszelkich grup, które kwestionują istniejące układy polityczne. Działają powoli, jak kropla drażąca skalę – powiedział „Financial Times” Dan Lomas, adiunkt stosunków międzynarodowych na uniwersytecie Nottingham. – Celem jest pogłębienie podziałów, jakie sami stworzyliśmy.

Chinom nie chodzi tylko o sianie zamętu. Widzą, że w przeciwnieństwie do lewicy skrajna prawica ma szansę zdobyć więcej władzy w Europie i wtedy będzie mogła kreować bardziej przyjazną Chinom politykę. Dlatego w nią inwestują. Xi Jinping daje za przykład swoich kluczowych partnerów europejskich, Węgry Orbana i Serbię Vucicia, które odwiedził w zeszłym tygodniu i które błogosławi wartkim strumieniem inwestycji.

Skala chińskich operacji szpiegowskich w Europie jest potencjalnie ogromna. W 2019 r. służba zagraniczna UE ostrzegła, że w samej Brukseli przebywa około 250 znanych chińskich szpiegów w porównaniu z 200 rosyjskimi. Służbom europejskim pozostaje ich tropić i kontrolować. Zrobienie Chinom tego, co Chiny robią Zachodowi, jest nierealne. Skala inwigilacji społeczeństwa i kontrola nad instytucjami w Chinach jest nieporównywalna, kretowi trudno się tam bezpiecznie wcisnąć. Chińskie przedsiębiorstwa są zobowiązane do współpracy ze służbami wywiadowczymi Chin, gdy tylko zostaną o to poproszone.

Szpiegowanie społeczeństwa zamkniętego jest znacznie trudniejsze niż otwartego. ●

Z PSYCHOLOGIEM SPOŁECZNYM
MICHAŁEM BILEWICZEM* ROZMAWIA
MICHAŁ OLSZEWSKI

MICHAŁ OLSZEWSKI: „T” jak?

MICHAŁ BILEWICZ: Trauma, oczywiście. Zdałem?

Pomyślałem, że zaczniemy od testu abecadła, bo to ważny szczegół w pańskiej najnowszej książce „Traumaland”. Czego możemy dowiedzieć się dzięki niemu o Polakach?

– Test abecadła stosowali chętnie psycholodzy zaraz po drugiej wojnie światowej, szukając odpowiedzi na pytanie o tematy, na jakich skoncentrowane były myśli ówczesnej młodzieży. Badacz podawał literę, badany generował słowa, jakie od niej się zaczynały. Na poznawczym poziomie sprawa wydaje się prosta: mózg podsuwa nam najczęściej używane i najbardziej dostępne kategorie. Dzisiaj wiemy więcej o tzw. dostępności poznawczej, która steruje naszym zachowaniem i sposobem, w jaki interpretujemy rzeczywistość, i zamiast abecadła stosujemy inne, choć dosyć zbliżone metody. Wtedy teoria dopiero się rozwijała.

Na przykład badając dostępność myśli o śmierci, często stosujemy zadanie niedokończonych słów, w których podajemy pierwsze litery, na przykład „śmie...” i zostawiamy miejsce na dokończenie dwóch ostatnich liter. W języku polskim można dokończyć jako „śmierć” albo „śmiech”. Albo „tru...” i zostawiamy miejsce na czwartą literę. Może być „trup” albo „trud”. Ludzie, u których wcześniej wzbudzimy myśli o śmierci, albo są one wysoko dostępne, będą częściej niż pozostali badani wybierać pierwszą opcję.

Jakich słów używają chętnie Polacy?

– Filozof Jacek Kołtan zauważył niezwykłą popularność wyrazu „masakra”. Słowo, które oznacza zbrodnię wielkiej skali, bliską ludobójstwu albo czystce etnicznej, u nas w zdumiewający sposób poszerzyło zakres pojęciowy.

Pączki zdrożały? Masakra.

– Prawda? Masakrycznie dobra pizza. Janusz Korwin-Mikke masakruje lewaka. Tak. I już film wiralowo rozchodzi się po sieci.

Wydało mi się, że to jest słowo wyciągnięte z naszej traumatycznej historii, narzędzie, dzięki któremu interpretujemy świat.

Myślałem, że popularność „masakry” wynika z prostej inflacji znaczeń. Rzeczywistość jest bardzo intensywna, nie wystarczy już powiedzieć, że pączki mocno podrożały.

– Nie ma tu sprzeczności, bo z jakichś przyczyn jednak wybieramy właśnie taki zestaw pojęciowy. Freud przekonywał, że rzadko używamy słów związanych ze śmiercią i erotyką, bo są to dwa społecznie tłumione popędy. Utrzymuję, że w języku polskim słowa z tej pierwszej sfery występują niepokojąco często. Nie słyszałem, żeby użytkownicy innych znanych mi języków tak często mówili o masakrze.

Z pańskiej książki wynika, że Polska jest europejskim, a może i światowym, mistrzem gry w bóle. Prawdziwy z nas lider cierpienia.

– Ja nie stawiam takiej tezy, natomiast nie ulega wątpliwości, że jesteśmy jednym z zawodników w lidze, w której gra sporo zespołów. Te narody mają dramatyczne doświadczenia – wojenne, okupacyjne, kolonialne. Polacy nie są pod tym względem wyjątkowi.

Pojęciem często używanym ostatnio w psychologii jest „chosen trauma”. Celowo nie używam go w ogóle w książce, bo za bardzo, moim zdaniem, subiektywizuje to doświadczenie. Ale warto wziąć je pod uwagę: sugeruje, że niektóre społeczeń-

stwa wybierają sobie traumatyczny moment z historii i na nim budują swoją opowieść narodową. Wydaje mi się na przykład, że nie zdajemy sobie w Polsce sprawy, jak głębokiej traumy doświadczyli Węgrzy w 1956 roku. Ale to nie ta trauma jest ich „wybraną traumą”. Jeśli szukać takiej traumy, wokół której ogniskuje się dziś pamięć zbiorowa Węgrów, to z pewnością jest nią traktat w Trianon, po którym z imperium został ogryzek. Zwykle jednak taka „chosen trauma” to faktycznie najbardziej traumatyczne doświadczenie danego narodu. Zbrodnie, która kształtuje świadomość kolejnych pokoleń.

Dla tożsamości bośniackiej taką traumą będzie zbrodnie w Srebrenicy, dla Izraela

historia Holocaustu. To są ogromne, katastrofalne, traumatyczne doświadczenia, które ciągną za sobą poważne psychologiczne konsekwencje dla całych narodów.

Ale z badań, które pan cytuje, jasno wynika, że na tle innych narodów europejskich Polacy są nadal narodem niesłyszanie traumatyzowanym. Dlatego mówię o Polsce jako liderze cierpienia.

– Skala syndromu stresu pourazowego, czyli PTSD, w polskiej populacji jest bardzo wysoka, zgoda. Ale to nie oznacza, że Polacy są bardziej traumatyzowani niż współcześni Białorusini, Ukraińcy czy Izraelczycy. Co jest natomiast bardzo niepokojące, to fakt, że w Polsce notujemy

wysokie poziomy PTSD rozumianego czysto klinicznie, jako zaburzenie, które pojawia się u żołnierzy wracających z wojny, ocalałych po trzęsieniach ziemi, powodziach, u ofiar przemocy domowej, na przykład bardzo poważnej przemocy seksualnej.

W badaniach zwykle przyjmuje się, że standardowy odsetek osób z PTSD w populacji doświadczającej jakiejś traumy wynosi pomiędzy 5 a 15 proc. Tymczasem w Polsce wskaźnik sięga nawet 40 proc. Nawet wśród tych Polaków, którzy – jak sądzimy – nie doświadczyli jakiejkolwiek traumy, zawsze mamy z dziesięć procent osób z PTSD. Co pokazuje, że mamy w Polsce duży problem.



MÓJ BÓL JEST WIĘKSZY NIŻ TWÓJ

**Czujemy, że byliśmy ofiarami bardziej niż inni, że wycierpieliśmy więcej,
że historia obeszła się z nami wyjątkowo okrutnie**



• Obchody 88. miesięcznicy katastrofy smoleńskiej . 10 sierpnia 2017, Warszawa

FOT. ADAM STĘPIEN / AGENCJA WYBORCZA.PL

W 2019 roku OKO.press zleciło badanie dużej grupy respondentów. 74 proc. badanych uważało, że naród polski cierpiał więcej niż inne narody, a tylko 4 proc. było pewne, że tak nie jest. To są dane miażdżące.

– Często w badaniach, które prowadzimy w Polsce, pojawia się właśnie silne poczucie wiktylizacji narodowej. Czujemy, że byliśmy ofiarami bardziej niż inni, że wycierpieliśmy więcej, że historia obeszła się z nami wyjątkowo okrutnie. I to ma swoje różne negatywne konsekwencje.

Na przykład robiliśmy takie badanie bezpośrednio po katastrofie smoleńskiej, próbując zrozumieć, dlaczego po krótkim okresie polskiej wspólnoty żałobnej, podczas której wyborcy PiS chodzili składać kwiaty przed siedzibą SLD, a wyborcy lewicy przychodzili pod Pałac Prezydencki, Polska rozpadła się na dwa plemiona, które zupełnie nie były w stanie się ze sobą dogadać.

Zwolenników teorii spiskowej było jakieś 30 proc., reszta uznała, że doszło do katastrofy lotniczej. Ten spór, moim zdaniem, był zdeteminowany przeszłością i traumami, które nagle odżyły w umysłach Polaków przekonanych o zamachu. Pytaliśmy wtedy, czy Polacy cierpieli w swojej przeszłości bardziej niż inni i odpowiedź była wyraźnie związana ze spojrzeniem na Smoleńsk. Generalnie ci, którzy odpowiadali: „tak, cierpieliśmy jak nikt inny”, byli przekonani, że doszło do zamachu.

Ponieważ tak straszne wydarzenie po prostu nie może zdarzyć się przypadkowo?

– Tak właśnie. Ale znowu ostrzegam: Polska nie jest wyjątkiem, jeśli chodzi o obecność zwolenników teorii spiskowych. Są wszędzie. Zazwyczaj mają ekstremistyczne poglądy polityczne, lewicowe, albo prawicowe, i zazwyczaj uważają, że za dużymi

wydarzeniami stoją intrygi, mroczne siły, grupy wpływu. Duże wydarzenia domagają się dużych wyjaśnień, a przypadek do takich nie należy. Trudno przecież pogodzić się z faktem, że 96 przedstawicieli polskiej elity zginęło bez sensu.

Rozumiem, ale sam pan podkreśla, że Polska należy do krajów, gdzie teorie spiskowe mają się wyjątkowo dobrze.

– Nic dziwnego. Należymy do narodów głęboko strauumatyzowanych, a takie narody mają większą skłonność do używania wyjaśnień spiskowych. One przecież zaadaptowały się do życia w sytuacji, w której te spiski rzeczywiście istniały. Ktoś faktycznie na nie napadł, obrabował, wymordował, okupował, skolonizował, czasami stosując intrygi, operacje hybrydowe, spiski.

Rosjanie do niedawna konsekwentnie mówili o „specjalnej operacji”, mimo że de facto prowadzili wojnę, wyniszczającą naród ukraiński. To przecież jest również opowieść o kłamstwie, które ma przykryć prawdę. Mówią jedno, tymczasem chcą wymordować Ukraińców. Ktoś, kto jest ofiarą takich działań wojennych, okupacyjnych czy kolonialnych, będzie w taki sposób interpretował świat. I co więcej, będzie to miało racjonalne uzasadnienie. Żeby przetrwać w takich sytuacjach, lepiej nie wierzyć, niż wierzyć.

Niemcy mówili Żydom w gettach, żeby poszli na stację kolejową i ustawili się na rampie, z której zostaną wysłani daleko na wschód, na tereny właśnie wyrwane od Rosjan. Rację mieli ci, którzy zakładali spisek, a nie ci, którzy uwierzyli. Kto przeżył, to inna sprawa.

Zresztą, wszystko, co psychologia ma do powiedzenia na temat człowieka, jest nieadekwatne w obliczu wojny, w sytuacji ekstremalnej, w obliczu ludobójstwa.

Ale u nas nie ma wojny i ludobójstwa.

– Ofiary, którym udało się przeżyć, są zaprogramowane na taki sposób myślenia.

Zastanawiałem się, czy Zelenski, który w 2023 roku sugerował zamach w Smoleńsku, po prostu uprawiał cyniczną grę, obliczoną na poparcie PiS, czy mówił szczerze. I nie wiem do dzisiaj – bardzo wielu Ukraińców jest głęboko przekonanych, że w 2010 roku Rosjanie zbili nam samolot.

– No właśnie. Dla nich jest to tak samo oczywiste jak zestrzelenie samolotu hollenderskiego przez separatystów w Donbasie. To, czego obecnie sami doświadczają, właśnie ma charakter spiskowy. Putin mówi o wyzwaniu rosyjskojęzycznej ludności Ukrainy, a oni widzą morderstwa i gwałty. Rama spiskowa okazuje się najważniejsza do zrozumienia świata i przetrwania. Używają jej nawet wykształceni Ukraińcy – czasem słyszę od nich, że Zelenski jest człowiekiem Moskwy, albo że w jego otoczeniu są agenci Rosji.

Wróćmy do Polski i podstawowego pytania, które musi towarzyszyć lekturze „Traumalandu”: dlaczego Polacy są nadal narodem tak głęboko strauumatyzowanym? Po prawie 75 latach względniego spokoju społecznego, względnej prosperity, pańska opowieść wygląda tym bardziej niejasno.

– Zadajmy sobie pytanie, jak ta prosperita rzeczywiście wyglądała i na ile traumy

wojenne mogły zostać opowiedziane. Żeby zrozumieć specyfikę Polski, trzeba sięgnąć do tego, co wiemy o wychodzeniu z traumy. Z jakichś powodów po strasznym wydarzeniu nie wszyscy cierpią psychicznie. Co determinuje, że mniejszość zapada na PTSD, a większość pozostaje zdrowa? Kluczowy wydaje się poziom społecznego uznania dla traumy.

Co to oznacza?

– Zdrowi, albo zdrowsi, są ci, którzy mogą w spokojny sposób opowiedzieć o swoich wojennych doświadczeniach, albo doświadczeniach np. z powodzi, swojej rodzinie, przyjaciółom, w miejscach publicznych. I do tego dostają wsparcie psychologiczne.

A teraz wróćmy do powojennej Polski i jej prosperity. Prawda, bomby nie spadały ludziom na głowy. Ale czy była ona miejscem, gdzie trauma mogła zostać opowiedziana? Z pewnością nie: jedni musieli trzymać głęboko ukryte historie z podziemia niepodległościowego w Polsce. Część szła do więzienia, albo ginęła. Część, żeby funkcjonować na pozór normalnie, musiała odciąć się od przeszłości, wymazać ją. Podobnie do niedawna było z ofiarami przemocy seksualnej na przykład, czy z ofiarami różnych zbrodni wojennych. O tych historiach lepiej było nie mówić. Polacy w doświadczeniu milczenia powojennego są podobni do pierwszego pokolenia ofiar Holokaustu, które trafiło po wojnie do Izraela. Oni też milczeli, choć z innych przyczyn – byli zaangażowani w budowę nowego państwa, służyli w wojsku, budowali kibuce. Ale o tym, co się działo w Polsce czy na Węgrzech, milczeli. I podobnie było z Polakami.

Zagalopowałem się z tą prosperitą.

– Duża część historii wojennych była po prostu nie do opowiedzenia. Nawet pokolenie zetempowców, którzy mieli dziecięce doświadczenie traumy wojennej, skoncentrowało się na czymś innym. To jedna z przyczyn, dla których PTSD w Polsce istnieje na wysokim poziomie. Inna sprawa, że oczywiście wojenne doświadczenie Polaków było kolosalnie inne niż na przykład Holendrów. Mieszkamy na skrwawionych ziemiach, jak to napisał Snyder. To unikalne doświadczenie, nawet w skali całej tragedii drugiej wojny światowej.

Czy w tym, co pan mówi, nie ma sprzeczności? Z jednej strony wskazuje pan, że historia, pamięć, wspomnienia mogą infekować i prowadzić do ciężkiej choroby, również kolejne pokolenia. Z drugiej milczenie o traumie również jest złe. Może to była jedyna terapia? Jak pisał Herbert: „Wyrzuć pamiętki, spal wspomnienia, i w nowy życia strumień wstąp”. Tak właśnie zrobili moi dziadkowie, którzy o wojnie nie mówili nigdy.

– To prawda. Moja babcia napisała historię rodziny od połowy XIX wieku, zaczynając od swojego pradziadka, który był rabinem w Kolomyi i po lekturze poetów romantycznych zsekularyzował się. Cała ta fascynująca historia kończy się w 1939 roku. To, co wydarzyło się potem, było dla niej nie do opisanego, w zasadzie nie mówiła o swoich wojennych doświadczeniach. Myślę, że to jest bardzo powszechne nie tylko w żydowskich rodzinach ale polskich również. Została w Polsce przerwana ciągłość opowie-

ści. Pokolenie powojenne nie chciało obciążać dzieci swoimi doświadczeniami.

Sprzeczność, o którą pan pyta, wynika z faktu, że inne rzeczy muszą się zdarzyć w pierwszym, a inne w trzecim czy czwartym pokoleniu od momentu traumy. Pierwsze pokolenie musi opowiedzieć swoją historię i to w warunkach jak najbardziej sprzyjających. Mój doktorant bada właśnie wpływ traumy wojennej na dzisiejsze funkcjonowanie Polaków. Najniższy poziom transgeneracyjnego PTSD widzimy u potomków ludzi, którzy znaleźli w rodzinach uznanie dla swoich wojennych doświadczeń. Jeśli czuli potrzebę, mogli mówić, nikt nie prosił, żeby przestali zamęczać otoczenie swoimi historiami. Ich potomkowie również mają wyraźnie niższy poziom stresu pourazowego.

Co takiego musiało zdarzyć się, albo nie zdarzyć, że trzecie czy nawet czwarte pokolenie niesie traumę swoich przodków?

– Historie, które zostały wyparte i które nie były opowiedziane, wracają do nas ze zdwojoną siłą. Po 1989 roku, kiedy otworzyły się wrota i nadarzyła możliwość szczerzej rozmowy, społeczeństwo polskie zostało dosłownie zalane martyrologią. Przepelniona jest nią edukacja historyczna, przepelnione jest nią kino, literatura piękna. Cała edukacja humanistyczna opiera się na martyrologii. Nie jestem przeciwnikiem opowieści o trudnej przeszłości, ale jednocześnie uważam, że jest ona nadmiarowa. Katyń, żołnierze wyklęci, powstanie warszawskie, getto, partyzanci, Jedwabne. Trauma dosłownie na nas runęła.

Uważam, że nadmiarowość opowieści o traumie wojennej dzisiaj jest dla Polski destrukcyjna, bo przekazuje kolejnym pokoleniom fundamentalne uczucie niepewności, co wyraźnie wychodzi w badaniach. Nie ufajmy nikomu, nikt nas nie uratuje, jesteśmy sami, możemy znowu zginąć, wszyscy są naszymi wrogami. Stąd biorą się takie zachowania polityczne, jak poparcie dla partii jednocześnie antyniemieckich i antyrosyjskich i dosyć powszechne przekonanie, że są to kraje wrogie, stąd rojenia o autarkii, niezależności, rojenia niebezpieczne, bo zagrażające bezpieczeństwu Polski. Ta głęboka nieufność jest typowa dla traumy.

Wróć na chwilę do Izraela: coraz więcej Izraelczyków zadaje sobie pytanie, dlaczego po 7 października ich państwo nie wzięło na wstrzymanie, dzięki któremu zjednałoby sobie poparcie całego świata.

Pana zdaniem Izrael nie powinien był reagować na zbrodnię Hamasu?

– Nic podobnego. Ale gdyby Izrael zajął się opowiadaniem świata o zamordowanych, zgwałconych, torturowanych przez Hamas ludziach, o porwanych zakładnikach, świat stałby po stronie Izraela. I wtedy byłby moment na operację w Gazie.

Co zrobił Izrael? Błyskawicznie rozpoczął wojnę, w której bombardowane są cywilne budynki i giną cywile, również dzieci. Stracił w ten sposób zrozumienie i współczucie świata. Tyle tylko, że zachowanie Izraelczyków po 7 października jest niezrozumiałe dla tych, którzy nie mają pojęcia, jak funkcjonuje naród strauumatyzowany, czyli taki, który uważa, że ma samych wrogów. Skoro cały świat chce nas unicestwić, albo przyklasnąć naszym

Czytając Rymkiewicza czy słuchając Macierewicza mam wrażenie szczerych odruchów. Dla nich przecież Smoleńsk jest oczywistym elementem w łańcuchu polskich zdarzeń traumatycznych

przeciwnikom, to nie mamy powodu, żeby oglądać się na reakcje innych. Dla mnie opowieść o izraelskiej nieufności do świata łączy się w całość z polską opowieścią o eurokolchozie, który chce nas wykorzystać, wyzyskać, upodlić i zostawić na pastwę Niemiec i Rosji.

W jaki sposób odbywa się infekowanie traumą? Przez geny czy przez, szukam odpowiedniego wyrażenia, indukcję? W jaki sposób milczenie mojej babki ma związek z moim PTSD?

– Jeśli chodzi o geny, jestem sceptyczny. Na razie udało się pokazać dziedziczenie traumy na muszkach owocówkach, do ludzi daleka droga. Natomiast dobrze opisany jest fenomen międzypokoleniowego transferu traumy, jako doświadczenia rodzinnego. Na przykład w rodzinach strauumatyzowanych funkcjonują bardziej lękowe niż gdzie indziej style wychowawcze. Jeśli matka jest przestraszona, zdenerwowana, to siłą rzeczy musi przenosić zachowania na potomstwo, nawet w sposób nieuświadomiony.

A teraz pomyślmy, co dzieje się, kiedy mamy do czynienia nie z jedną ofiarą wojny, tylko tysiącami, albo setkami tysięcy. I to pokolenie wydaje na świat kolejną generację, która może i nie pamięta przyczyn traumy, a mimo to będzie nosić w sobie większą psychologiczną wrażliwość. I kiedy dzieci albo wnuki bezpośrednich świadków traumy doświadczą silnego stresu, zareagują dużo częściej syndromem stresu pourazowego niż rówieśnicy w innych krajach. Świetnie pokazały to badania izraelskie, prowadzone podczas wojny w Libanie. Izraelczycy, których rodzice przeżyli Holokaust, reagowali klinicznym PTSD znacznie częściej niż ci, których rodzice spędzili okres wojny w Związku Radzieckim czy w krajach arabskich.

Powiem jeszcze więcej: żeby wyległa się trauma, nie trzeba nawet uczestniczyć w wojnie. Wystarczy inna, na pozór nie tak żyzna gleba i nieco bardziej subtelny mechanizm. Przekonuje mnie koncepcja traumy historycznej, która pojawia się w psychiatrii i głosi, że mogą nosić w sobie skłonność do stresu pourazowego, nawet jeśli moi dziadkowie nie byli na Majdanku czy na Woli w czasie Powstania Warszawskiego. Istotna jest opowieść kulturowa, którą nasiąkamy i z którą spotykamy się na co dzień. W szkole, w tekstach kultury, tak, jak obecnie we Polsce. Efekty są oczywiste: polski pesymizm, polska kultura narzekania, polska nieufność – to wszystko ma swoje korzenie historyczne.

Prowadziłem wspólnie z Adrianem Wójcikiem i we współpracy z Centrum Żydowskim w Oświęcimiu badania polskiej młodzieży, która odwiedzała Auschwitz – Birkenau. Przepytyaliśmy kilkaset osób. Po odwiedzinach w muzeum kilkanaście procent miało klasyczne objawy PTSD i to było dla nas przerażające, tym bardziej, że dotyczyło młodzieży najbardziej empatycznej, która przejęła się tym, co zobaczyła i u której widzieliśmy zmianę stosunku do Żydów czy Romów na bardziej tolerancyjny.

Może takie reakcje wynikają z indywidualnej wrażliwości, a nie bagażu historycznego?

– Nie mogę tego wykluczyć. Wizyta w Auschwitz – Birkenau jest fundamentalnym doświadczeniem dla młodego człowieka, ponieważ pokazuje granice człowieczeństwa i pełną bezbronność, po której pozostają stopy butów czy warkoczów. Wszyscy chyba chcemy żyć z poczuciem sprawstwa, potrzebą kontroli, wpływu na swój los. W Auschwitz ta wiara zostaje odebrana i to jest bardzo trudne doświadczenie.

Uważa pan, że licealiści nie powinni jeździć do Auschwitz?

– [milczenie] Uważam, że te wizyty bardzo często nie są poprzedzone odpowiednim przygotowaniem ani nie mają kontynuacji. Następują po wizycie w Wieliczce i przed

wizytą na Wawelu i tyle, w związku z czym młodzi ludzie zostają często sami z bardzo niszczącym doświadczeniem.

Jest przykład jeszcze bardziej jaskrawy niż Auschwitz – Birkenau. To opowiadania Borowskiego. Sporo rozmawiam z absolwentami polskich szkół i zwróciłem uwagę, że lektura jego prozy obozowej często wraca jako straszne doświadczenie. Nie każda literatura obozowa taka jest. Książki Imre Kertésza czy Elie Wiesela mają nieco inny charakter. A Borowski pokazuje ludzi, którzy są żywymi trupami, pokazuje przyzwyczajenie, straszne relacje pomiędzy więźniami. Pokazuje ludzi, którzy tracą swoje ludzkie cechy. Dajemy zatem licealistom Borowskiego, ale nie dajemy odpowiedniego wsparcia w interpretacji tej lektury. Nie chcę nawet spekulować, ilu nauczycieli, zmęczonych, sfrustrowanych, jest w stanie jeszcze poradzić sobie z przeprowadzeniem dzieci przez takie piekło i czy w ogóle mają do takiej podróży narzędzia.

Borowski jest tym podglebiem, o którym mówił pan wcześniej? Na nim rośnie polska trauma?

– Również, a na pewno jakiś rodzaj niewiary w człowieczeństwo, nieufności, pesymi-

zmu, życiowego fatalizmu. Zresztą, ile mamy literatury, której autor popelnia samobójstwo. Oczywiście śmierci Borowskiego towarzyszą różne spekulacje, ale teza, że nie udźwignął ciężaru tego, co napisał, wydaje mi się prawdopodobna.

Na synka Elona Muska, który zwiedził muzeum na barkach ojca, ta wizyta podziała? Wdrukuje się w jego wspomnienia?

– Nie mam pojęcia. Zadałbym raczej pytanie, czy to jest wiedza odpowiednia dla ludzi tak młodych. Muzeum Auschwitz na swojej stronie odradza zwiedzanie z małymi dziećmi.

Ale nie zabrania.

– Ta sytuacja była dla mnie kontrowersyjna właśnie dlatego, że nikt z muzeum nie odradził Muskowi wizyty z dzieckiem.

Nie ulega dla mnie natomiast wątpliwości, że młodzież po takim zwiedzaniu wymaga wsparcia. Żeby nie było to doświadczenie, które dla jednych będzie traumą, a w oczach innych zostanie kompletnie zbanalizowane.

Ostatnio badamy różne sposoby dystansowania się osób odwiedzających Auschwitz. W zeszłym roku ze studentami pojechaliśmy do muzeum i prowadziliśmy obserwacje przed krematorium i przed komorą gazową na terenie obozu Auschwitz. Patrzyliśmy, jak zachowują się tam ludzie. Bardzo często zwiedzający wyjmują telefony. To przecież próba odsunięcia się od tego, co obserwuję w tym momencie.

Może chcieli sprawdzić Facebooka?

– W innych częściach obozu nie wyciągali telefonów tak często. Tutaj wyciągali i nie po to, żeby zrobić zdjęcie. Spekuluję: dla mnie to próba zdystansowania się od tego, co właśnie widzę. Bo to jest bardzo trudne chyba do udźwignięcia. Jeżeli idę z jednego baraku do drugiego, z jednego budynku obozowego do drugiego i w końcu wchodzę do komory gazowej.

Albo śmiech. Nieraz w tych strasznych miejscach słychać śmiech. Przewodnicy tłumaczyli, że śmiech często jest próbą chyba złapania emocjonalnej równowagi trochę w tym. Może brzmieć dla nas nieodpowiednio, ale to nieodpowiednie zachowanie ma za zadanie złapanie balansu. Jeśli go nie złapiemy, ryzyko stresu pourazowego jest wysokie.

Jaka jest rola mediów w przenoszeniu traumy? Sporo gorzkich słów kieruje pan do dziennikarzy.

– Pastwię się nad dziennikarzami, próbując zrozumieć, co miało miejsce w Polsce w 2015 roku. To bardzo ważny moment dla historii Polski w ogóle, ponieważ zaczyna się ośmioletni czas rządów Prawa i Sprawiedliwości. Ale nie tylko. W badaniach sondażowych widzimy wówczas ogromne przesunięcie postaw w sprawach takich właśnie etnicznych. W Centrum Badań nad Uprzedzeniami prowadzimy powtarzane badania stosunku Polaków do uchodźców, Romów, Arabów, Żydów. No i wówczas następuje tąpnięcie. Uważam, że przyczyną jest wywołana przez media i polityków panika, związana z kryzysem uchodźczym, którego Polska nie doświadczyła. Emocjonalne poruszenie społeczne

Skala kolektywnego narcyzmu fantastycznie opisuje sposób myślenia Polaków: „Nie spocznę, dopóki mój naród nie spotka się z uznaniem, na które zasługuje”

dotyczyło wówczas problemu urojonego: do Polski trafiła garstka uchodźców z wielkiej fali, a poza tym strach przed relokacją kilku tysięcy cudzoziemców był irracjonalny: Polska przyjęła kilkadziesiąt tysięcy cudzoziemców z Czeczenii, Inguszetii i Dagestanu. I nagle Polaków udało się nastraszyć.

Do antyuchodźczej paniki polityków dołączyły media głównego nurtu. To były pierwsze wybory, kiedy młodzi ludzie nie kierowali się busołą lewicowości czy liberalizmu, tylko sprawdzali, jaki jest stosunek partii do uchodźców. W efekcie do parlamentu weszły trzy partie skrajnie prawicowe: Prawo i Sprawiedliwość, Kukiz i korwiniści. Trzy formacje, które straszyły uchodźcami, straszyły imigrantami, mówiły o wielkim zagrożeniu dla Europy. Te groźby padły na podatny grunt i kosztowały nas osiem lat zapaści.

Weszły, ponieważ strauumatyzowane społeczeństwo łatwiej przestraszyć?

– Raczej wykorzystać pewne mechanizmy, które są w nim mocno obecne. W społeczeństwie takim jak polskie, ludzie bardziej lękowo reagują na różne wydarzenia globalne i nie do końca zrozumiałe, takie jak ruchy migracyjne, traktując je wyłącznie w kategoriach zagrożenia i zupełnie omijając dyskusję o korzyściach.

Zastanawiam się, czy nie przecenia pan roli klasycznych mediów z tamtego okresu, jeśli chodzi o żerowanie na traumie. W 2015 roku media społecznościowe były już świetnie rozwinięte i komentarz wiedział swoje bez naszego udziału.

– Inaczej to pamiętam. Tym bardziej, że byłem wówczas ekspertem w radzie do spraw przeciwdziałania ksenofobii, która działała przy ministrze administracji Michał Bonim i dobrze pamiętam dyskusję o moderowaniu komentarzy w najważniejszych polskich portalach.

„Gazeta Wyborcza” je zamknęła. Pod tekstami o uchodźcach rzeczywiście rozpętało się piekło.

– Moderowanie tych treści było absolutną fikcją. Mieliśmy spotkanie z przedstawicielami największych polskich serwisów internetowych – pamiętam, że przedstawicielka Wirtualnej Polski przekonywała, że u nich problem hejtu nie istnieje. Ja wtedy wyciągnąłem telefon, bo chyba Olga Tokarczuk dostała nagrodę Nike za „Księgi Jakubowe”, zupełnie nieistotna z politycznego punktu widzenia sprawa, i przeczytałem pierwsze kilkanaście komentarzy pod tekstem na WP. Wszystkie łamały artykuł 257 kk.

Moment otrzeźwienia dla polskich mediów nastąpił po śmierci Pawła Adamowicza, kiedy sekcje komentarzy zaczęły powoli znikać z większości cywilizowanych serwisów, albo moderacja zaczęła działać sprawniej. Wydaje mi się, że agresji w komentarzach jest w tej chwili trochę mniej.

Robiliśmy wtedy wspólnie z Fundacją Batorego badania kontaktu z mową nienawiści młodzieży polskiej i dorosłych Polaków, to były duże, reprezentatywne grupy ogólnopolskie. Najpierw w 2014 roku, potem w 2016 roku. Nigdy w życiu nie widziałem tak dużych zmian w jakichkolwiek

sondażach w ciągu dwóch lat. W 2014 roku mniej więcej 50 proc. młodych Polaków mówiło, że widziało jakieś islamofobiczne treści, dwa lata później już 80 proc.

Na dodatek doszło do wyraźnego zachwiania równowagi. Po wypadkach w sylwestrową noc w Kolonii, kiedy grupy mężczyzn napastowały kobiety, wszyscy od razu dowiedzieli się, że sprawcami byli imigranci, choć, jeśli sprawę opowiadać precyzyjnie, za ataki odpowiadali ludzie już urodzeni w Niemczech. Natomiast dziwnym trafem tożsamość ultrapravicowych terrorystów odpowiedzialnych za ataki na synagogi czy centra żydowskie, jak w Pittsburghu czy Halle, nie funkcjonowała w powszechnej świadomości. Media wdrukowały zatem skójarzenie terrorysta – muzułmanin, a jednocześnie skójarzenie terrorysta – ultrapravicowiec nie jest tak powszechne.

Chyba zboczyliśmy w dygresję.

Jeśli uznać, że tragiczna przeszłość w jakimś stopniu warunkuje nasz stosunek do imigrantów, to niekoniecznie. Ale pan dokłada w „Traumalandzie” do opowieści o przyczynach i skutkach traumy dwa składniki, które dają toksyczny koktajl. O podatności na teorie spiskowe trochę powiedzieliśmy, ale jest i literka K. Kolektywny narcyzm.

– Istnieje taki rodzaj wrażliwej tożsamości narodowej, który jest oparty z jednej strony na bardzo dużej niepewności siebie, ale jednocześnie wyraża się w wielkościowych urojeniach na temat narodu i jego nieskazitelnej natury moralnej. Zazwyczaj idzie w parze z bardzo silnym poczuciem niedocenienia zbiorowości. Tak, jak możemy mówić o narcyzmie indywidualnym, tak istnieje narcyzm zbiorowy.

Narcyz ma wysoką samoocenę, ale tak naprawdę jest ona bardzo niepewna i podatna na zranienie, krzywdę. Nie miejsce tu na wykład, ale są ludzie, którzy skrywają głęboko prawdę o sobie, czy może przecucia prawdy. Przypuszczają, że są niekom-

petentni, może niemoralni, ale żeby prze-trwać, muszą udowadniać światu swoją wartość. I co to powoduje? Agresja często jest obroną przed tymi, którzy mogą odsło-nić prawdziwą naturę narcyza.

No tej podstawie Aleksandra Cichocka i Agnieszka Golec de Zavała stworzyły ska-lę kolektywnego narcyzmu: wzięły klasycz-ną skalę kliniczną do badania tego zabu-rzenia i zamiast „ja” wstawiły do niej „mój naród”. Okazało się, że ta skala fantastycz-nie opisuje sposób myślenia Polaków. „Nie spocznę, dopóki mój naród nie spotka się z uznaniem, na które zasługuje”. Bardzo wielu Polaków odnajduje się w tej frazie.

Tylko znowu podkreślam: kolektyw-ny narcyzm pojawia się w różnych kontek-stach w wielu państwach. To nie jest nasza polska specjalność.

Kolektywny narcyzm połączony ze skłonnościami do traumy może budo-wać ujemne sprzężenie zwrotne? Jedno napędza drugie?

– Oczywiście, ponieważ osoby narcystycz-ne są zwykle dużo bardziej uprzedzone, nieufne i dużo częściej reagują agresywnie. Ale odpowiada również za wiarę w teo-rie spiskowe. I prowadzi do różnych para-doksów – kolektywni narcyzi poprą wycin-kę Puszczy Białowieskiej na przykład, mi-mo że jest ona symbolem polskiej wielko-ści. Dlaczego? Bo nie dopuszczają, żeby kto-kolwiek wtrącał się w ich czy nasze sprawy. Zareagują irytacją na unijne przepisy an-tysmogowe, bo niby z jakiej racji Bruksela ma decydować, czym palimy w piecach.

Kolektywny narcyzm jest tak głęboką i niebezpieczną skazą, że może doprowa-dzić do degradacji narodu. Wierzymy, że jesteśmy najlepsi, najwięksi, że świat nas nie docenia. Rosną w nas frustracje i agre-sja. I nie ma, podkreślam, narcyzmu bez tra-umy – ich wspólnym mianownikiem są lepiej czy gorzej skrywane bezradność i po-czucie braku kontroli.

Pojawia się w „Traumalandzie” wyraźny postulat przepisania historii, czyli takiej zmiany proporcji, by treści traumatycz-ne nie dominowały w polskiej kulturze czy programach szkolnych. Przyznaję, że mam tu zasadniczą wątpliwość. Wiem, że brzmi to cynicznie, ale krew i cierpienie zawsze będą atrakcyjniejsze od opowieści o miastach budowanych na prawie magdeburskim, projektach aspiracyjnych i rozwoju mieszczaństwa. – Nawet jeżeli tak jest, pytam, czy mamy in-westować wyłącznie w to, co atrakcyjne. Czy podczas zajęć z fizyki i chemii kieruje-my się wyłącznie fajerwerkami otrzyma-nymi podczas eksperymentu, czy powinni-śmy przekazać jak najbardziej pełnowarto-ściową wiedzę uczniom? Podobnie z histo-rią: koncentrowanie się wyłącznie na tym, co, niech będzie, ekscytujące i trafiające w gusta pokoleń wychowanych w trauma-landzie jest błędem! Pokażmy świat, w któ-rym mieliśmy więcej sprawstwa, na przy-kład historię gospodarczą. Pan przyjmuje klasyczne w Polsce założenie, że ona musi być nudna jak flaki z olejem. Jego efektem jest dominacja historii politycznej, głównie fundowanej na konflikcie.

Mówi pan o tym, co proponuje na przy-kład prof. Rafała Matyja, opisując naro-dziny polskiego mieszczaństwa? – Dobry przykład. Mamy w Polsce długą tradycję takiego myślenia o historii i nie rozumiem, dlaczego ma ona stać w cie-niu. Ale nawet jeżeli mówimy o historiach traumatycznych, to również możemy szu-kać w nich całkowitej bezradności i ofiar, albo możemy jednak doszukiwać się tam jakiegoś sprawstwa. Może tu jest klucz, w jakim powinniśmy pokazywać historię getta warszawskiego? W powszechnym ro-zumieniu tej historii pokazuje się ludzi, którzy pokornie szli na Umschlagplatz, Korczaka, który zginął z dziećmi. Ale jed-nak ci wszyscy ludzie zanim trafili na ten Umschlagplatz robili wiele, żeby jakoś so-bie radzić w sytuacji, w której się znaleź-

li. Był przecież Ringelblum, który w eks-tremalnych warunkach prowadził badania społeczne, organizując cały zespół badaczy wokół siebie, co więcej, zdołał wyniki tych badań ocalić. Albo historia działającego na terenie getta cadyka z Piaseczna. W środku piekła powstaje ruch religijny, który przy-ciąga setki ludzi i niesie otuchę.

I na to wszystko przychodzi cytowany przez pana w książce Jarosław Marek Rymkiewicz, który po 1989 roku wy-łącznie umacniał tęsknotę za wspólnotą budowaną na krwi, hekatombie, wieszaniu. To jeden z ojców naszego trauma-landu.

– Rymkiewicz faktycznie pławi się we krwi i wyciąga z niej esencję polską. Proszę mnie dobrze zrozumieć, ja nie chcę niko-mu odbierać traumy ani jej unieważniać, tym bardziej, że zaprzeczanie też jest w ja-kiś sposób problematyczne.

Postuluję tylko, żeby uzupełnić tę dra-matyczną historię o inne elementy.

Przekonuje pan, że trauma sieje w spo-łeczeństwie spustoszenie. Ale tak nie zawsze być musi. Powstała po 2010 roku cała klasa społeczna, która świetnie umościła się w katastrofie smoleńskiej. Okazuje się, że na Głogocie narodowej można nieźle żyć, można kupić sobie apartamentowiec z widokiem i podjaz-dem.

– Chodzi panu o instytucje czy gazety?

Nie, myślę o tym, co zdarzyło się po 2010 roku, że właściwie byliśmy świadkami narodzin całej grupy społecznej, która przez całe lata i do dzisiaj żyje z opo-wieści już nie tylko o Smoleńsku, tylko o całej tej otoczce męczeńskiej Polski. Politycy, media, wynawcy... – Pan mówi „Golgota” i „męczeństwo”, a ja bym położył nacisk na nieufność, która do-prowadziła do powstania tej grupy. W jej skład wchodzą ludzie głęboko nieufni nie tylko wobec Rosji, ale też wobec świata, Unii Europejskiej, Niemiec. Ufasz Unii – je-steś naiwniakiem.

Albo zdracą polskiej sprawy. To jest wiara, czy polityczny cynizm? – Myślę, że Jarosław Kaczyński głęboko wierzy w teorię zamachu, ale pewnie jest grupa, która dokonała pragmatycznego wyboru i nieźle dzięki niemu żyje. Nie pro-wadziłem oczywiście badań tych ludzi, ale czytając Rymkiewicza czy słuchając Ma-cierewicza mam wrażenie szczerych od-ruchów. Dla nich przecież Smoleńsk jest oczywistym elementem w łańcuchu pol-skich zdarzeń traumatycznych.

A Borowskiego by Pan zostawił, czy wyciąłby go z listy lektur? – Wydaje mi się, że bezpiecznie byłoby czy-tać Borowskiego jednak później, albo żeby to rzeczywiście był wybór bardziej niż coś, co jest częścią kanonu lektur szkolnych. Jest sporo literatury wojennej, któ-ra mogłaby się pojawić w polskiej szkole, a nie jest tak fundamentalnie traumatyzu-jąca. Przeczytałem niedawno reportaż Ka-liny Błażejowskiej „Bezduśni” o tragedii szpitali psychiatrycznych w czasie wojny i nie mam poczucia, żeby był on głębinowo traumatyzujący, mimo że opowiada histo-rię straszną. Są takie teksty, które nie nale-żą do kanonu polskiej literatury, ale poka-zują bardzo ważne doświadczenie w spo-sób przyswajalny i niedewastujący, stawia-jąc na rozumienie bardziej niż na zaszoko-wanie.

„W” jak? – Dobrze. „W” jak wojna.

Byłem przekonany, że powie wyrozu-miałość. Pańska książka pełna jest wyro-zumiałości wobec Polaków, nie gani pan, nie szydzi, nie piętnuje, tylko próbuje zrozumieć, dlaczego jesteśmy tak poka-leczonym społeczeństwem. Zazdroszczę panu spokoju.

– Skoro tak, to dodajmy jeszcze „W” jak współczucie. Tak, postuluję większą wy-rozumiałość dla tych cech, które tak nas w Polsce irytują. Trzeba pogodzić się z tym, że pewnie przez jakiś czas jeszcze inni nie będziemy, że musi minąć parę pokoleń lu-dzi żyjących w relatywnej prospericie, żeby nasze budowane na traumie reakcje wyga-siły się i przeminęły. Na razie spróbujmy je zrozumieć. I przestańmy na nie ciągle narzekać. Jak pan mówił o naszej grze narodowej?

Gra w bóle.

– Bóle, właśnie. Naszą grą są narzekanie i negatywność, typowe dla społeczeństw strauumatyzowanych. Ale to działa na dwóch poziomach: z jednej strony Polak narzeka i trudno z nim wytrzymać, z dru-giej – nieustannie doszukujemy się w Pola-ku ułomności, braku, cierpienia.

Czasami psychologowie są bardzo kry-tykowani za to, że próbują wyjaśniać za-chowania ludobójców, zbrodniarzy i zro-zumieć ich motywację, zamiast po prostu potępić. Myślę, że podobnie może być trak-towany „Traumaland”. Próbuję zrozumieć podstawy, na jakich wyrosły uprzedzenia antyimigranckie, teorie spiskowe o Smo-leńsku, popularność ruchów prawicowych.

A wszystko sprowadza się do szklanki z cierpieniem. – Nawet jeśli, wydaje mi się to lepsze niż ci-skanie ciągle tych samych gromów. ●



FOT. ALBERT ZAWADA / AGENCJA GAZETA

Michał Bilewicz

• (1980) –psycholog społeczny, socjolog, pu-blicysta, profesor nadzwyczajny Uniwersyte-tu Warszawskiego. Kierownik Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW oraz wykładowca na Wydziale Psychologii Uniwersytetu War-szawskiego. Autor m.in. „Mowa nienawiści, mowa pogardy: raport z badania przemocy werbalnej wobec grup mniejszościowych” (praca zbiorowa), „Być gorszymi. O reakcjach na zagrożenie statusu grupy własnej” oraz właśnie wydanej „Traumaland”

wyborcza | magazyn wyborczej

WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl

REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL:
Roman Imielski;

ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński;
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebioda, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Marta Błażejowska

WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11

DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU:
Wojciech Bartkowiak

CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

PRASA WYDAWANA PRZES

WOLNA SOBOTA

WOLNA SOBOTA

REKLAMA

Kraj/34317688

1 RP

eprasa.pl 8b789319cc

Dawne afery i nasze czasy

PRZYSZEDŁ RYWIN
DO MICHIKA
POCZĄTEK ŚWIATA, W JAKIM ŻYJEMY

PiS wziął w 2015 roku pełnię władzę, bo spora część Polaków nigdy nie czuła się w III RP jak u siebie.

Arkadiusz Gruszczyński

Kiedy w lipcu 2002 r. Lew Rywin przyszedł do mojego szefa Adama Michnika z propozycją korupcyjną, miałem 12 lat. I umówmy się: nie byłem zainteresowany polityką, choć z rozmów dorosłych rozumiałem, że w kraju dzieje się coś niecodziennego.

Dla mojego pokolenia, urodzonego po 1989 r., historia sprzed wejścia Polski do Unii Europejskiej jest nieistotna. Albo inaczej: jest kolorowym tłem dla naszego dzieciństwa. Afera Rywina nie jest punktem zwrotnym w zbiorowej biografii pokolenia milenialsów. Choć analiza wydarzeń sprzed ponad 20 lat ujawnia wiele odpowiedzi na pytania, jakie sobie dzisiaj zadajemy, a które dotyczą takich spraw jak prawicowy populizm, kondycja lewicy, rozwój nowych technologii i polaryzacja społeczeństwa.

Prof. Tomasz Nałęcz książce „Afera Rywina. Odsłanianie prawdy” (2023) w brawurowy sposób opowiada o wydarzeniach z 2002 r. Autor przewodniczył pracom pierwszej w historii polskiego parlamentu komisji śledczej, badającej aferę Rywina. Po 20 latach wrócił do sprawy: spędził godziny w bibliotece sejmowej, przeglądając akta. Omawia te dokumenty i opisuje relacje w łonie Sojuszu Lewicy Demokratycznej, który wówczas rządził.

Kiedy czytam wywiady z byłym premierem Leszkiem Millerem czy prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim lub przeglądam archiwalne numery „Wyborczej”, zaskakuje mnie skala władzy, jaką dostała od wyborców w 2001 r. postkomunistyczna lewica. Miller zdobył po czterech latach rządów Akcji Wyborczej Solidarność absolutną władzę polityczną i symboliczną, szef SLD był u szczytu popularności, tak samo jak jego partia, która cieszyła się 40-proc. poparciem.

Lewica miała wszystko: telewizję publiczną, którą kierował Robert Kwiatkowski, instytucje publiczne, wpływ na spółki skarbu państwa czy rozbudowane struktury w regionach. I co najważniejsze: Miller i jego rząd prowadził negocjacje akcesyjne z Unią. To jego podpis widnieje na traktacie włączającym Polskę do struktur unijnych. Miller był nazywany kanclerzem, mówiło się, że będzie rządził przez najbliższe 15 lat.

Co istotne, po wyborach w 2001 r. prawica i liberalowie byli rozbici. Na gruzach AWS-u powstały dwie nowe partie, Platforma Obywatelska oraz Prawo i Sprawiedliwość, które zbudowały narrację na krytyce SLD i Leszka Millera. Donald Tusk i Jarosław Kaczyński mówili o budowie IV RP, co oczywiście stało w kontrze do dokonań postkomunistycznej lewicy i konserwatystów z AWS-u.

Jednak zapowiedzi zmian nie współgrały z oczekiwaniami społecznymi z 2001 r.: wyborcy oddali władzę lewicy, która była partią kontynuacji najważniejszych kierunków polityki międzynarodowej III RP. Miała też uporządkować kraj po reformach rządu Jerzego Buzka, który sprywatyzował systemy emerytalny i opieki zdrowotnej.

Na marginesie: każda ekipa, która stawiała na rozwiązanie wolnorynkowe, koniec końców w imponujący sposób traciła władzę. Tak było z AWS-em, SLD, a potem z PO w 2015 r.

SLD nie miało jednak wpływu na prywatne media. Przez ponad dziesięć lat wolnej Polski postkomuniści nie stworzyli własnego koncernu medialnego, nie mieli ani gazety, ani prywatnej telewizji. Stwierdzili więc, że ograniczą rolę największej firmy na polskim rynku medialnym oraz wzmocnią media publiczne.

Chodziło o Agorę, wydawcę „Wyborczej”, która prowadziła negocjacje związane z zakupem telewizji Polsat. W Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji oraz w Ministerstwie Kultury powstała koncepcja takiej zmiany prawa, by uniemożliwić koncentrację ogólnopolskich telewizji i gazety w ramach jednej firmy.

W tym momencie na scenę wchodzi Lew Rywin, który w imieniu „grupy trzymającej władzę” kontaktuje się z zarządem Agory. Przedstawia propozycję zmian legislacyjnych, które umożliwiłyby spółce zakup telewizji Polsat. W zamian żąda 17,5 mln dolarów łapówki. Tę samą propozycję powtarza Adamowi Michnikowi, który nagrywa rozmowę, a po pół roku dziennikarskiego śledztwa publikuje ją w „Wyborczej” (27 grudnia 2002).

Komisja śledcza, którą kierował Nałęcz, badała, kto wysłał Rywina do Agory, w jaki sposób przebiegały prace nad zmianą prawa, czy SLD chciało ograniczyć działalność największego koncernu medialnego w Polsce i czy o sprawie wiedział premier Miller.

Prof. Nałęcz precyzyjnie odpowiada na te wszystkie pytania. Główne wnioski układają się w historię jak z sensacyjnego serialu. „Wyborcza” jest największym tytułem prasowym w kraju. Jej dziennikarze ujawniają największe afery z udziałem rządzących, krytycznie opisują polityków, mówiąc inaczej: jest niezależnym medium z prawdziwego zdarzenia. Gazeta kreuje rzeczywistość społeczną, kulturalną i gospodarczą, opowiada o wykluczonych i o wolnym rynku, omawia premiery teatralne i książki. Jest niebezpieczna dla rządzących.

Rząd SLD postanawia więc ograniczyć wpływy „Wyborczej”. Zapisy ustawy o radiofonii i telewizji są wymierzone wprost w Agorę. Sytuacja wymyka się jednak spod kontroli, cały demokratyczny świat sprzeciwia się ograniczaniu wolności słowa i swobodnej przedsiębiorczości, rząd wycofuje się z propozycji, a Miller robi krok w tył.

O sprawie nie dowiadują się jednak sami zainteresowani, którzy są konsekwentnie okłamywani i manipulowani przez rzą-

SLD zamroziło podwyżki dla nauczycieli, zmniejszyło budżet pomocy społecznej, zlikwidowało Fundusz Alimentacyjny. A wyborcy zagłosowali na SLD, bo chcieli państwa opiekuńczego, a nie neoliberalizmu na sterydach



FOT. JACEK GAWŁOWSKI

dżących. Według Nałęcza w tym momencie Włodzimierz Czarzasty z KRRiT, Aleksandra Jakubowska z Ministerstwa Kultury i Robert Kwiatkowski z TVP wysyłają Rywina z propozycją korupcyjną.

W serialu „Afera Rywina” głównymi postaciami są więc znany producent filmowy, była prezenterka „Dziennika Telewizyjnego” TVP, prezes tej telewizji, szara eminencja lewicowej partii oraz redaktor naczelny największej gazety w kraju. W scenariuszu widać jednak od samego początku puste pola.

Komisja śledcza opublikowała kilka sprzecznych raportów. Sejm zgodził się z interpretacją posła Zbigniewa Ziobry, który przekonywał, że o misji Rywina wiedzieli zarówno Miller, jak i Kwaśniewski. Sąd skazał wyłącznie Rywina i Jakubowską, choć przywołane przez Nałęcza billingi rozmów są mocnym obciążeniem dla osób zamieszanych w sprawę. Jednak ani komisja śledcza, ani prokuratura nie znalazły dowodów, że „grupę trzymającą władzę” stanowili Czarzasty, Jakubowska i Kwiatkowski.

Nałęcz dowodzi, że Miller nie wiedział o korupcyjnej działalności Rywina. Nie zdawał sobie również sprawy z gry Jakubowskiej, która nie przekazywała prawdziwych i pełnych informacji Agorze. Kwaśniewski miał się o sprawie dowiedzieć po fakcie.

Nie mam jednak wątpliwości, że Miller i Kwaśniewski odpowiadają za narrację o aferze Rywina oraz za spektakularny upadek SLD, które w ciągu trzech lat straciło 75 proc. wyborców. Część publicystów uważa, że zgoda na działalność komisji śledczej była największym błędem Millera.

Cóż, chyba większym było tolerowanie w partii działaczy, którzy chcieli uwłaszczyć się na władzy. Zabrakło też determinacji w oczyszczeniu SLD z korupcji, co pokazały kolejne afery. Jeśli afera Rywina nie zostałaby opisana przez „Wyborczą”, to rząd Millera zatopiłaby afera starachowicka. Świetnie poinformowany Jerzy Urban pisał na kilka miesięcy przed naszym śledztwem o aferach, o jakich wiedziało kierownictwo SLD. I o bezczynności Millera.

Początek afery Rywina to koniec SLD i początek politycznego świata, w jakim żyjemy do dzisiaj. W komisji śledczej pracowali zdolni posłowie z Krakowa reprezentujący PO i PiS. Jan Maria Rokita i Zbigniew Ziobro wyrastali na gwiazdy Sejmu, byli liderami rankingów zaufania, jeden był typowany na premiera, a drugi na ministra sprawiedliwości.

Co ciekawe, obie opozycyjne wtedy partie łączyło prawie wszystko: od stosunku do rozbudowanego, lecz niemrawego państwa aż po akcenty w polityce historycznej. To wówczas powstał koncept wspólnych rządów PO i PiS-u. Aż do 2005 r. mało kto zdawał sobie sprawę z destrukcyjnego sposobu uprawiania polityki przez Kaczyńskiego.

Fakty są jednak jednoznaczne: afera Rywina mocno osłabiła SLD, naruszyła zaufanie do polityków w rodza ju Millera, a jego miejsce zajęli Tusk i Kaczyński. Spektakl z ich udziałem obserwujemy od blisko 20 lat, z czego aż przez dziesięć główne role grał fanatyczny, prawicowy populizm.

Czy bez korupcyjnej propozycji Rywina antydemokratyczna partia zyskałaby na znaczeniu? Tak, bo populiści nie tylko krytykowali elity, ale odwoływali się do grup wykluczonych ekonomicznie, zajmując tym samym tradycyjne miejsce lewicy. Z tą różnicą, że populistyczna prawica proponowała destrukcyjne rozwiązania, niszczyła system sprawiedliwości, prywatyzowała kolejne sfery życia publicznego i uprawiała politykę nienawiści wobec mniejszości.

PiS wziął w 2015 r. pełnię władzę nie z winy Rywina. Populiści wygrali, bo spora część społeczeństwa nigdy nie czuła się w III RP jak u siebie w domu.

Do 2005 r. polityka rządziła się w Polsce jasnym podziałem: po jednej stronie sta-

li postkomuniści, po drugiej – partie post-solidarnościowe. Trzecią Drogą była Samoobrona, a Konfederacją – Liga Polskich Rodzin. Kiedy SLD straciło wszystko, co miało, nowa oś polaryzacji powstała wokół Platformy i PiS.

Na samym początku nowy podział wydawał się absurdalny, po ostatnich ośmiu latach rządów Kaczyńskiego wiemy, że miał sens. Tusk i Kaczyński reprezentują odmienne systemy wartości politycznych, mają inny stosunek do instytucji oraz do wolności osobistej jednostek.

Czy dziedzictwem afery Rywina jest więc niszczący konflikt między Tuskiem i Kaczyńskim? I tak, i nie. Wyobrażam sobie, że SLD słabłoby po kolejnych, mniej spektakularnych aferach, jego miejsce zajęłaby liberalna Platforma, która prowadziłaby spór z ugrupowaniem Millera. Gdyby SLD upadło – co nie jest trudne do wyobrażenia, szczególnie ze względu na neoliberalne reformy Millera – spór polityczny wyglądałby tak samo jak dzisiaj.

No właśnie, a może SLD przegrało wybory i do dzisiaj nie odzyskało dawnej wielkości z powodu polityki rządów Millera i Marka Belki? To ci politycy nie chcieli zliberalizować prawa aborcyjnego, nie zdecydowali się też wprowadzić związków partnerskich, mimo że w Sejmie pracowano nad podobnymi rozwiązaniami.

SLD znacząco ograniczyło finansowanie barów mlecznych, zmniejszyło koszty utrzymania etatów, prywatyzowało kolejne zakłady pracy, zamroziło podwyżki dla nauczycieli, obniżyło płace urzędników, zmniejszyło budżet pomocy społecznej, 50-proc. ulgę na bilety kolejowe zmniejszyło do 37 proc., zlikwidowało Fundusz Alimentacyjny. Miller zapowiadał likwidację zasiłków chorobowych czy waloryzacji emerytur. Wyborcy zagłosowali na SLD, bo chcieli państwa opiekuńczego, a nie neoliberalizmu na sterdach.

Można zaryzykować tezę, że ludzie odwrócili się od Millera nie ze względu na skalę afer, tylko ze względu na składanie obietnic bez pokrycia.

Ale też ujawnienie afery Rywina zbiegło się w czasie z powstaniem całodobowej stacji informacyjnej TVN 24, która transmitowała obrady komisji. Mniej więcej w tym samym czasie ukazał się pierwszy numer tabloidu „Fakt”. Jedno i drugie wydarzenie z historii polskich mediów zapowiadało głębokie przeobrażenia całej rzeczywistości medialnej. Dostarczanie informacji przez całą dobę jest domeną mediów społecznościowych, tak samo jak prezentowanie zbanalizowanego obrazu świata.

Postawa prof. Tomasza Nałęcza – państwowca, który potrafił postawić na pierwszym miejscu losy kraju, a nie partii – jest dzisiaj czymś rzadkim w polityce. Mam wrażenie, że od 20 lat w Sejmie zasiadają osoby skupione na doraźnym interesie. Żadna partia nie jest w stanie konsekwentnie przeprowadzić istotnych reform, politycy skupiają się na lansowaniu samych siebie w mediach społecznościowych i w całodobowych telewizjach informacyjnych. Polityka stała się grą, a nie sferą rozwiązywania problemów.

A przecież spraw do rozwiązania tu i teraz jest nadal dosyć sporo. Polityka mieszkaniowa z prawdziwego zdarzenia po prostu nie istnieje, moje pokolenie jest skazane albo na kredyty hipoteczne, albo na wynajmowanie drogich mieszkań. Opieka zdrowotna jest skrajnie niedofinansowana, pomoc społeczna reaguje punktowo na problemy najuboższych Polaków i Polek, studenci coraz częściej stają przed dramatycznym wyborem: studia w dużym mieście za cenę wyrzeceń lub wybór mniejszego ośrodka akademickiego, ale ze spinającym się budżetem.

I jeszcze jedno: afery z czasów rządów PiS-u przykryły swą skalą i wyrachowaniem sprawę Rywina. Ale to zupełnie inna opowieść. ●

Czy arcybiskup się boi

Katolicki publicysta ma długą listę ciężkich zaniedbań świeżo wybranego przewodniczącego Episkopatu

Magdalena Czyż

Zbigniew Nosowski na łamach „Więzi” wnikliwie opisał przypadek dwóch kobiet wykorzystanych seksualnie przez jednego z księży gdyńskiej parafii. Nie pierwszy to taki przypadek i nie ostatni, i przeszedłby niezauważony, gdyby nie dotyczył świeżo wybranego Przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski, abp. Tadeusza Wojdy.

Tę historię wcześniej opisał Stanisław Zasada w „Tygodniku Powszechnym”. Ale był koniec lutego 2022 i atak na Ukrainę przykrył wiadomości o kolejnym hierarsze, który nie dopełnił obowiązków i zlekceważył ofiary jednego z podległych mu księży.

Przed dwoma laty, jak pisze Nosowski – „osoby zaangażowane w próby wyjaśnienia sprawy wyrażały nadzieje, że pojawienie się w mediach wątpliwości co do prawdziwości działań gdańskiej kurii pod kierownictwem nowego metropolity (objął on kanonicznie diecezję w marcu 2021 r). zaowocuje szybką rewizją standardów i postawieniem osób skrzywdzonych w centrum działań lokalnego Kościoła, zgodnie z oficjalnymi watykańskimi deklaracjami”.

Dziś już wiadomo, że nie takiego ze strony abp. Wojdy nie nastąpiło, a kobiety zgłaszające swoją krzywdę żałują, że w ogóle zdecydowały się na wyznanie prawdy.

„Arcybiskup mówił mi podczas spotkania, że traktuje księdza Adriana jak ojciec syna. Dlaczego mnie nie traktował jak córkę?” – to dramatyczne pytanie stawia nowemu przewodniczącemu Konferencji Episkopatu Polski jedna z ofiar.

„Dlatego więcej troski biskup okazuje zaburzonemu seksualnie księdzu niż osobom, które on skrzywdził? – kontynuuje druga pokrzywdzona. – Kościół tyle mówi o szacunku, jaki należy się osobom skrzywdzonym, a ja czuję się traktowana jak zło konieczne. W pracy szef wylatuje za molestowanie (dorosłych) podwładnych. A w Kościele?”.

Zbigniew Nosowski postawił Wojdnie dwadzieścia pytań, które jednocześnie streszczają jego artykuł i stanowią listę zaniedbań arcybiskupa. Przytaczam tylko kilka:

W jaki sposób zadbał Ksiądz Arcybiskup o spokój ducha, komfort i bezpieczeństwo osób zgłaszających swoją krzywdę z rąk ks. Adriana?

Dlatego pozostawił Ksiądz Arcybiskup bez odpowiedzi niektóre bardzo ważne listy od osób zgłaszających krzywdę z rąk ks. Adriana?

Dlatego do tej pory ani pani Marta, ani pani Kinga nie otrzymały od archidiecezji gdańskiej nawet zwrotu wydatków poniesionych na psychoterapię i leczenie?

Dlatego sprawa skargi pani Marty nie została skierowana do Dykasterii do spraw Duchowieństwa, lecz do Dykasterii Na-

uki Wiary, skoro DNW nie zajmuje się krzywdami wobec osób pełnoletnich?

Czy kierował Ksiądz Arcybiskup ks. Adriana do pracy jako kapelana w szpitalu psychiatrycznym?

Jeśli odpowiedź na pytanie poprzednie brzmi „Nie”, to jak to możliwe, że duchowny archidiecezji gdańskiej, podejrzany m.in. o poważne przestępstwa seksualne wobec 13-latki, uzyskał jako kapelan szpitala nieskrępowany dostęp do osób w kryzysach psychicznych, w tym małoletnich?

Dlatego osoby zgłaszające swoją krzywdę informowane były o decyzjach podejmowanych w sprawie ze znacznym, czasem nawet kilkumiesięcznym opóźnieniem?

Czy zakazał Ksiądz Arcybiskup ks. Adrianowi lub ograniczył mu uprawnienia do sprawowania sakramentu pojednania, skoro pojawiło się także oskarżenie dotyczące zdrady tajemnicy spowiedzi?

Czy o zgłoszeniu zdrady tajemnicy spowiedzi została powiadomiona Dykasteria Nauki Wiary?

Czy podjął Ksiądz Arcybiskup jakieś działania dyscyplinujące po otrzymaniu od osób zgłaszających krzywdę pism dotyczących nieprawidłowości w spisywaniu protokołów zeznań kanonicznych?

„Arcybiskup mówił mi, że traktuje księdza Adriana jak ojciec syna. Dlaczego mnie nie traktował jak córkę?”

W jaki sposób rozumie Ksiądz Arcybiskup zachowania, które uznaje Ksiądz za wykorzystanie seksualne? Czy w tym świetle „macanie” jest molestowaniem seksualnym i może być przestępstwem kanonicznym?

Dlatego w ramach dotychczasowego postępowania w tej sprawie nie przesłuchano jako świadka osoby, która pisemnie zgłaszała Księdzu Arcybiskupowi, że posiada informacje o innych kobietach skrzywdzonych przez ks. Adriana oraz innych osobach, które mogą złożyć zeznania?

Lista zaniedbań świeżo wybranego przewodniczącego Episkopatu jest w tej sprawie dłuższa i cięższa. Przez 13 dni Nosowski nie otrzymał z archidiecezji gdańskiej żadnej odpowiedzi na swój list z pytaniami. Natomiast już na drugi dzień po publikacji jego tekstu archidiecezja wydała oświadczenie, że artykuł to stek insynuacji, spekulacji i dowód na brak znajomości rzeczy autora.

Szybkość reakcji archidiecezji na artykuł Nosowskiego jest imponująca, zwłaszcza w kontekście kilkumiesięcznych opóźnień w odpowiadaniu na listy pokrzywdzonych kobiet i przekazywaniu im informacji o przebiegu ich sprawy.

Tempo reakcji i jej agresywny ton ewidentnie zdradza panikę arcybiskupa i jego podwładnych. ●

MAGNESIK NA LODÓWKĘ NIE MA PRZYSZŁOŚCI

Tutejsi mówią: otwórzmy kolejny sklep z drogimi gadżetami przy marinie. Ja mówię: otwórzmy księgarnię.

Z **JOSH HICKEYEM**
ROZMAWIA **JAKUB KIBITLEWSKI**

JAKUB KIBITLEWSKI: Plejada polskich nazwisk i kurator wystawy z Mokotowa to ostatnie, czego się spodziewałem, zaglądając do muzeum na małej wyspie w Zatoce Saronijskiej.

JOSH HICKEY*: – Przecież polsko-grecki romans ma się świetnie! Żona obecnego premiera Grecji pochodzi z Polski.

Nieco mniej mnie zaskoczyło, że organizatorem ekspozycji o związkach słynnych artystów z pocztówkową wręcz grecką wysepką jest Amerykanin. To motyw trochę jak z „Mamma Mia”. Z tą różnicą, że w tego typu filmach zmęczeni, zagonieni ludzie Zachodu odkrywają sens i piękno życia w zapomnianych zakątkach, a Hydry nie trzeba odkrywać, od dekad jest turystycznym greckim „must see”.

– W tym rzecz. Wracam na wyspę co lato, już od prawie dekady, i w pewnym momencie zaczęło do mnie docierać, że turystom Hydra kojarzy się głównie z pięknymi widokami, zakazem ruchu samochodowego i...

...Leonardem Cohenem!

– A przecież Cohen, który przeprowadził się na Hydrę w 1960 roku i regularnie wracał aż do śmierci, nie znalazł się tutaj przypadkiem. Już w latach 30. na zaproszenie wybitnego greckiego malarza Nikosa Ghikasa, na wyspę zaczęli ścinać twórcy światowej sławy. Przez gościnne pokoje jego letniej rezydencji przewinęli się Henry Miller – ten od „Zwrotniku Raka” – nagrodzony Noblem grecki poeta Jorgos Seferis, autor „Kwartetu aleksandryjskiego” Lawrence Durrell, australijska pisarka Charmian Clift...

A to tylko kilka nazwisk. Pisarze, artyści, aktorzy zapraszali tutaj przyjaciół, fama o wyspie się rozeszła i tak narodziła się społeczność, która funkcjonuje do dziś – tylko że nieco zapomniana. Więc postanowiłem zebrać ich dzieła i zaprezentowałem je w Muzeum Archiwów Historycznych Hydry latem 2021 pod hasłem „Hydra Book Club”.

Byłem przekonany, że skończy się – jak bywa z takimi oddolnymi lokalnymi inicjatywami – na jednorazowej prezentacji zebranych przeze mnie utworów napisanych w tym miejscu albo dotyczących go. Tymczasem wystawa zaczęła żyć własnym życiem i przekształciła się w cały projekt – miejsce spotkań, księgarnię i lokalne centrum literackie. Okazało się, że mieszkańcy bardzo doceniają projekt tę moją próbę pokazania, że ich społeczność to nie tylko osiołki i widoczki z Instagrama.

Żadnej krytyki? Zarzutów typu „to orientalizm”, „jak zwykłe człowiek z bogatego Zachodu coś »odkrywa«”?

– Nie. Jeśli już, to krytykują mnie niektórzy inni rezydenci, którzy – chociaż sami przecież tu przyjechali – twierdzą, że przez to lansowanie kulturalnego dziedzictwa Hydry na wyspie pojawi się jeszcze więcej turystów.

Cóż, turyści będą się tu pojawiać tak czy inaczej. A skoro tak, to wychodzę z założe-



• Osiołek, sztampowy – jest na każdej pocztówce i na każdym wakacyjnym Instagramie – symbol Hydry FOT. SHUTTERSTOCK

nia, że zamiast otwierać przy porcie kolejny butik z luksusową odzieżą, warto skierować uwagę odwiedzających na bogatą historię i dziedzictwo Hydry. Mamy tu przecież światowej klasy sztukę współczesną czy niesamowite zbiory poświęcone greckiej wojnie o niepodległość z 1821 roku. Jeśli uda nam się rozwijać ofertę kulturalną na wysokim poziomie, podąży za tym konkretny typ turysty.

Czyli jaki?

– Nazwij to post-turystyką, slow travel czy jak tam sobie chcesz, ale w gruncie rzeczy chodzi o przyciągnięcie ludzi zainteresowanych dłuższą wizytą. Takich, którzy są gotowi spędzić w jakimś miejscu – w Atenach, na Hydrze, nieważne – miesiąc czy dwa, bo nie zależy im na przelotnej konsumpcji, powierzchniowym otarciu się o miejsce. Chcą doświadczać go w sposób bardziej pełny, żyć nim, poczuć się jak lokalsi, nawet przez chwilę. Z czym wiąże się większe poczucie odpowiedzialności za wspólną przestrzeń.

Turystyka na Hydrze to chyba drażliwy temat? Przekonał się o tym sam Richard Branson, ten słynnej wytwórni muzycznej oraz linii lotniczych Virgin, gdy chciał zbudować tu hotel.

– Został praktycznie przepędzony z wyspy.

Turystyka faktycznie rozkręca wiele wewnętrznych sporów, ale jako obcokrajowiec staram się nie angażować za mocno. Niemniej irytują mnie letnicy, którzy sami będąc turystami, psioczą na próby otwarcia wyspy tylko dlatego, że podoba im się jej „urocza bieda” i „autentyczność”. Widzę w tym jakiś perwersyjny kolonializm.

Z drugiej strony, rozumiem głosy bardziej konserwatywnych miejscowych, którzy chcą zachować tradycyjny charakter wyspy i są głęboko sceptyczni wobec masowej turystyki i zagranicznych inwestycji. W całej Grecji, zwłaszcza na Cykladach, istnieje mnóstwo przykładów katastrofalnych skutków rozbudowanej turystyki.

Weźmy Mykonos, gdzie skrajna samowolka deweloperska odbywa się kosztem bezcennej architektury i niejednokrotnie stanowi zagrożenie dla zdrowia, a nawet życia mieszkających tam ludzi. Zdarzało się na przykład, że dla pozyskania gruntów pod zabudowę, ktoś podpalał teren. I to nie tylko dekadę czy dwie temu, ale teraz, gdy cała Grecja co roku zmaga się z pożarami! W całym kraju mocno obciążone są też zasoby naturalne, co szczególnie widać właśnie na wyspach, gdzie system sanitarny jest bliiski załamania. Na Mykonos nie ma już praktycznie wody. Trzeba ją importować.

A jak to wygląda na Hydrze?

– Wioska portowa, jak z resztą sama Hydra, jest niewielka i człowiek szybko znajduje się w naturze. W przeciwieństwie do sąsiednich wysp, Hydra jest bardzo skalista, co sprawia, że trudno tu cokolwiek uprawiać. W zasadzie wszystko trzeba importować. Naxos, jedną z najbardziej żyznych wysp na Cykladach, można by śmiało odciąć od reszty świata, a mieszkańcy nadal by sobie poradzi. Są tam całe farmy z produktami przeznaczonymi na eksport, np. pistacjami.

W przypadku Hydry jest odwrotnie. Nawet tutejsze zwierzęta w większości służą celom transportowym. Nie ma nawet krów, jest parę kóz i w sumie tyle. Mamy też spory problem z kanalizacją i nadmiarem odpadów, ale przynajmniej nie ma tak wielkiej samowolki budowlanej, bo obowiązują jedne najbardziej restrykcyjnych przepisów w kraju. Do tego dochodzi zakaz ruchu samochodowego, więc nie ma tragedii.

Turystyka jest jedną z głównych gałęzi przemysłu i nie da się ukryć, że lokalna społeczność bardzo korzysta na zwiększonym ruchu, a do budżetu wpływają konkretne pieniądze z podatków czy opłat za dokowanie łodzi. Jednocześnie jest problem z mieszkaniem, bo rosnący ruch oznacza też więcej pracowników sezonowych, pracowników hoteli i restauracji, dla których musi znaleźć się gdzieś miejsce. Trudno to wyważyć.

Podobnie jest z kulturą. Regularnie słyszę, że potrzebujemy na wyspie więcej sklepów, a nie sztuki, bo za tym idą większe przychody. Ale jeśli nie ma kultury, to wabisz kilku klientów, a potem znowu jest kiepsko, bo wszyscy ludzie, którzy mogliby stworzyć coś, co przyciągnie turystów na dłużej, zwyczajnie zabiorą się stąd i wyjadą. A wtedy nie będziesz w stanie sprzedawać niczego oprócz tanich pamiątek.

Rozwijanie instytucji kultury związanych z DNA Hydry może w jakimś stopniu pomóc w rozwiązaniu tego dylematu, nie ingerując za bardzo w życie mieszkańców.

Sprzedajesz też książki. Jak to się ma do wspólnotowej misji? To jednak ściśle komercyjna działalność.

– I tak, i nie. Owszem, zarabiamy – nie tylko na sobie, również na działalność projektu – ale wymiar relacyjny, wspólnotowy księgarni jest nie do przecenienia. Nie zliczę, ile osób przyszło do nas opowiadając, że widzieli kogoś z jutową torbą „Hydra Book Club”, zaciekawili się, wdali w rozmowę i w ten sposób odkryli Hydrę – w ogóle albo jej nowy dla nich wymiar, inny niż pocztówkowy.

Książka pozwala dotrzeć do wielu różnych osób. Powiedzmy, że jesteś tu tylko na parę godzin, jak większość odwiedzających. Przypląwasz poranną łodzią i tego samego dnia wracasz. Okej, zrobisz zdjęcia, pospacerujesz, wypijesz kawę, może nawet odwiedzisz muzeum – ale chciałbyś zabrać ze sobą coś, co będzie ci przypominać o Hydrze, stymulować pamięć i wyobraźnię.

A książka jest o wiele trwalszą, wielowymiarową i wspólnotową pamiątką niż pocztówka czy breloczek. To ruchomy artefakt, który będzie krążył, przechodził z rąk do rąk i z miejsca na miejsce. Będzie pożyczany, gubiony, sprzedawany, wyrzucany, wyciągany z kosza, odsprzedawany.

No i książka ma w sobie jakąś dodatkową wartość, wzbudza szacunek. Nawet

starych T-shirtów pozbywamy się łatwiej niż książek.

Jak to się stało, że turysta został kustoszem dziedzictwa literackiego wyspy?
– Stopniowo. Odwiedzałem wyspę przez niemal 10 lat jako letnik, aż zacząłem przyjeżdżać tu też poza sezonem, na tydzień czy dwa. Przyjeżdżałem, kiedy tylko mogłem, ale nadal byłem tylko gościem. Moi rodzice nie kupili tu domu w latach 60., jak Cohen. Nie jestem też Grekiem. Po prostu odwiedzałem Hydrę, czerpiąc osobiste emocjonalne i estetyczne korzyści, aż zadałem sobie pytanie, czy po tylu latach nadal mogę tylko brać, nie dając nic w zamian.

Jasne, spędzając tu wakacje, wspierałem lokalną gospodarkę, ale to czysto transakcyjna relacja. Czulem, że przyjaźnie, które zawarłem na Hydrze, były tak piękne i głębokie, miały dla mnie tak ogromne znaczenie, że muszę zainwestować w to miejsce na poziomie osobistym. I zdecydowałem, że zainwestuję w kulturę. Czytając tych wszystkich autorów opowiadających o swoich doświadczeniach związanych z Hydrą, powoli zacząłem poznawać zawilgości lokalnego życia, czym to miejsce w ogóle jest. Aż – banal nad banały, wiem – rzuciłem pracę w korporacji.

Jaką pracę? W branży kulturalnej, medialnej? Bo z takimi miejscami zazwyczaj nie wiążą się informatycy czy ludzie od excela, nic im nie ujmując.

– Nie, ale w jakimś sensie moje zajęcie wpłynęło na projekt Hydra Book Club.

Pracowałem dla marki Cartier, odpowiadałem za tzw. brand experience, a więc sposób, w jaki postrzegają nas klienci. Organizowałem międzynarodowe wydarzenia promocyjne. Zawsze starałem się przy tym stworzyć doświadczenie, które byłoby bezpośrednio związane z danym miejscem. Wychodziłem z założenia, że nie ma sensu lecieć do Los Angeles, jeśli zamierzamy zamknąć wszystkich w jakiejś sfabrykowanej randomowo sali z wystrojem Cartiera.

Coś takiego można zrobić wszędzie, a skoro jesteśmy już w LA, warto zorganizować wydarzenia promocyjne w miejscach, które są tkanką tego miasta, dać zagranicznej prasie możliwość poznania mieszkańców, lokalnej kultury. Przecież to z korzyścią i dla firmy – bo oryginalne doświadczenie, bardziej utrwała się w świadomości gości niż najbardziej wystawny, ale pozbawiony indywidualnego rysu event – i dla lokalnej społeczności, i po prostu jest interesujące dla gości.

Tak się złożyło, że ostatnie duże wydarzenie, za które odpowiadałem, miało miejsce w Paryżu. Motywem przewodnim miały być kontrastujące elementy osobowości każdego z nas. A ponieważ interesowałem się – przepraszam za akademicki język – społeczną funkcją księgarń, postanowiłem zorganizować promocję w jednej z nich. Wykorzystałem przestrzeń jednej z najpiękniejszych i najbardziej historycznych księgarni Paryża. Zdecydowałem, że zamiast koncentrować się na produkcji, pozwolimy ludziom na wolne skojarzenia. I zadziała się magia. Wszyscy natychmiast zrozumieli, co próbujemy wyrazić przez medium księgarni.

Bo księgarnia jest przecież czymś więcej niż przestrzenią handlową. Wszyscy wiemy, że księgarnie bywają miejscem spotkań, centrum lokalnego aktywizmu, miejscem, w którym mniej słyszalne głosy dostają platformę. Poza tym księgarnie takie jak Shakespeare and Company w Paryżu, Daunt Books w Londynie czy City Lights w San Francisco to jedyne w swoim rodzaju miejsca, które odzwierciedlają charakter lokalnych środowisk intelektualno-artystycznych.

Nie chcę zabrzmieć arogancko, zwłaszcza że nie jestem artystą ani historykiem sztuki, ale mój projekt prowadzi, że księgarnia to wręcz medium artystyczne. Można ją zaprojektować w sposób, który wywoła określone reakcje. Jak instalacja artystyczna. Hydra Book Club to laboratorium.

Chodzi o stworzenie jakiegoś rodzaju społeczności wokół projektu?

– Nie jestem pewny, czy społeczność to właściwe słowo. Chodzi mi o stworzenie jakiejś więzi, co w przypadku tak zróżnicowanego ludnościowo miejsca jak Hydra nie jest wcale proste.

Latem Hydra przyciąga dość specyficzną publikę. Mówiąc, że jedziesz na Hydrę, zamiast na Mykonos czy Ibizę, komunikujesz wyrafinowany gust. Podkreślasz, że jesteś cool. Z tym miejscem wiąże się jakaś celebrycka aura, ale bardziej artystyczna, modowa czy sportsmeńska – żeglarze! – niż kojarząca się z nocną dyskoteką przy plaży czy imprezami na jachcie u Beyoncé. I patrząc na to z zewnątrz, ktoś mógłby pomyśleć, że Hydra jest zamożną wyspą.

Ale to tylko jedna strona. Jest przecież 2000 miejscowych, i dla większości to nie jest dolce vita. I są pracownicy sezonowi, których śmiało można nazwać imigrantami – przez pewien czas to byli głównie Albańczycy, teraz z kolei są to Hindusi, ludzie ze Sri Lanki czy Bangladeszu. Przeźroczyści jako dostawy, kelnerzy czy sprzątaczk, żyjący na zapleczu, w przeludnionych kwaterach, ciulający oszczędności dla rodzin w domu. A obok – spora społeczność artystyczna, intelektualści, pisarze, artyści wizualni, kolekcjonerzy sztuki, właściciele galerii, muzycy, poeci, którzy wybrali to miejsce na swój dom. Próba znalezienia jakiegoś wspólnego mianownika, czegoś, co by angażowało i skłaniało te wszystkie osoby do interakcji, niesamowicie mnie fascynuje.

Tu jest celebrycka aura, ale bardziej artystyczna, modowa czy sportsmeńska – żeglarze! – niż kojarząca się z nocną dyskoteką przy plaży. I ktoś mógłby pomyśleć, że Hydra jest zamożną wyspą. Ale jest też 2000 miejscowych, i dla większości to nie jest dolce vita. I są pracownicy sezonowi – z Albanii, Indii, Sri Lanki. Żyjący na zapleczu, w przeludnionych kwaterach

I literatura sprawdza się w roli takiego zwornika?

– Literatura pomaga rozwijać empatię, współczucie i porozumienie międzykulturowe. Czytając, wkraczamy w życie innych. Zyskujesz emocjonalny kontakt z autorem lub postaciami, które stworzył. To z kolei może sprawić, że poczujesz jeszcze głębszą więź z konkretnym miejscem – i że zaczniesz przyglądać się również wokliwiej ludziom, którzy cię otaczają, również spoza własne bari.

Przychodząc na naszą wystawę, Hydrylicy zdają sobie sprawę, że w tym wszystkim nie chodzi o jakichś zagranicznych pisarzy. Odkrywają, że ta międzynarodowa literatura jest częścią greckiej historii, częścią ich dziedzictwa. Rodzice dzielą się nią z dziećmi. Nawet lokalsi z dziada pradziada, rodowici tutejsi, którzy znają historię wyspy, są czasem zaskoczeni.

Więc na poziomie lokalnym, literatura stymuluje poczucie dumy. Z kolei dla przyjezdnych, takich jak ty, to coś, co może wzbudzać intelektualną ciekawość. I nie chodzi tylko o historię wyspy, ale też o emocjonalny, artystyczno-odkrywczy aspekt. „Le Corbusier, Norman Mailer, Henri Cartier-Bresson, Sophia Loren, wow! Nie miałem pojęcia, że oni wszyscy tu byli!”. Albo: „Czytałem tego autora. Nie miałem pojęcia, że tu był!”. I tak dalej. Wtedy zaczynają się pytania. Często odwiedza muzeum starsza kobieta, mieszkająca na Hydrze już ponad 50 lat. Zagaduje ludzi, opowiada, jak to miejsce wyglądało, kiedy się tu przeprowadziła. Dzięki takim interakcjom ludzie nagle się ze sobą mieszają, wymieniają perspektywami.

Greckie społeczeństwo jest pod wieloma względami raczej konserwatywne. Skrajnie prawicowy Złoty Świt niedawno był trzecią co do wielkości siłą w parlamencie. Policja i straż graniczna, słynące z brutalnego traktowania migrantów, zachowują się tak nie tylko dlatego, że

Frontex każe. A z drugiej strony Grecja to mnóstwo inicjatyw takich jak twoja, promujących bardzo postępowe idee. Jak im udaje się łączyć tak różne światy?

– Nie będę się wypowiadał o szerokich mechanizmach społecznych, od tego są socjologowie. Ale opowiem o skromnym wkładzie literatury i księgarni. Ich piękno polega na tym, że dają ci swobodę wyboru. O wiele większą niż, powiedzmy, wystawa sztuki współczesnej.

Podam przykład. Mój przyjaciel Anthony miał poważne kłopoty po tym, jak w muzeum wystawił obraz Steliosa Faitakisa, jednego z najważniejszych współczesnych greckich malarzy. Jego dzieła są niezwykle postępowe, a przy tym wykorzystują tradycyjną formę ikony. Jego przedstawienie Madonny w bardzo erotyczny sposób spotkało się z ostrą krytyką władz, w tym przedstawicieli Cerkwi. To nie była zwykła medialna burza – bluźnierstwo jest w Grecji przestępstwem.

Mnie samego nurtuje pytanie, jak w tym konserwatywnym miejscu – bo wyspy ze swej natury są konserwatywne, owszem, otwarte czy wyrozumiałe dla jednostki, jej osobności czy dziwactw, ale nie na szerokie zmiany obyczajowe – mogła rozwinąć się tak radykalnie wolna artystycznie społeczność. To jedno z głównych zagadnień moich badań literackich. Co przygnało tych wszystkich ludzi na tę konserwatywną wyspę? Dlaczego zdecydowali się tu zostać? Czego tu szukali? Jak to się stało, że wrastali tu, że by-

li akceptowani, nie izolowani jako odmieńcy z wielkiego świata?
Wiele o Hydrze mówi już sam fakt, że kościół jest tu tak bardzo aktywny i wpływowy. Cerkiew to przecież instytucja, delikatnie mówiąc konserwatywna, nawet na tle Kościoła katolickiego. Ale gdy do księgarni przychodzą duchowni – a przychodzą regularnie – okazują się często bardzo czytanyimi ludźmi, nie stroniącymi od dyskusji na kontrowersyjne tematy. Mają swoje kody kulturowe, ale są otwarci i chętni do rozmowy.

To zabrzmiało jak jakiś motywacyjno-progresywny, naiwny komunał, ale chyba nie o to, czy jest się konserwatystą, czy nie. Po prostu przybывая gdzieś, trzeba odrobić pracę domową. Nawet jeśli jesteś gdzieś tylko na wakacjach, pamiętaj, że mieszkają tu ludzie, którzy mają swoje zwyczaje i normy społeczne. Nie lekceważ tego. Nie musisz się we wszystkim dostosować, ale okaż szacunek, zrozumienie i zainteresowanie.

Elementem wystawy, wetkniętym gdzieś między tomiki wierszy Allena Ginsberga, Cohena i powieści Margarity Karapanou, jest magazyn literacki. „The Journal of the Hydra Book Club” – spełnienie fantazji burżuazji o artystyczno-intelektualnych aspiracjach o własnym czasopiśmie?

– Ha, ha. Wiem, co masz na myśli, ale magazyn jest jednym z najważniejszych elementów całego przedsięwzięcia. Czasopismo pozwala dzielić się życiem tej wyspy poza jej ścisłymi, fizycznymi granicami.

Myśląc o stworzeniu magazynu, z moim partnerem Filipem Niedenthalem – byłym naczelnym polskiego wydania „Vogue” – zadaliśmy sobie pytanie: „co by się stało, jeśli przełożyć logikę eksperymentu społecznego na medium drukowane?”. Wiem, że to brzmi nieco artystowsko, afektowanie – ale w istocie chodzi o buzujący, eklektyczny charakter. Poza esejami i poezją w „The Journal of the Hydra Book Club” znajdziesz

fotografie, obrazy i eksperymentalne formy w rodzaju wywiadu ze sztuczną inteligencją.

Do pewnego stopnia to odzwierciedlenie sposobu, w jaki mnóstwo gości Hydry, jej miłośników, funkcjonuje w świecie – między kawiarnią literacką a halą produkcyjną czy biznesem, jedną nogą w Grecji, drugą w Warszawie czy Paryżu.

Równie eklektyczny, co nasze zainteresowania, jest skład autorski. Mamy zawodowych eseistów i fotografów, ale zapraszamy na lamy muzyków, ludzi showbiznesu. Nazwiska greckie, meksykańskie, anglosaskie, polskie... Najlepiej pokaże to wyliczanka kilku nazwisk i profesji – na łamach jest kurator greckiego pawilonu na Biennale w Wenecji, jest wybitny grecki artysta wizualny Andreas Angelidakis, jest Stephan Collredo-Mansfeld, producent muzyczny prowadzący na Hydrze studio nagraniowe Old Carpet Factory. W którym, na marginesie, nagrywała wasza Natalia Przybysz.

O właśnie. Kiedy Polak rozmawia o czymś z cudzoziemcem, musi pojawić się wątek „... a sprawa polska”. Nasi tu byli, nasz wkład, oczywiście niedoceniany, a ważki... No to Hydra a sprawa polska?

– Ironizujesz, ale tak właśnie jest! W poprzednim numerze mieliśmy tekst supermodelki Małgosi Beli inspirowany wierszem Miłosza, fotoreportaż Stanisława Bonieckiego, Magdy Wunshe i Agi Samsel. A w kolejnym pojawiają się antropolożka mody, eseistka i aktywistka równościowa Karolina Sulej, artysta wizualny Mikołaj Długosz oraz tworząca filmy i animacje Agnieszka Polska.

A jak to się sprzedaje? Pytam z dwóch powodów – by nakarmić nadzieję, że prasa drukowana jeszcze nie zginęła, ale też z obawy, że – jak niegdyś wiele projektów rozkręcanych przez uwrażliwionych, oświeconych eks-puppies – skończycie jako ekskluzywna nisza dla aspirującej burżuazji i majątnej bohemy.

– A wiesz, że nieźle? Wbrew pozorom media drukowane cieszą się teraz dużą popularnością. Nadmiar treści dotyka głównie rynek cyfrowy i właśnie ten przesyta pcha ludzi w stronę druku. Który nadaje jakąś hierarchię tematów, obiecuje uporządkowanie, selekcję tego, co najciekawsze lub najważniejsze.

Przecież z tego samego powodu kwitnie czytelnictwo książek, i to papierowych, i to również wśród nastolatków czy młodych dorosłych, tak zanurzonych w cyfrowym, pędzącym świecie.

A co do niszowości i zarzutu pretensjonalności, który wyczuwam – nazwałbym to raczej potrzebą obcowania z czymś oryginalnym, niepowtarzalnym, bardziej rękodzielniczym niż wielkoprzemysłowym. I znów, widzę to samo w księgarni.

Ludzie są zainteresowani rzadkimi książkami, mają apetyt na białe kruki, wydania specjalne. Na coś, co – użycie marketingowego slangu, bo wiele branż wykorzystuje ten mechanizm, ale przecież w odpowiedzi na głęboko ludzką potrzebę – jest jakoś spersonalizowane, indywidualne, małoseryjne. Co pozwala uciec od standardyzacji, powtarzalności produktów, logo, marek, wdzierającej się w kolejne dziedziny życia. ●



FOT. FOT. MICHAŁ LEPECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Josh Hickey

• amerykański pisarz i kurator sztuki, pomysłodawca projektu „Hydra Book Club” promującego twórczość środowisk literackich i artystycznych skupionych wokół greckiej wyspy Hydra.

Wielu agresorów internetowych czuje się bardziej moralnymi ludźmi, żołnierzami walczącymi na „nowym froncie”.

Z **JAKUBEM KUSIEM**, PSYCHOLOGIEM
BADAJĄCYM WPŁYW NOWYCH
TECHNOLOGII NA MORALNOŚĆ*
ROZMAWIA AGNIESZKA JUCEWICZ

AGNIESZKA JUCEWICZ: W serialu pt. „Reniferek” brytyjski aktor i komik Richard Gadd opowiedział o swoich doświadczeniach – stalkingu ze strony kobiety i przemocy seksualnej ze strony mężczyzny. Twierdził, że starał się jak najlepiej ukryć ich tożsamość, jednak internauci błyskawicznie namierzyli prawdziwą stalkerkę. Kobietę załaza fala nienawistnych wiadomości, grożono jej śmiercią.

JAKUB KUŚ: – To co się wydarzyło po emisji serialu, który zrobił na mnie, jak i pewnie na większości osób, które go obejrzały ogromne wrażenie, jest chyba najgłośniejszym przykładem wyszukiwania prawdziwej tożsamości bohaterki, czy bohatera filmu, póki co.

Ciekawe, że chęć odwetu internautów skupiła się na filmowej Marcie, czyli na stalkerce. Natomiast filmowy Darrien, czyli wpływowy producent i sprawca przemocy seksualnej, jakby tej fali odwetu umknął. Mimo, że twórca serialu powiedział jasno, że to zdarzenia z udziałem Darriena były dla niego bardziej traumatyczne.

Jego też internauci starali się zidentyfikować. Przy okazji rzucono oskarżenie na niewinną osobę, co pokazuje jakie mogą być konsekwencje takich internetowych śledztw.

– Skala tych poszukiwań była jednak znacznie mniejsza. Bo „Marta” jest po prostu łatwiejszym celem: osobą z nadwagą, kobietą, do tego zachowującą się „inaczej”. Internauci chętniej wybierają takie postaci na swoje ofiary, niż na przykład zamożnych mężczyzn z pozycją. To może nieco poboczny wątek, lecz wart uwagi.

Wróćmy jednak do śledztw internetowych – ludzie uwielbiają bawić się w detektywów. W wielu osobach budzi się policjant, który próbuje dojść po śladach do „prawdy”. Dzisiaj jest to łatwiejsze, bo w internecie nic nie ginie. W przypadku „Reniferka” wystarczyło zapewnienie reżysera, że historia jest prawdziwa, żeby internetowe śledztwo ruszyło.

I nic innego się nie liczyło. Ani to, że twórca serialu pokazał swoich bohaterów w sposób nieoczywisty, ani to, że dla niego sprawa była zamknięta.

– Internauci odszukali nawet na youtube archiwalne nagranie występu Richarda Gadda z jakiegoś festiwalu komediowego w 2012 roku i wyłapali charakterystyczny śmiech na sali. Jeden z użytkowników napisał w komentarzu: „śmiech Marty w 1 minucie 24. sekundzie”.

Skąd to zaangażowanie?

– Być może stąd, że ten serial niesamowicie oddziałuje na emocje. Jest bardzo intymny. Jestem przekonany, że wielu widzów poczuło się częścią tej opowieści. Ktoś przed nimi otworzył drzwi do swojego życia, pokazał te różne traumatyczne doświadczenia, a do tego okazało się, że historia nie jest zakończona. W tym sensie, że prawdziwa Marta gdzieś tam sobie żyje. Jak to ujął jeden z internautów: „obecnie tworzymy drugi sezon „Reniferka”.

Niektórzy być może poczuli, że mają prawo działać w imieniu bohatera, bo zostali do tego niejako zaproszeni. Postać grana przez Gadda budzi też głębokie współczucie. Jesteśmy świadkami wielu drama-

tycznych scen z jego udziałem. I nagle się okazuje, że twórca serialu jest kimś, komu możemy pomóc. Możemy namierzyć tę „Martę”. Dać jej do zrozumienia, że nigdy nie powinna się już tak zachować.

No i jest jeszcze jedna rzecz.

Jaka?

– Z wielu badań, choćby nad hejtem internetowym, czy trollingiem wynika, że jedną z najbardziej podstawowych potrzeb wielu internautów jest potrzeba kontroli nad innymi, swoistej władzy. Tu mogli ją zrealizować – przejąć całkowitą kontrolę nad „Martą”. My po prostu chcemy rządzić i mieć wpływ na czyjeś życie.

Jest też zwykła chęć zaspokojenia ciekawości. Ale tu chyba chodzi o coś więcej. Ludzie nie zamieniają się wyłącznie w internetowych detektywów, lecz w internetowych sędziów. Chcą kary i pokuty. Choć nikt ich o to nie prosi. Prawdziwa Marta miała zakaz zbliżania się do Gadda, policja wiedziała o niej.

– Jak się mówi o internecie to często używa się metafory – „cyfrowy Dzik Zachód”. Nie bez powodu. I w wielu z nas czasem budzi się taki szeryf. Uznajemy, że po prostu powinniśmy coś zrobić. Bo na przykład sąd, czy inne organy prawa zrobiły, naszym zdaniem, za mało. Zresztą ludzie często piszą wtedy w komentarzach, czy na forach, że wymiar kary był nieproporcjonalny do winy, napiętnowanie powinno być surowsze, itd. Oczywiście piszą to innym językiem. Ale to jest

często takie myślenie wręcz starotestamentowe: oko za oko, ząb za ząb.

Jeden z internautów napisał ponoć stalkerce Gadda, że będzie ją nękał tak, jak ona nękała Gadda.

– No, właśnie. I nie ma okoliczności łagodzących. Nawet jeżeli ileś lat temu sąd skazał taką osobę i odbyła ona karę. Już zawsze będzie musiała z tym żyć, a my będziemy jej o tym przypominać.

Tak było w przypadku głośnego reportażu Mariusza Szczygła pt. „Śliczny i posłuszny” z 2013 roku. Jego bohaterka, skazana za zabójstwo sześciolatniego pasierba, odsiedziała swoje. Wyrok uległ zatarciu. Po publikacji tekstu, trzydzieści lat po tych wydarzeniach, ludzie natychmiast ją odszukali, mimo, że w tekście występowała pod pseudonimem. Ale tam chodziło też o to, że ona pracowała w szkole, była ekspertką MEN. To ludzi oburzyło.

– Skala reakcji na ten tekst była rzeczywiście niesamowita, pamiętam to. Zresztą, jakiś czas później byłem na spotkaniu z Mariuszem Szczygłem wokół jego książki „Nie ma”, w której znalazł się ten reportaż i autor opowiadał, że przez to ta historia odżyła po raz kolejny. Bo ludzie opowieść, która ich mocno porusza, zaczynają traktować jak własną.

Myślę, że części osób sprawia to też zwyczajną satysfakcję, że oto namierzyłem kogoś, kto kiedyś zrobił coś złego, a teraz nie pozwalam mu o tym zapomnieć. A w przypadku bohaterki reportażu Szczygła – nie

tylko zapomnieć, ale w ogóle funkcjonować. I to jest kolejny przykład, jak nowe technologie stają się narzędziem do manifestowania potrzeb, które były i przed internetem, natomiast dziś można je łatwo zrealizować. Oczywiście, może się to skończyć tragedią.

Wyobrażam sobie, że gdybyśmy obejrzelik takiego „Reniferka” w czasach przed internetem, na przykład w kinie, to wyszlibyśmy po seansie z silnymi emocjami, być może pogadalibyśmy o nich ze znajomymi, nastąpiłoby katharsis, i te emocje by się wyciszyły.

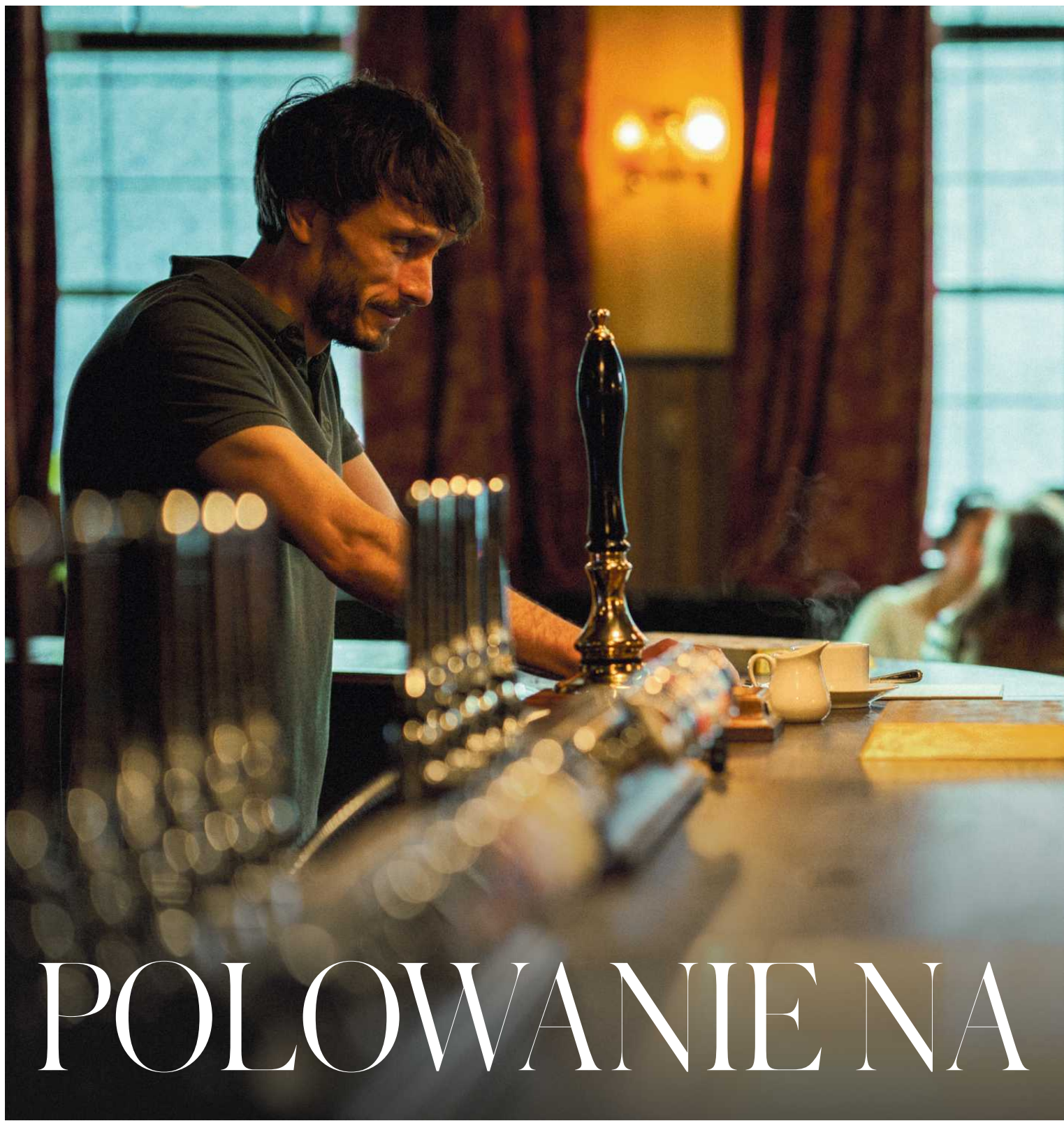
A teraz właściwie nie ma na to szans. Bo oglądając film, czy serial na swoim laptopie, na własnej kanapie, w pewnym sensie wpuszczamy tych bohaterów do domu.

To potężny i często nieuświadomiony mechanizm. Kiedy oglądamy coś na platformach streamingowych, to wywołuje zupełnie inny efekt psychologiczny. Stąd też, między innymi, ich olbrzymia popularność.

Co to za efekt?

– Tak przyswajane treści stają się takim naszym specyficznym domownikiem. A w związku z tym zdecydowanie bardziej bierzemy je do siebie. Czujemy się bliżej bohaterów danej produkcji, w sensie psychologicznym.

W kinie jest wielki ekran, masa ludzi, no a potem jeszcze droga do domu, która pozwala zyskać dystans. W domowym zaciszu możemy sobie pozwolić na całą paletę reakcji emocjonalnych, na które być może nie pozwolilibyśmy sobie w kinie.



POLOWANIE NA



• Donny Dunn (Richard Gadd) i Martha (Jessica Gunning) w serialu Netfliksa „Reniferek”

MARTE

Na tym samym laptopie, czy telefonie komórkowym mamy dostęp do mediów społecznościowych. Od razu możemy sprawdzić, co o tym, co oglądamy sądzą inni. Rozumiem, że jeśli ich emocje są równie silne to nasze będą się jeszcze bardziej „nakręcać”?

– Tak może być. Bo brakuje tej przestrzeni na refleksję. Do tego dochodzi jeszcze jeden niebezpieczny element – poczucie „sprawiedliwej walki”. Jeśli uważam, że „Marta” zrobiła coś strasznego, to mogę pomyśleć, że prześladowanie jej teraz, sprawianie jej przykrości, grożenie jej, jest słuszną zemstą.

A jeśli zaczynam o tym myśleć w ten sposób, to mogą się we mnie ujawnić rzadko manifestowane aspekty osobowości. Weźmy choćby psychotyczność. To jest spektrum i każdy z nas gdzieś się na tej osi znajduje – jeden ma tej cechy niewiele, inny ma jej duże nasilenie. Ale są takie sytuacje, i interakcje w internecie mogą temu sprzyjać, które będą tę cechę ze mnie wydobywać. A wtedy mogę się zachować w sposób okrutny, bezwzględny, krzywdzący, chociaż normalnie bym tego nie zrobił. Bo daję sobie na to moralne przyzwolenie – mam przecież do czynienia z kimś „złym”, więc będę się nad tą osobą znęcał i sprawię, żeby poczuła to, co kiedyś poczuła jej ofiara.

I co mi to da, tak emocjonalnie?

– Poza satysfakcją? Na przykład poczucie sprawczości. Ludzie generalnie chcą się czuć sprawczy. A tu można uzyskać to poczucie w ciągu pięciu, czy dziesięciu mi-

nut. Dodam, że kiedy kilka lat temu badacze analizowali hejterskie wpisy na Twitterze, doszli do wniosku, że zaczęły one lawinowo przyrastać mniej więcej po 2008, 2009 roku, kiedy to upowszechnił się internet mobilny. Cyfrowi szeryfowie dostali do ręki rewolwery, których nie trzeba ładować, ani czyścić i które błyskawicznie wypalały – szybkim komentarzem.

Agresja w internecie się nasila. Czy nie jest przypadkiem tak, że im bardziej świat jest niepewny i chaotyczny, tym bardziej będziemy dążyć, żeby odzyskiwać sprawczość właśnie w taki sposób?

– To ciekawa koncepcja. Na pewno to rozdygotanie rzeczywistości, przede wszystkim medialnej, budzi duży niepokój. I może wywoływać taką kompensacyjną reakcję w poszukiwaniu sprawczości. Wydaje mi się natomiast, że geneza tego jest głębsza, że to zjawisko starsze, niż nowe technolo-

gie. Po prostu, kiedyś nie było takich możliwości.

Kiedyś, te 30, czy 40 lat temu, jak obejrzeliśmy w telewizji jakiś wstrząsający materiał, to mogliśmy co najwyżej pokrzyczeć do telewizora. Ewentualnie z kimś to przegadać. Dziś mamy realne narzędzia, żeby się w tę sprawę włączyć. Stać się elementem danej historii, a my uwielbiamy narrację.

Jedna z ciekawszych dziedzin psychologii, jaką jest psychologia narracyjna pokazuje, że możliwość budowania opowieści o sobie i o świecie to potężne narzędzie. Wszyscy opowiadamy sobie swoje życie. Tu akurat dołączamy do scenariusza, który ktoś już napisał i dla niektórych to może być atrakcyjna propozycja.

Przypomina mi się teraz fantastyczny serial dokumentalny sprzed kilku lat pod tytułem „Odwal się od kotów: polowanie na internetowego mordercę”. Kojarzy pani?

Nie.

Był o tym, jak internetowa społeczność skrzyknęła się, żeby namierzyć amerykańskiego youtubera, dziś byśmy powiedzieli – patostreamera – który opublikował nagranie, jak znęca się nad kotami. Przysłowiowe pół internetu rzuciło się, żeby odkryć jego prawdziwą tożsamość. Ostatecznie ten patostreamer został aresztowany, bo okazało się, że jest zamieszany w poważne przestępstwa kryminalne.

Ale chciałem zwrócić uwagę na to, jak się rozbudowała społeczność przy okazji tych poszukiwań. Powstała masa grup dyskusyjnych, forów. Ludzie się wymieniali informacjami. Ci cyfrowi detektywi znali się z nicków, czasem z imienia i nazwiska. Niektórzy zaprzyjaźniali się ze sobą, odwiedzali w domach. Oczywiście, połączył ich wspólny cel, wydaje się jednak, że ten aspekt fundamentalnej dla każdego człowieka potrzeby przynależności też jakąś rolę tu odegrał.

Podobna sytuacja miała miejsce po szturmie, jaki 6 stycznia 2021 roku przypuścili na Kapitol tysiące zwolenników ustępującego prezydenta USA – Donalda Trumpa. Dzięki internetowej społeczności udało się zidentyfikować, a potem postawić w stan oskarżenia wiele z nich. Ale pomyślałam też, że ludzie często nie tyle integrują się wokół sprawy, a wokół tego, że czują się przez to po prostu lepsi.

– Zdecydowanie. Badania, które przeprowadziły m.in. Karmen Erjavec i Melita Kovačič z Uniwersytetu w Lublanie pokazują, że wielu agresorów internetowych czuje się bardziej moralnymi ludźmi, żołnierzami walczącymi na „nowym froncie”.

No, a jeżeli ktoś się czuje bardziej moralny, to może sobie pozwolić na to, żeby tego cyfrowego „podczłowieka” potraktować, jak chce. Walka z wrogiem zostaje usprawiedliwiona.

Poza tym, wiele badań nad etyką naszego funkcjonowania w internecie pokazuje, że jeśli kontaktujemy się z drugą osobą online, szczególnie wtedy, jeśli siebie nie widzimy, to kompletnie zmienia się nam postrzeganie tej osoby. Staje się ona dla nas jakimś takim cyfrowym bytem, ciągiem znaków. Przystajemy myśleć o niej jako o żywej osobie. I wtedy nie ma hamulców. One się mogą pojawić dopiero wtedy, kiedy zobaczymy jej twarz.

Bo taki kontakt uruchamia empatię.

– Tak nas ukształtowała ewolucja. Polemika na Twitterze, czy na Facebooku jest zupełnie innym rodzajem komunikacji, niż rozmowa twarzą w twarz. Szereg badań pokazuje, że internauta myśli wtedy bardziej egoistycznie, czasem narcystycznie, a czasem wręcz – sadystycznie. A jeśli dodamy te wszystkie elementy do siebie, czyli egoizm, narcyzm i sadyzm, bo i tak się zdarza, to zyskujemy mieszankę wybuchową. Bo jeśli krzywdzenie sprawia mi przyjemność, to nie ma powodu, żebym tego nie robił.

Jest taki słynny artykuł Erin Buckles o trollach internetowych sprzed dziesięciu lat: „Trolls just want to have fun”. Wynika z niego, że wiele trolli trolluje, żeby poprawić sobie humor. Są też z tym skorelowane pewne konkretne cechy osobowości, takie jak sadyzm, psychopatyczność czy makiawelizm. Innymi słowy, takie osoby czerpią przyjemność z dokonywania prowokacji, niekiedy dość okrutnych.

Tyle już napisano o tym, żeby pamiętać, że w internecie po drugiej stronie jest człowiek, a mimo to często nie jesteśmy się w stanie powstrzymać, jakbyśmy tracili kontrolę. Dlaczego?

– Dużo pisał o tym zmarły niedawno nestor psychologii Daniel Kahneman, który wyróżnił dwa systemy myślenia. Pierwszy jest bardziej refleksyjny, racjonalny, powolny. Drugi jest bardziej impulsywny, automatyczny, szybki. On się częściej uruchamia właśnie w komunikacji internetowej. Jak przeczytam, czy zobaczę w internecie coś co mnie wzburzy, to ten system momentalnie mówi mi: „zareaguj, zrób coś!” I zanim ten drugi, spokojniejszy system, zdąży się obudzić, już wyciągamy telefon i coś piszemy.

Internet to środowisko, które w porwach ma 30 lat, jeśli chodzi o takie masowe wykorzystanie. Jest dla nas oczywiste, że mamy te wszystkie aplikacje, konta w różnych portalach, umiemy znakomicie się tym posługiwać. Natomiast z perspektywy umiejętności życia w internecie, jesteśmy absolutnie na początku drogi. W sensie psychologicznym, emocjonalnym.

Pytanie, jak mamy się tego nauczyć, skoro wielkie firmy technologiczne opracowały niezwykle skuteczne mechanizmy utrzymywania naszej uwagi przy ekranach. A robi się to, między innymi, przez permanentne angażowanie naszych emocji. To są potężne siły.

– Faktycznie, po drugiej stronie jest Goliat. A my, jako ten cyfrowy Dawid, mamy stosunkowo niewielkie możliwości. Niemniej jednak jakieś mamy. To nie jest przegrana walka.

Internet zaczyna przypominać świat, w którym krąży coś na kształt wirusa – algorytmy i inne mechanizmy, których nie widać gołym okiem, a które mają na nas wpływ i mogą nas „zainfekować”. W związku z tym czasem powinniśmy zakładać maseczki, czyli stosować metody wyłamywania się z tych różnych oddziaływań. Można na przykład zamienić ekran smartfona na szary. Niektóre smartfony mają już nawet wbudowaną taką opcję, że powiedzmy po godzinie 21.00 dzieje się to samoistnie. Badania pokazują, że różnorodność kolorów jest czymś, co bardzo przyciąga uwagę, więc kiedy smartfon staje się monochromatyczny, od razu robi się mniej atrakcyjny i rzadziej się po niego sięga. Takich prostych sposobów jest więcej.

Jeśli zaczniemy zwracać na to uwagę, rozmawiać o tym, że to co widzimy w sieci jest efektem przemyślanych strategii ze strony cyfrowych korporacji, to mam nadzieję, że u wielu osób uruchomi się trochę taka przekora – „ja już nie chcę być w ten sposób manipulowany, manipulowana”, „nie chcę być efektem oddziaływania jakiś eksperymentalnych programów”. Przecież Facebook po latach przyznał się, że prowadził coś, co w psychologii określa się eksperymentem afektywnym.

Części osób wyświetlano w aktualnościach treści, które miały ich wprowadzić w nastrój głębokiego przygnębienia, smutku. Innym – treści, które miały im ten nastrój podnieść. A następnie sprawdzano, kto chętniej klikał w jakie reklamy.

Prymitywna manipulacja, lecz dla Facebooka z pewnością biznesowo bardzo opłacalna.

A ja bym dodała – bezprawna.

– Oczywiście. Tik-tok z kolei jest zaprojektowany tak, że tam wyświetlanie filmików właściwie się nie kończy. Nie sposób tego

przerwać. A młodym ludziom, u których ta samokontrola jest mniejsza, już w ogóle bardzo trudno to zrobić. I potem kończą z telefonem w ręku na wiele godzin.

Nie przeceniałabym tej samokontroli u dorosłych. Ja mam prawie 50 lat i też zdarza mi się przeciągać ten czas wbrew własnym chęciom.

– Mnie również. Chociaż zajmuję się tym zawodowo i wiem, gdzie te pułapki czyhają.

Co tylko świadczy o tym, jak podstępne są te manipulacje.

– Wielkie cyfrowe korporacje dały nam narzędzia do niekończącej się prokrastynacji i się nią żywią.

Wystarczy sięgnąć po smartfona, czy laptopa, i można przepaść w sieci na wiele godzin. A jakby ktoś nas potem spyta, co tam robiliśmy tyle czasu to trudno na to odpowiedzieć. Nazywam to „cyberdryfowaniem”.

Można też odpowiedzieć tak: oburzaliśmy się, złościliśmy się, obrażaliśmy się.

– Bo, tak ewolucyjnie, lubimy doświadczać emocji. Czasem też silnie negatywnych. Stąd, między innymi, popularność horrorów. Ale proszę zobaczyć: w średniowieczu palenie na stosie to było widowisko. Ludzie gromadzili się, żeby obejrzeć jak, najczęściej jakaś nieszczęsna kobieta, jest poddawana niewyobrażalnym torturom, a potem umiera. Dziś płoną cyfrowe stosy. I jedni je podpalają, a inni się temu przyglądają – z bezpiecznej perspektywy swojego smartfona. Dla niektórych internautów to po prostu rozrywka. Nie przez przypadek, patostreamy stały się tak popularne.

A wracając do demonstrowania swojej moralnej wyższości w internecie, czy okazywania oburzenia jakąś sprawą – nie wspomniałem o jeszcze jednej ważnej psychologicznej funkcji, jaką ono pełni, czyli o autoafirmacji. Znaczna większość ludzi chce myśleć o sobie dobrze, więc cały czas, podświadomie, szukają argumentów, które by ich w tym utwierdzały. Okazywanie moralnej wyższości ma sprawić, że będzie mi ze sobą lepiej.

To zjawisko też się w sieci nasila. Czy to oznacza, że tak naprawdę samoocena ludzi jest coraz bardziej niepewna, skoro szukają sposobów, żeby okazać swoją moralną wyższość?

– Wpływ mediów społecznościowych na samoocenę użytkowników jest w zdecydowanej większości negatywny. Bo ludzie się porównują, bo odnoszą swoje życie do tego, co pokazują inni, i tak dalej. Można powiedzieć, że nowe technologie na starcie sprawiają, że gorzej o sobie myślimy. A jednocześnie oferują nam niezbyt korzystne, ale jednak jakieś sposoby na to, żeby tę samoocenę odbudowywać.

Czyli na Instagramie mogę poczuć się złe, bo inni odnoszą sukcesy, a ja nie. A jednocześnie, na tym samym Instagramie, mogę się wdać w dyskusję, w której okażę swoją moralną wyższość i od razu mi się robi lepiej?

– Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że w niektórych wielkich cyberkorporacjach dokładnie w ten sposób myślą – z jednej strony, obniżymy użytkownikom samoocenę, z czego oni oczywiście nie będą sobie zdawać sprawy, a z drugiej, powiemy im – zobaczcie, a tu nasza aplikacja oferuje różne triki, które pozwolą wam tę samoocenę podnieść.

Jak w fast-foodowej restauracji – czytałem, że przy wejściu rozpyła się perfumy o zapachu świeżych frytek i świeżego mięsa, a te prawdziwe zapachy z kuchni wentylowane są przez zaplecze, żeby nikt ich nie poczuł. Dokładnie w czymś takim żyjemy. W informacyjnym „fast-foodzie”. W epoce „śmięciowych” wiadomości. Ale i tak je konsumujemy, i tak się z nimi zapoznajemy, co oznacza, że przeznaczamy na to część naszej psychicznej energii.

Niemalą.

A potem nie mamy jej na inne aktywności.

Badania nad zjawiskiem stresu informacyjnego pokazują, że jeżeli tych informacji jest zbyt dużo, to łatwiej się denerwujemy, na przykład. Bo nie starcza nam już zasobów na samokontrolę, czy samoregulację. Konsekwencje tego, w kontekście tego, o czym rozmawiamy, są dość oczywiste. Im bardziej jestem przeciążony informacyjnie, tym trudniej będzie mi wyhamować, jak zobaczę w sieci coś, co mnie zdenerwuje.

Na marginesie, kiedy jestem pytany na warsztatach o dezinformacji, które prowadzę – jak ją odróżnić od faktów? Jakie kryteria przyjąć? – odpowiadam: przede wszystkim przyjrzyjcie się swoim emocjom. Bo jeśli coś was bardzo intensywnie emocjonalnie angażuje, to trzeba się dwa razy zastanowić, czy nie jest to przypadkiem próba dezinformacji, która wykorzystuje mechanizm silnego pobudzenia.

Hiszpański socjolog Manuel Castells, twierdzi, że internet trwale zmienia nasze umysły i sposób funkcjonowania. Wydaje mi się jednak, że wiele osób wciąż myśli: w sieci mogą sobie pozwolić na więcej, ale poza nią jestem tą osobą, co zawsze.

– Nie tylko Castells, również m.in. badaczka relacji Sherry Turkle, zwraca uwagę od lat, że to nie jest tak, że w sieci jesteśmy kimś innym, niż poza nią. Jeśli w internecie pozwalam sobie na okropne, agresywne zachowania, to nie ma możliwości, żeby to zwrótnie nie wpływało na to, jaki jestem. To mnie po prostu zmienia.

Zmarły nie tak dawno wybitny psycholog Albert Bandura, bardzo to akcentował w swojej teorii społecznego uczenia się. Twierdził, że rozwój człowieka determinują trzy elementy- osobowość, środowisko i zachowanie – które cały czas wzajemnie na siebie oddziałują. A to oznacza, że mogę zmienić swoją osobowość przez to, jak się będę zachowywał. Inny psycholog Daryl Bem wykazał z kolei, że kiedy nie wiemy, jak się zachować, nie mamy żadnych wskazówek, co powinniśmy zrobić, ale jakoś się jednak zachowamy, to zaczynamy myśleć o sobie zgodnie z tym, jak się zachowaliśmy. On to nazwał „autopercepcją”.

Wszystko, co zrobiliśmy w internecie do nas wróci, w takim sensie osobowościowym. Nie uciekniemy od tego.

Czy są już jakieś badania, które pokazują jak pewne zachowania typowe dla sieci przenoszą się do rzeczywistości? Mam takie obserwacje, że łatwiej nam dziś zerwać relacje z drugim człowiekiem, bo nauczyliśmy się to robić w internecie – blokując kogoś, uprawiając tzw. ghosting?

– Tam wystarczy kliknąć. Jeżeli pozwalam sobie na takie zachowanie, to w konsekwencji umniejszam znaczenie tego drugiego człowieka. To już coś we mnie zmienia. Kiedyś trudno byłoby mi sobie wyobrazić, że mogę zniknąć z cudzego życia bez słowa, a teraz myślę – a czemu w sumie nie?

Bo nie chcę czuć dyskomfortu, nieprzyjemnych emocji, i tak dalej. Emocje tej drugiej osoby i jej komfort nie mają już takiego znaczenia. I tu wraca ten indywidualizm, czy też narcystyczny egoizm, który internet w wielu przypadkach pompuje.

Są też takie słynne badania nad Tinderem sprzed pandemii, które pokazują, jak jego użytkownicy zaczynają postrzegać innych. Aplikacje randkowe takie, jak Tinder podpowiadają nam potencjalne znajomości na podstawie ściśle określonych kryteriów. Okazuje się, że im ktoś intensywniej z tych aplikacji korzysta tym bardziej zaczyna myśleć o innych w kategoriach produktu, który musi spełniać konkretne wymagania, czyli traktuje innych w sposób przedmiotowy.

Osoby, które prowadzą profesjonalne konta w mediach społecznościowych coraz częściej mówią mi, że też się czują tak traktowane przez swoich obserwatorów – jak dostarczyciele „kontentu”. Jeśli napiszą coś nie po ich myśli, są od razu atakowane albo followersi przestają obserwować ich konta.

– Bo w sieci głównie mamy wymagania. Oczekujemy, że dany „produkt” będzie dokładnie taki, jaki chcemy.

Przypomina mi to przypadek słynnej autorki podcastów z gatunku „true crime”. Kiedy po wydaniu kilkudziesięciu świetnych odcinków przez kolejne trzy miesiące niczego nie opublikowała, społeczność jej fanów miała o to do niej ogromne pre-

Oglądając film, czy serial na swoim laptopie, na własnej kanapie, wpuszczamy tych bohaterów do domu.

tensje. W różnych grupach i na forach ją za to „grillowano”. Podcasterka miała problemy zdrowotne, ale równie dobrze mogło jej się nie chcieć, prawda? Miała prawo zrobić przerwę. Jej fani byli jednak innego zdania, bo „my tu przecież czekamy!”. To też jest przejaw takiego uprzedmiotowienia. Taki twórca nie jest postrzegany jako człowiek tylko jako dostawca przyjemności.

W drugą stronę też czasem tak to działa. Część twórców blokuje obserwującym dostęp do konta nie tylko dlatego, że są agresywni, ale dlatego, że są po prostu krytyczni.

– To jest też kwestia tej impulsywności, którą internet prowokuje. Dobrze to widać na przykład na platformie „X”, gdzie różni celebryci, politycy wychodzą z założenia, że jak użytkownikom nie podoba się to, co piszą, to przecież mogą pójść gdzie indziej. I nie ma miejsca na dyskusję. Nawet, jeśli ktoś używa racjonalnych argumentów.

Wiadomo, że idziemy w stronę coraz większej polaryzacji. I to jest ogromne wyzwanie – co zrobić, żeby w internecie nie było aż tak dużo emocjonalnego, impulsywnego przerywania się różnymi opiniami, żeby te wymiany były bardziej merytoryczne, refleksyjne. Nie wiem, czy to jest w ogóle możliwe.

Jeśli nie, to czeka nas chyba całkowity rozpad wspólnotowości.

– Może – niemożliwe – to złe słowo... Natomiast odkąd zajmuję się psychologią nowych technologii, wraca do mnie, jak olbrzymie braki mamy w systemie edukacji. Wiem, zabrzmi to jak truizm, ale młodzi ludzie są kompletnie nieprzygotowani do zdrowego życia w internecie. Oczywiście, są różne fundacje, stowarzyszenia, które edukują na temat przemocy w internecie, czy higieny cyfrowej, świetnie, że to robią, ale to wciąż za mało.

Czego brakuje pana zdaniem?

– Rozwoju kompetencji w zakresie empatii, czy też inteligencji emocjonalnej. Uczenia tego, że po drugiej stronie ekranu też jest

istota żyjąca, czująca. Wydaje się to oczywiste. Prawda jest jednak taka, że wciąż bardzo wiele osób, w sposób nieuświadomiony, nie przyjmuje tego do wiadomości. Internet to dla nich cyfrowe igrzyska.

Przydałaby się też nauka takich podstawowych kompetencji psychologicznych, jak rozpoznawanie i akceptowanie własnych emocji, ćwiczenia z samoregulacji.

Warto też chyba ćwiczyć się w tym, że nie każdą emocję należy od razu wyrażać.

– Właśnie. Jak ktoś jeździ samochodem po mieście, to pewnie nie raz się zdenerwuje na innych kierowców. A jednak nie stajemy na światłach awaryjnych, nie bierzemy kija bejsbolowego i nie zaczynamy wybijać innym szyb, prawda? A w internecie w podobnych sytuacjach często od razu po ten cyfrowy kij sięgamy, nawet się nie zastanawiając, bo on nic nie waży. Tyle, co smartfon.

A propos odzyskiwania człowieczeństwa w mediach społecznościowych, pomyślałam o znanej brytyjskiej profesor Mary Beard, która była w sieci wielokrotnie atakowana – a to za wygląd, a to za pozytywny komentarz na

temat imigrantów. Jednego ze swoich hejterów ujawniła kiedyś z imienia i nazwiska. Zawstydzony zaprosił ją na obiad, nawiązali relacje. Skończyło się tym, że pani profesor pisała mu listy rekomendacyjne na uczelnię. To pokazuje, że naprawdę nie wiemy, kto jest po drugiej stronie i, że dopiero bezpośrednie spotkanie może nam coś więcej o tym powiedzieć.

– Dlatego dla mnie jedną z takich mądrzejszych inicjatyw, która odbywa się w różnych polskich miastach, jest „Żywa Biblioteka”. To spotkania, na których zamiast książek można sobie „wypożyczyć” człowieka i z nim porozmawiać. Zwykle są to ludzie, którzy z różnych względów są stereotypizowani – osoby o innej orientacji seksualnej, z mniejszości etnicznych, z niepełnosprawnościami. I te rozmowy są fantastyczne dla obu stron, bo zmienia się perspektywa, czasem o 180 stopni.

Choćbyśmy mieli nie wiem jak rozwiniętą nową technologię, sztuczną inteligencję i tak dalej, nie unikniemy tego, że ludzkość rozwija się najbardziej wtedy, kiedy patrzy sobie w oczy. ●



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

*Jakub Kuś

● psycholog z Uniwersytetu SWPS. Zajmuje się psychologią nowych technologii, ze szczególnym uwzględnieniem badań nad rozproszeniem odpowiedzialności w internecie oraz zniekształceniami w odbiorze cyfrowych treści. Interesuje go również zjawisko agresji internetowej oraz wpływ nowych technologii na moralność

MUZEUM ZWYKŁYCH LUDZI

– Dziewiętnastowieczny tytuł jest odzwierciedleniem ówczesnego kolonialnego myślenia. Ale nie możemy wymazać go z wystawy. To byłoby tuszowanie historii dyskryminacji – mówi Agnieszka Rosales Rodriguez, pełniąca obowiązki dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie.

Z **AGNIESZKĄ ROSALES RODRÍGUEZ**
P.O. DYREKTORA MUZEUM
NARODOWEGO W WARSZAWIE
ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

AGNIESZKA ROSALES RODRÍGUEZ:
Chce pan rozmawiać u mnie w gabinecie czy na galerii?

WOJCIECH SZOT: Na galerii chyba przyjemniej.
– Zdecydowanie. To może chodźmy do Ferdynanda Ruszczyca? Do jego „Ziemi”, niezwykłego obrazu, który prezentujemy w Galerii Sztuki XIX wieku.

Jakoś nigdy się do niego nie przekonałem.
– Ja przeciwnie. Podziwiam go nie tylko jako pejzażystę. Cenię Ruszczyca za intensywność widzenia, to w jaki sposób kształtuje malarską materię, ale też za jego społeczną aktywność, choć trochę szkoda, że porzucił malarstwo dla grafiki użytkowej. „Ziemia” to obraz tylko pozornie niepasujący do arkadyjskiego świata, wydający się jego przeciwnością, opowieścią o wieku żelaza, gdy człowiek w pocie czoła i znoju pracuje, by ziemia zaowocowała. Ale światło, które dominuje w tym obrazie, energiczny gest poganiacza wołów i sama tematyka – orka – kojarzą się z cyklicznością życia. Ziemi i człowieka. Z mitem o Demeter i Persefonie. Ze zmartwychwstaniem. Można w tym obrazie dopatrywać się optymistycznego przesłania. Że

dzięki pracy, wysiłkowi, jesteśmy w stanie sprawić, że świat wokół nas się odrodzi. Na „Arkadii”, wystawie, którą niedawno zamknęliśmy, widzowie mogli znaleźć dwa dzieła Ruszczyca – obok „Ziemi” obraz przedstawiający piękny, stary modrzewiowy dwór. Unosi się nad nim ciężka masa chmur. W tej płynnej, gęstej, niemalże namacalnej substancji wszystko jest tak naładowane emocjami, że krajobraz wykracza już poza realistyczną formułę. Jest w tym jakiś intensywny, coś bliskiego twórczości symbolistów i ekspresjonistów.

Zawsze myślałem, że to realista.
– Ruszczycem kierowała potrzeba myślenia symbolicznego. W zbiorach Litewskiego Muzeum Sztuki w Wilnie znajduje się niezwykły jego obraz, „Nec megritur”. Przedstawia fantastyczną wizję – gwiazdzisty nieboskłon, rozszalałe morze i jakiś magiczny statek, który płynie w tę wielką i tajemniczą przestrzeń. Uwielbiam Ruszczyca.

Przekonuję się. Ale Jacek Malczewski, którego w muzeum jest sporo dzieł, jest mi bliższy.
– To jest kopalnia myśli, kierunków, prowokacji. Malczewski wydaje mi się niewyczerpany i do końca nieodgadniony.

W punkcie wyjścia mam przed sobą pozytywistyczną pracę. Muzeum Narodowe w Warszawie boryka się z wielkimi problemami, z których najważniejszy jest brak przestrzeni. Higiena pracy w muzeum pozostawia wiele do życzenia. Nie myślę tylko o kustoszach i kuratorach, ale też o rzeszach innych pracowników. Istotę muzeum stanowi konserwacja i badanie dzieł sztuki. Konserwatorzy walczą z nieuchronnym: starzeniem się dzieł. To proces, który nigdy się nie skończy. Zawsze trzeba będzie naprawiać, badać, sprawdzać stan zachowania. Sam gmach muzeum wymaga rewitalizacji i modernizacji. Po odzyskaniu drugiej części, którą dziś zajmuje Muzeum Wojska Polskiego, trzeba będzie stworzyć muzeum na nowo, przemyśleć funkcjonalność budynku. Potem będzie można przejść do projektowania jego miejsca na mapie Polski, ale przede wszystkim Europy i świata. Mając nowe możliwości lokalowe, zyskamy przestrzeń choćby na wystawy czasowe. Teraz pracujemy w ciasnocie, dzieła w magazynach są stłoczone. Nie mamy jak pokazywać sztuki współczesnej, zwłaszcza monumentalnej, brakuje galerii rzemiosła, sztuki pozaeuropejskiej, monet i medali.

• **Dr hab. Agnieszka Rosales Rodriguez**
– pełni obowiązki dyrektorki Muzeum Narodowego w Warszawie, odkąd w lutym 2024 r. minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz odwołał dotychczasowego dyrektora Łukasza Gawła. Specjalizuje się w sztuce polskiej XIX i początku XX w.

Na drugim planie „Św. Franciszek” Jacka Malczewskiego

FOT. MACIEK JAŻWIECKI / AGENCJA
WYBORCZA.PL



Abakanów nie byłoby tu gdzie powiesić.

– Czasem już na starcie jesteśmy na straconej pozycji. O zbiorach jednak mówi się częściej niż o ludziach. A to przecież oni się nimi opiekują.

Muzeum Narodowe to kilkuset specjalistów z bardzo różnych dziedzin. Potrzebujemy ludzi wyspecjalizowanych w wąskich dziedzinach, pracowników konserwacji, laboratorów. W samym Gabinecie Monet i Medali mamy około 250 tysięcy obiektów, od starożytności po czasy najnowsze.

Do tego dochodzi komunikacja wewnątrz gmachu. Gdy niedawno mieliśmy na raz trzy wystawy czasowe, personel części recepcyjnej, szatni, holu, informatorium i kasy mocno to odczuł. Publiczność dopisała, ale przestrzeń i zespół się nie powiększyły.

Momentami wyglądało to jak przedsionek piekła.

– Kolejka do kasy, do szatni, do toalet. Sfrustrowana publiczność ma pretensje do strażników, pań kasujących bilety, szatniarek. To konfliktogenne. Żeby to wszystko poprawić potrzeba inwestycji. Po prostu – pieniędzy i projektu.

My o szatni i pieniądzach, a tu taki ładny Malczewski, „Dzieciństwo – Jacek nad stawem w Wielgiem”. Wspaniały obraz, medytacyjny, pełen melancholii.

Na to nie będzie miała pani teraz czasu.

– To prawda, ale nawet gdy człowiek musi zajmować się awansami, traktorami, kosiarzami i wieloma podobnymi sprawami, to potrzebuje takiej sfery. Jeśli nie miałabym tego horyzontu, nie podjęłabym się prowadzenia muzeum, bo byłoby mi szkoda czasu. Czuję się spełnioną kuratorką, uwielbiam prowadzić zajęcia ze studentami na uniwersytecie, który jest dla mnie terenem wolności myśli. To pozwala mi wyobrazić sobie, do jakiego muzeum dążę. W sferze faktycznej, jak i symbolicznej.

Jakiego?

– Do muzeum, które jest przestrzenią społecznych dyskusji, rozmowy, polemik. Sztuka pozwala nam nie tylko różnić się w tym, jak ją przeżywamy, ale też jak dzięki niej demonstrujemy własny światopogląd. Nie jestem kierownikiem inwestycji, lecz przede wszystkim historykiem sztuki. I dla mnie te wszystkie techniczne usprawnienia mają służyć sztuce i ludziom.

Jesteśmy w Galerii Sztuki XIX wieku. To sztuka, którą chyba dość dobrze znamy. Nobliwa czy prowokacyjna?

– Jedno i drugie. Z jednej strony możemy podążać ścieżką polskiej martyrologii, opowieści o konsolidacji narodu, co wtedy było bardzo ważne, a z drugiej strony obserwować jak ta sztuka wpływa na szerokie wroty kosmopolityzmu, jak korzysta z powszechnych w tej strefie świata mód, konwencji, problemów.

Henryk Siemiradzki i jego gigantyczne dzieło o podwójnym tytule – „Dirce chrześcijańska” i „Pochodnie Nerona” to efekt zainteresowania historią chrześcijaństwa czasów cesarstwa rzymskiego. Spektakularna wizja, w której jest miejsca na makabrę, połączenie przemocy z seksualnością. To, co wciąż wzbudza kontrowersje, jest obecne w sztuce od setek lat.

Proszę spojrzeć na ten obraz z dzisiejszej perspektywy. Naga męczennica, wyglądająca jak nieskazitelna modelka, obserwowana przez tłum mężczyzn. Mamy tu do czynienia nie tylko z umoralniającym napomnieniem, lekcją, ale też przekazem stworzonym na potrzeby ówczesnej widowni, społeczeństwa żądnego sensacji.

To był skandal?

– Nie, bo to dzieło doskonale wpisujące się w ramy ówczesnych nurtów, zwanych akademizmem. Powstał pod koniec XIX w., kiedy ten sposób malowania odchodził w przeszłość, więc tym bardziej nie tu skandalicznego. Przyzwolenie na nagość, zwłaszcza pod historycznym, mitologicznym czy orientalizującym kostiumem, było



• **„Ziemia” Ferdynanda Ruszczycy (1870-1936) była pierwszy raz pokazywana w Petersburgu w 1899 r., a kilka miesięcy później w warszawskiej Zachęcie – ta wystawa stała się wielkim sukcesem artysty**

FOT. MNW

wtedy na porządku dziennym w takim salonowym malarstwie.

W sali, gdzie wisi Siemiradzki, skandali nie mamy.

Na pewno? Obraz Anny Bilińskiej „Murzynka” jednak budzi obecnie emocje. To chyba jeden z najtrudniejszych dla Muzeum Narodowego obrazów.

– Po części. W XIX wieku oczywiście nie było skandalem namalowanie nagiej, czarnoskórej modelki z odsłoniętą piersią. Ta dziewczyna reprezentuje tzw. typ etniczny. Dlatego Anna Bilińska, znakomita malarka wykształcona w Académie Julian w Paryżu, a potem w niej zatrudniona, nie zatytułowała obrazu imieniem tej dziewczyny.

Modelka, którą oglądamy na obrazie, występowała na szkicach i obrazach innych twórczyń. W notatkach wspomina o niej także Bilińska. Co ciekawe, udało mi się ostatnio odkryć imię tej dziewczyny, więc można byłoby jej przywrócić podmiotowość. Wedle moich ustaleń pochodziła z Senegalu, francuskiej kolonii, miała na imię Marte i mieszkała w Paryżu. Skąd to wiem? W jednym z XIX-wiecznych podręczników modeli rozpoznałam graficzny wizerunek tej samej kobiety, troszkę może starszej, opisano także jej historię.

Marte przyłynęła do Francji z jakimś francuskim kapitanem. Początkowo pracowała w sklepiu w Tuluzie, a następnie przeniosła się do Paryża i tam rozpoczęła karierę jako modelka w akademiach artystycznych kształcących kobiety.

Obraz na wystawie opatrzony jest dość obszernym wyjaśnieniem kuratorskim.

– Rozumiemy, że dzisiaj ten XIX-wieczny tytuł może urazić czyjeś uczucia. Jest on oczywiście odzwierciedleniem ówczesnego kolonialnego myślenia. Ale nie możemy zapomnieć o nim, wymazać go z wystawy. To byłoby tuszowanie historii dyskryminacji. Oryginalny tytuł występuje w katalogach, w zapiskach artystki.

W tej samej sali stoi rzeźba Jean-Baptiste’a Carpeaux, jednego z czołowych rzeźbiarzy czasów II Cesarstwa we Francji. To „Personifikacja Afryki”, kobieta z nagimi piersiami. Wydaje się, że reprezentuje to samo kolonialne myślenie, ale na postumencie jest napis: „Dlaczego rodzić się zniewolonym”. To rzeźba-manifest abolicjonistycznego myślenia. Mamy tu wyrazisty, polityczny przekaz.

W przeciwieństwie do Carpeaux Bilińska nie malowała w poczuciu społecznego zadania. Jej obraz to efekt ćwiczenia. To, co tym dziełem udało się jednak artystce wydobyc, to uczucia bohaterki. Wydaje mi się, że

dzięki temu jakoś ochroniła tę dziewczynę przed uprzedmiotowieniem. Ona jest przecież pokazana z odsłoniętą piersią jak niewolnica, jak towar. Ale w twarzy dostrzegamy... może strach? Jakby Bilińska chciała nam pokazać, że ona jest wolna, ale też zniewolona w roli modelki?

Wiele osób źle reaguje na uwagę, że w Polsce też mamy do czynienia z kolonializmem. Ale przecież przyglądając się tylko obrazom zebranym w tej sali, widzimy kilka przykładów kolonialnego myślenia.

– To była europejska tendencja, wręcz moda. Rzeczywiście nie musimy się nigdzie ruszać, by oglądać przykłady orientalistycznego myślenia. Franciszek Żmurko i jego „Z rozkazu padyszacha” to obraz powielający kalki kolonialnego i paternalistycznego myślenia na temat Wschodu, jako egzotyizmu przesiąkniętego erotyzmem, czasem też infantylnością. W XIX wieku panowało przekonanie, że na „baśniowym” Wschodzie przechowała się żywa starożytność, której obserwowanie pozwoli nam dotrzeć do dzieciństwa ludzkości. W tym układzie Europejczycy reprezentują oczywiście dorosłych, oświeconych ludzi. Dzisiaj wszystkie te mity są już zdekonstruowane.

To teraz w którym kierunku idziemy? Do „Babiego lata” czy już Matejko?

Szukamy skandalu, to chyba do Chelmońskiego?

– Ale przecież Matejko to jeden z najbardziej kontrowersyjnych artystów.

Dzisiaj na pewno. Wielu ma go dość.

– Ale też w swoich czasach wzbudzał skrajne emocje. To artysta podręcznikowy, słabo rozumiany przez współczesność. Jego dzieła są niezwykle trudne i wymagające. Na epizody z historii Polski nakłada własną wizję sztuki, filozofii historii. I te wizje, dydaktyczne i moralizujące, wynikają z pojmowania sztuki jako posłannictwa.

Matejkę cechują zamiłowanie do wielkich formatów, kompozycji, w których tłoczą się postaci, panuje „horror vacui” – strach przed pustką. W jego dziełach mieszają się postaci rzeczywiste i fantastyczne, wyjęte z porządku chronologii w imię wychowawczej koncepcji historii. Dobrze jest wiedzieć, że to nie zawsze się podobало.

Pierwsze europejskie sukcesy Matejko odniósł w latach 60. XIX wieku. Ich miarą jest, chociażby złoty medal na wystawie powszechnej w Paryżu w 1867 roku za „Rejtana – Upadek Polski”, obraz znajdujący się obecnie na Zamku Królewskim w Warszawie. Polskie elity próbowały nie

dopuszczać do ekspozycji tego dzieła na światowej wystawie. Ono, podobnie jak Stańczyk wiszący w naszej galerii, ma krytyczny, rozliczeniowy charakter. To w zasadzie oskarżenie polskich elit o zaprzędanie Polski, zdradę narodową. Ówczesna krytyka pisała, że Matejko eksploatuje skandal narodowy dla własnej sławy. Józef Ignacy Kraszewski grzmiał, że „to jest piękny obraz, a zły uczynek” i dodawał: choć „Policzkować trupa matki się nie godzi”. Tą matką jest oczywiście ojczyzna.

Malując Stańczyka, Matejko miał 24 lata, a na swoich barkach już niósł ten ciężar spraw narodowych. Tej misji pozostał wierny do końca życia. Był zaangażowany w inwentaryzację i konserwację zabytków. To był społecznik.

Stańczyk zawsze robił na mnie wrażenie. To autoportret?

– Tak. Matejko nadaje własne rysy słynnemu błaznowi króla Zygmunta Starego. Dlaczego? To nieoczywiste. Oryginalny tytuł tego dzieła to „Stańczyk, błazen po odebraniu wieści o wzięciu Smoleńska przez Moskali w czasie balu na dworze królowej Bony r.1533”. Tylko że Smoleńsk został utracony w 1514 roku, gdy żoną Zygmunta Starego była Barbara Ząpolna. Nie zgadza się z tytułem również to, co widzimy. Na rozrzuconych na stole kartach znajdujemy łacińską nazwę „Samogitia”, czyli „Żmudź” i datę 1533. Zatem jest to łamigłówka.

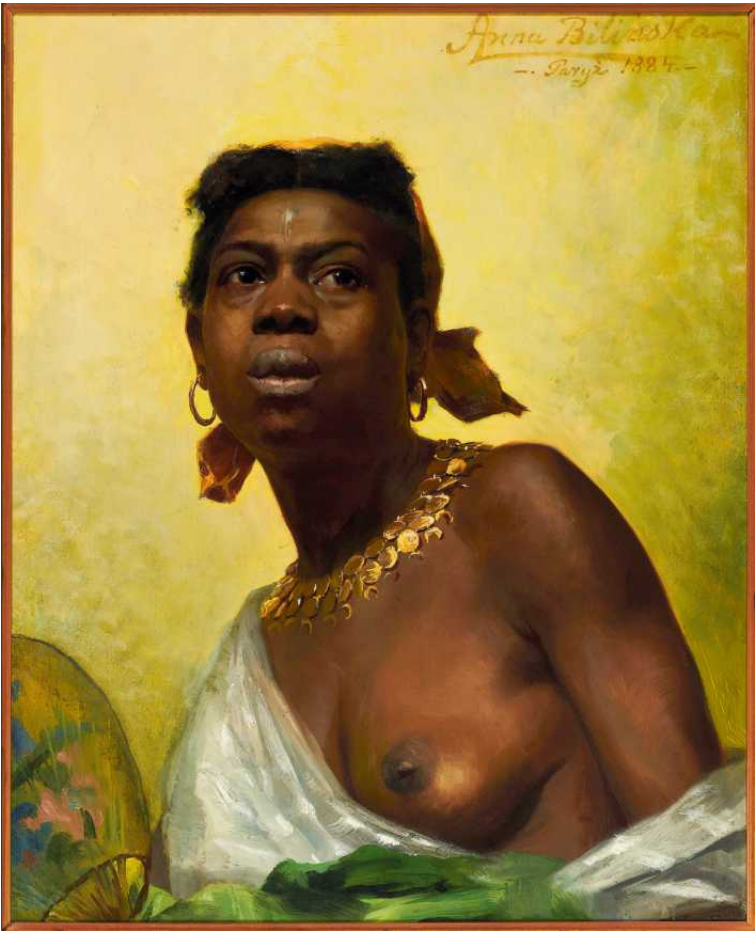
Badacze przypuszczają, że być może chodzi o nieudaną próbę mobilizacji szlachty na Żmudzi w celu odzyskania Smoleńska. Tym samym obraz staje się krytyką szlachty, która nie dostrzegła tej szansy. A to oczywiście świadczy o słabości Rzeczypospolitej. Okazuje się, że nie tylko Stańczyk-błazen, ale i sam Matejko jest prorokiem przewidującym przyszłe klęski, kimś głęboko rozumiejącym procesy historyczne.

Dla Matejki momentem szczególnym był upadek powstania styczniowego. Kolejna klęska narodowa. Co prawda malarz jest w Krakowie, ale chce, żeby jego sztuka oddziaływała na cały naród. Te zawiedzione nadzieje, konfiskaty, zyski, sprawiły, że krytyczną sztukę Matejki odbierano jako rozdrapywanie narodowych ran.

Dotknęła go krytyka?

– Myślę, że tak. Po skandalu z „Rejtanem” namalował „Wyrok na Matejkę”, poczuł się bowiem urażony tym, że nie zrozumiano jego intencji. Ostatecznie zwrócił się ku chwalebnym momentom polskiej historii, budowania narodowej mitologii.

W tej samej sali co „Stańczyk” i „Bitwa pod Grunwaldem” wisi autoportret artysty



• **Agnieszka Rosales Rodríguez odkryła, że „Murzynka” Anny Bilińskiej-Bohdanowiczowej (1854-1893) przedstawia modelkę o imieniu Marte, która w Paryżu pozowała studentkom akademii artystycznych**
FOT. MNW

• **„Portret rabina” Maurycego Gottlieba (1856-1879), ucznia Jana Matejki**
FOT. MNW

namalowany pod koniec życia. Widzimy na nim sędziwego starca, zmęczonego, spracowanego. A przecież miał wtedy niewiele ponad 50 lat. Pod koniec życia Matejko był bardzo sfrustrowany. Długi czas walczył o to, by nie burzyć kościoła św. Ducha w Krakowie. Niestety jego starania spełzły na niczym. Rozżalony rzekł się honorowego obywatelstwa miasta.

Matejko był człowiekiem zaangażowanym nie tylko w sprawę narodową, malarstwo w służbie cementowania wspólnoty narodowej, ale też w kwestie lokalne. Był też wychowawcą kolejnej generacji wielkich mistrzów, którzy co prawda realizowali jego testament, ale znajdując oryginalną formułę dla swojej sztuki. Wśród nich są m.in. Stanisław Wyspiański, Jacek Malczewski i Józef Mehoffer. Zasługi Matejki jako pedagoga są nieocenione.

Stoimy teraz przy „Bitwie pod Grunwaldem”. Czy to jest serce muzeum?

– Nie, choć rozumiem, że można odnieść takie wrażenie, bo jest to najbardziej rozpoznawalny obraz i najczęściej odwiedzany. Jego rozmiar i rozmach kompozycyjny wymuszają na muzeum taką aranżację przestrzeni.

Postanowiliśmy jednak zadziałać w tej przestrzeni i zestawić Matejkę z twórczością jego ucznia, wybitnego, młodo zmarłego Maurycego Gottlieba. Gottlieb był Żydem, urażonym antysemicką wypowiedzią mistrza w przemówieniu, w którym pouczał, że sztuka nie jest handlową spekulacją.



Co nam mówi to zestawienie?

– Że istnieją różne tradycje w obrębie tego, co nazywamy Polską. Że nie da się sprowadzić jej do jednej grupy etnicznej, jednej religii. Wielka niegdyś Rzeczpospolita była „obojga narodów” tylko z nazwy. W jej granicach gromadziły się różne narody, kultury, języki, obyczaje, tradycje i historie.

Gottlieb doskonale to pokazuje, zwłaszcza że to malarstwo również historyczne, ale w kameralnej skali. Warto spojrzeć na niewielkich rozmiarów scenę przedstawiającą Natana i sultana. To był cykl szkiców do „Natana mędrca” niemieckiego dramaturpisarza Gottholda Ephraima Lessinga. Spotkanie tych dwóch bohaterów: sulta-

na Saladyna i cenionego kupca Natana, jest epizodem z przesłaniem ekumenicznym mówiącym o tolerancji religijnej i dialogu różnych religii i kultur.

Dzisiaj widzimy XIX wiek jako moment kształtowania się homogenicznej wi- zji polskości.

– Rzeczywiście warstwy uprzywilejowane miały wtedy olbrzymi wpływ na to, jak dzisiaj siebie widzimy. Od kilku lat przewartościowujemy co prawda ten szlachecko-rycerski i ziemiański model polskiej kultury, ale musimy pamiętać, że procesy, do których się odnosimy, uruchomili właśnie ludzie tacy jak Matejko.

Anglosaska myśl nazywa to „wymyślaniem tradycji”, czyli konstruowaniem nowych symboli i mitów, które będą spoiwem nowej, już zdemokratyzowanej wspólnoty.

Niedawno „The Economist” pisał, że serial „The Crown” to – cytując dosłownie – „nonsens”, ale taki nonsens, który, czy tego chcemy, czy nie, wpływa na nasze wyobrażenia o brytyjskiej historii.

– Zawsze ktoś nam historię opowiada, kształtuje narrację w celach dydaktycznych, politycznych, społecznych. Obraz wsi, jaki oglądamy na obrazach, w twórczości wielu twórców z XIX wieku jest daleki od prawdy o prawdziwych problemach, ucisku. Ale już na przełomie stuleci mamy do czynienia z próbami przełamania, rozbrajania tych mitów. Robi to choćby Wyspiański w „Weselu” – dziedzic Matejki obnaża ideę solidaryzmu narodowego, pokazuje niemoc, marazm, to ciągle majaczenie o wolności przy jednoczesnym braku sprawczości. Z drugiej strony Wyspiański wspaniale żongluje tymi wszystkimi symbolami narodowymi, jeszcze osadzonymi głęboko w literaturze.

Sienkiewicz właściwie robi to samo. Z jednej strony pokazuje skłócone elity i rozpad kraju, a z drugiej – buduje nowy mit.

– Trzeba zdekonstruować, by konstruować coś nowego. Tak postępują wszyscy. Rolą muzeum jest uczenie krytycznego widzenia i zadawania pytań – o przeszłość, ale też o przyszłość. Nie tylko serwowanie gotowych, już ukształtowanych schematów myślenia. Dotyczy to zarówno płaszczyzny naukowej, jak i edukacyjnej.

Jakie pytanie pani by zadała?

– Komu? Matejce?

Niech pani zdecyduje.

– Najchętniej zadałabym pytanie ministrowi kultury, czy uda się zrealizować program przywrócenia tej instytucji należnego jej blasku. Tu nie chodzi o doraźny polityczny interes. O to, komu przypadnie w udziale chwała. My jesteśmy tu na krótko. Chodzi mi o miejsce tej zacnej instytucji na kulturalnej mapie Polski i Europy. To, co teraz powiem, zabrzmi jak exposé...

Proszę się nie krępować.

– Dzisiaj trochę pokpiwamy sobie z tej narodowej przeszłości, mamy dosyć symboli narodowych, patriotyzmu na sztandarach. Ale warto mieć świadomość, że Muzeum Narodowe w Warszawie powstawało z potrzeby zwykłych ludzi w strasznych czasach. Lata 60. XIX wieku to był czas rosyjskiej dominacji. Muzeum powstało jako oddolna inicjatywa. Ludzie dobrowolnie, zwłaszcza już w XX wieku, przekazywali mu swoje kolekcje w poczuciu, że te zbiory są ważnym spoiwem wspólnoty, narodowej i nie tylko.

Inne pytania?

– Tych jest wiele. Mam pytania do obrazów, bardzo intymne czasem.

Zdradzi mi pani jakieś?

– Ostatnio zadawałam sobie pytanie o obraz „Corona imperialis” Jacka Malczewskiego na wystawie „Arkadia”. To jeden z jego najbardziej enigmatycznych obrazów. Namalowany w 1918 roku w cyklu „Moje życie”. Przedstawia korowód tulańczych żołnierzy, coś na kształt „danse macabre”. Dokąd oni idą? Do jakiego domu? Czy to ziemiański dwór? Do jakiej Polski wracają? Co oznacza ten tytuł – „Corona imperialis”? Tu trochę wiemy – to łacińska nazwa kwiatu przedstawionego na obrazie. Po polsku – „szachownica cesarska”. Czy to zwiastun wiosny i odrodzenia? Piszą, że to kwiat, który czasem płacze. Dlaczego Corona imperialis miałaby płakać, skoro Polska odzyskuje niepodległość?

Na arkadyjskiej wystawie nurtowały mnie pytania o przyszłość planety, o to, w jakiej formie przetrwa ludzkość. Czy rzeczywiście katastrofa jest nieunikniona?

O to pytają też młodzi ludzie, którzy potrafią oblać zupą jakieś dzieło, by zwrócić uwagę na te kwestie.

– To jest barbarzyństwo. Nie służy sprawie, która dla mnie też jest ważna. Każdy z nas odczuwa skutki tego przyspieszenia cywilizacyjnego, ale nie widzę powodu, żeby zakładnikiem tej słusznej sprawy czynić dzieła sztuki, które same często mogą być naszymi sojusznikami.

Najbliższe plany wystawiennicze?

– Przed nami wystawa „Surrealizm. Inne mity” prezentująca zjawisko polskiego surrealizmu od lat dwudziestych XX wieku, aż po różne współczesne powroty do tego ruchu. Całość osadzona w kontekstach europejskich. Jesienią czeka nas wielka retrospektywa kończąca projekt badawczy poświęcony Józefowi Chełmońskiemu. To efekt współpracy trzech muzeów narodowych – w Warszawie, Krakowie i Poznaniu. Będą też trzy odsłony tej ekspozycji. Na początku 2025 roku zapraszamy na „Drogi do Jerozolimy” poświęcone miejscu tego miasta w kulturze i w różnych religiach. ●

REKLAMA

Kraj/34316669

insider

26.05—02.06.2024



64. KRAKOWSKI
FESTIWAL
FILMOWY
64th KRAKOW
FILM
FESTIVAL

_najlepszy_pomysł_na_Twój_długi_weekend_w_Krakowie!



Już w sobotę, 18 maja tysiące muzeów, galerii i podobnego typu placówek otworzy swe podwoje, by zaprosić do nocnego zwiedzania. Przed muzeami ustawią się długie kolejki chętnych, dla których uruchomione zostaną także specjalne linie komunikacji miejskiej, by ułatwić im odwiedzenie jak największej liczby placówek.

Noc Muzeów to wydarzenie szczególne. Raz, że eksponaty można z reguły podziwiać za darmo – względnie za symboliczną opłatą – dwa – że zwiedzać można obiekty często na co dzień do zwiedzania niedostępne, trzy wreszcie – podziwiać je można w absolutnie wyjątkowych okolicznościach i anturazju.

Noc Muzeów po raz pierwszy zorganizowano w Berlinie, w 1997 roku, jako Lange Nacht der Museen. Koncept chwycił, z każdym kolejnym rokiem dołączały kolejne miasta. W 2003 roku zadebiutowała też Polska – pierwsza Noc Muzeów odbyła się u nas w Muzeum Narodowym w Poznaniu, rok później dołączyły Kraków i Warszawa.

Ale zanim berlińczycy wytyczyli modę, która w krótkim czasie objęła cały świat, znacznie wcześniej, bo w 1951 roku International Council of Museums (ICOM), czyli Międzynarodowa Rada Muzeów zorganizowała zlot muzealników pod hasłem „Krucjata dla Muzeów”. Dyskutowano o zadaniach, jakie stają przed placówkami czy edukacyjnej woli tychże. Wtedy także, podczas zlotu stworzono zręby święta, które ustanowiono ponad ćwierć wieku później.

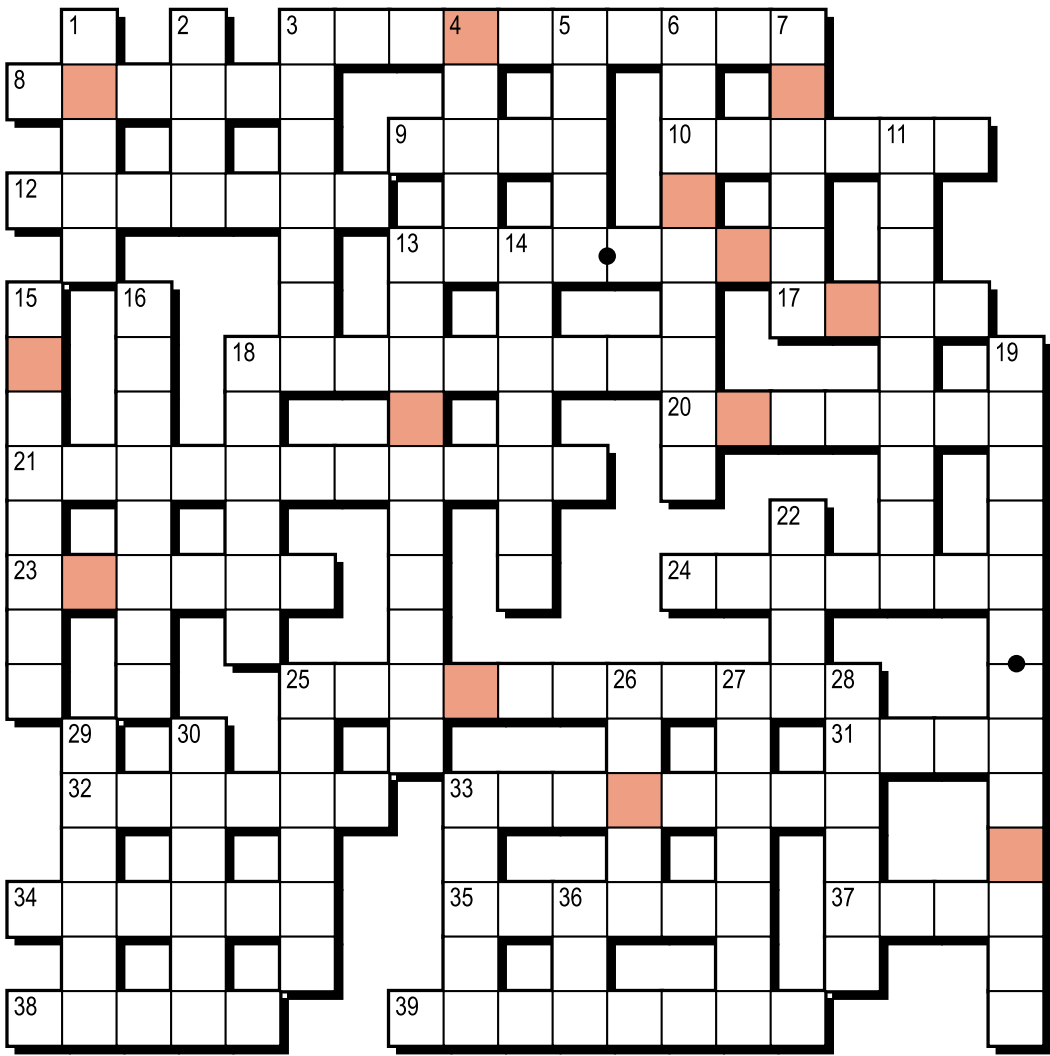
W 1977 roku, podczas Zgromadzenia Generalnego ICOM w Moskwie ogłoszono 18 maja Międzynarodowym Dniem Muzeów, który miał z jednej strony zwracać uwagę światowej opinii i publiczności na działalność muzealników z drugiej skoordynować twórcze aspiracje i wysiłki placówek. Przesłanie było jasne: muzea są ważne dla kulturowej wymiany, ubogacają odwiedzających je, mają też doniosłą rolę przy propagowaniu pokoju.

Z okazji Dnia Muzeów organizowano specjalne imprezy, wystawy i seminaria, święto z czasem dostało też oficjalne hasło (po raz pierwszy w 1992 roku – „Muzea i środowisko”) a następnie plakat (od 1997 r.)

Dzień Muzeów przypada, jako się rzekło, 18 maja, zaś Noc Muzeów organizowana jest w sobotę poprzedzającą tę datę. W tym roku święta się zbiegają, co stanowi znakomitą okazję, by pod to święto się podczepić i sobotnią „Weekendówkę” poświęcić właśnie muzeom.

A po rozwiązaniu niniejszej krzyżówki zaprosić rzecz jasna Państwa do odwiedzenia waszych ulubionych placówek.

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki” nr 102
z 11.05:

Poziomo:
3) rankor, 8) Edo, 11) balwierz, 12) bean, 13) utensylia, 14) aeroplan, 15) kłoc, 17) jezdni, 20) paternoster, 23) alkierz, 24) kruchta, 26) junak, 27) sztuba, 29) zmówiny, 30) metr, 33) frukta, 35) bartnicy, 36) Suazi, 37) patefon, 38) komtur, 30) lepra, 40) gladiator, 41) dyby

Pionowo:
1) gawrosz, 2) rezuni, 3) Rodezja, 4) Niasa, 5) obole, 6) facecje, 7) Cejlon, 9) abakus, 10) Dahomej, 16) arbuz, 18) dekokt, 19) ineksprymable, 20) przetak, 21) ochędóstwo, 22) Syjam, 23) agnat, 24) kabza, 25) chmyzy, 28) filistrzy, 31) epuzer, 32) razura, 34) trefniś, 35) banita, 38) kord

HASŁO:
ARCHAIZMY

MUZEALIA
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
3) muzeum sztuki starożytnej
8) Waldemar, największy wróg Pana Samochodzika
9) pomieszczenie z wystawą
10) piosenka z programu Jacka Kaczmarskiego, Przemysława Gintrowskiego i Zbigniewa Łapińskiego „Muzeum”
12) Jonathan, autor powieści „Muzeum Psów”
13) miasto z Muzeum Guggenheima
17) ... tradycji, z pamiątkami dotyczącymi danego miejsca, instytucji
18) „Noc w muzeum: ... grobowca”, film z Benem Stillerem
20) rezydencja sułtanów w Stambule, obecnie muzeum

21) chętnie odwiedzają częstochowskie Muzeum Produkcji Zapalek
23) miasto z Muzeum II Wojny Światowej
24) ... sztuki, profesjonalnie przygotowuje wystawę
25) ... Pranie, z Muzeum Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego
31) Wenus z ..., podziwiana w 2 pionowo
32) miasto, w którym można podziwiać zespół architektoniczny Zwinger
33) np. magnesik zakupiony w kasie muzeum
34) modułowe ..., stosowane w galeriach malarstwa, pinakotekach
35) ... Henryka Sienkiewicza w Obłęgorku, obecnie muzeum
37) europejska stolica z Muzeum Kon-Tiki

38) z 2 pionowo, Muzeum d’Orsay, Centrum Pompidou...
39) miasto, w którym można zwiedzić muzea w willi Atma i willi Harenda

Pionowo:
1) ... na Wyspie w Łazienkach, przekształcony przez Stanisława Augusta w willę muzeum
2) tu Wenus jest gwiazdą!
3) oszklona szafka na zbiory
4) muzeum sztuki w Madrycie
5) podziwiane w muzeach
6) podziwiane w muzeach
7) meblozaury
11) malarz kojarzony z amsterdamskim muzeum
13) „Muzeum ...”, powieść Orhana Pamuka, tureckiego noblisty (wpisujemy w mianownik)
14) miasto, w którym można zwiedzić Pałac Dożów
15) filmowy upiór Luwru

16) Robin, wystąpił w serii filmów „Noc w muzeum”
18) imię Pana Samochodzika, powieściowego muzealnika
19) prezentowane w muzeum Madame Tussaud w Londynie
22) imię Lipińskiego, patrona warszawskiego Muzeum Karykatury
25) stolica z Muzeum Historii Naturalnej
26) kolekcja
27) z Kaplicą Sykstyńską
28) miłośnik, pasjonat np. staroci
29) pierwsza polska ... Nocy Muzeów miała miejsce w 2003 r.
30) ... słoneczne, podziwiane w Jędrzejowie
33) włoskie miasto, w którym można zwiedzić Muzeum Eremitani
36) wspaniała kolekcja, jest na czym zawiesić ...!

Leszek Rydz

